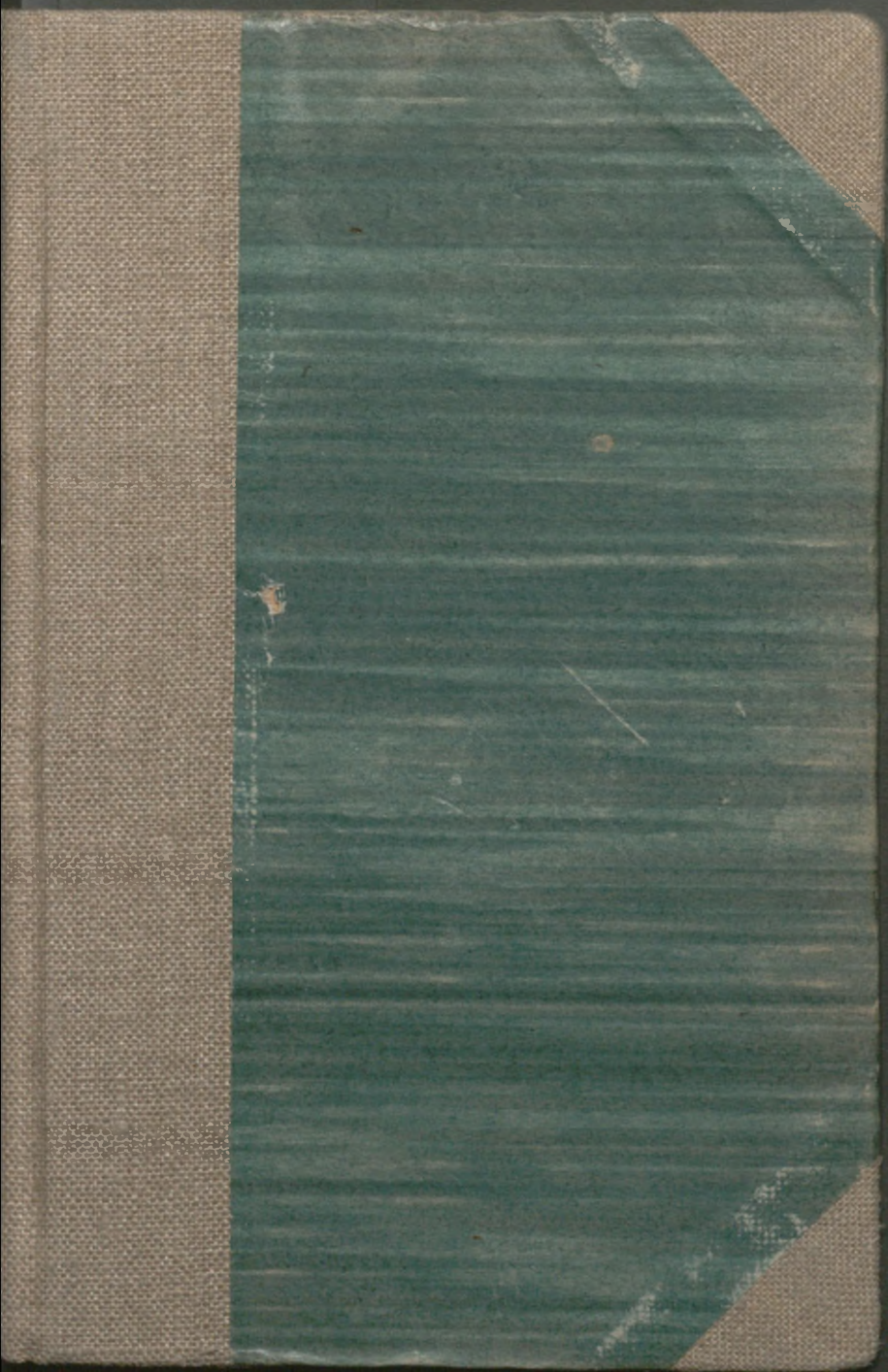




Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



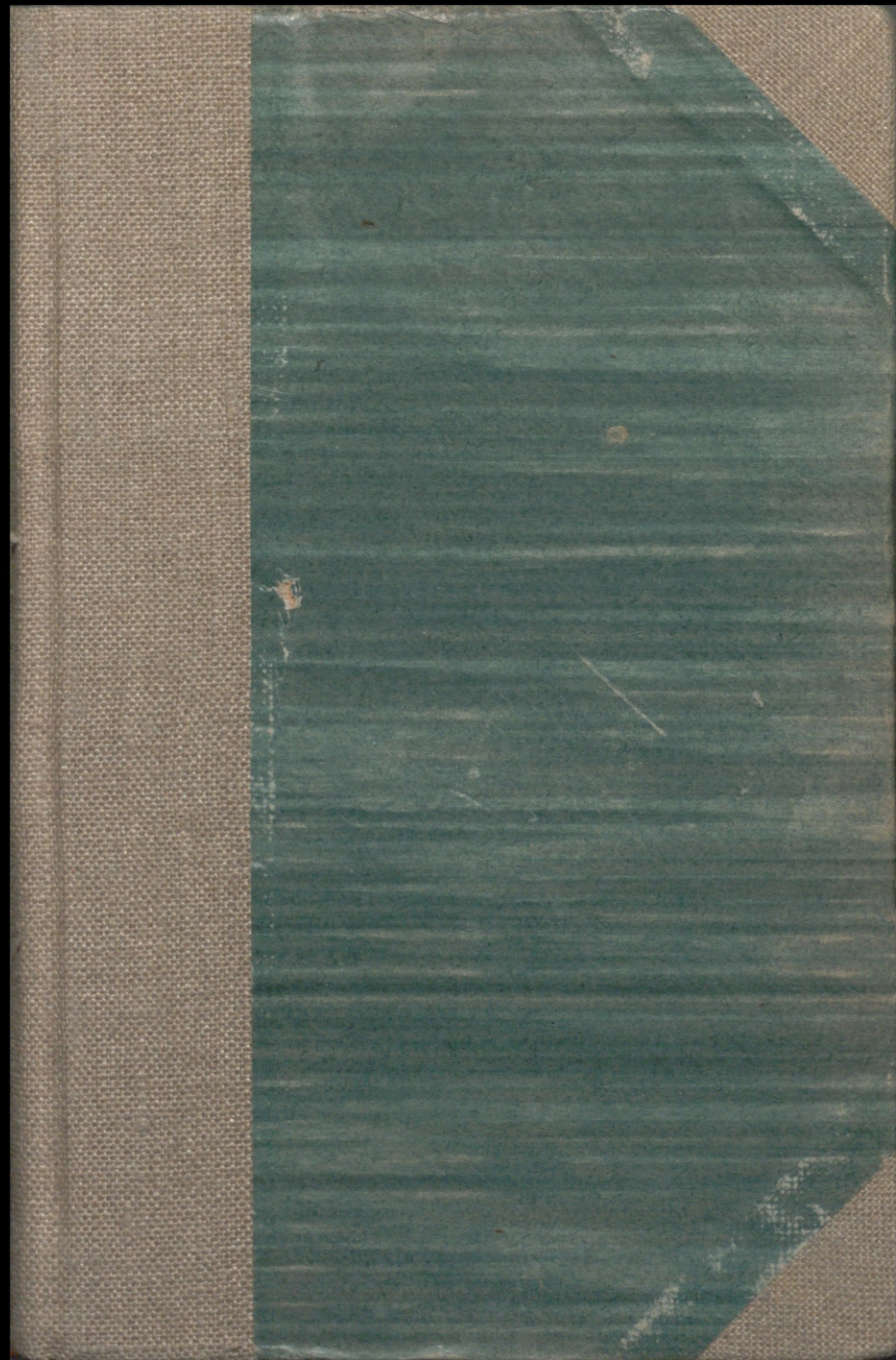
Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Colour Chart #13

DANES-PICTA.COM



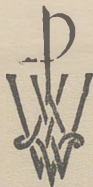


*BIBLIOTEKA
LAUREATÓW NOBLA*

*POD REDAKCJĄ
DRA STANISŁAWA LAMA*

T O M 34.

*MAURYCY MAETERLINCK
MĄDROŚĆ I PRZEZNACZENIE*



*LWÓW—POZNAŃ 1925
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO*

MAURYCY MAETERLINCK
MĄDROŚĆ
I PRZEZNACZENIE

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY
F. MIRANDOLI



LWÓW—POZNAŃ 1925
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

840-3: 8(A|2)

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

29927 | 2



ODBITO NA PAPIERZE BEZDRZEWNYM
DRUKARNIA CONCORDIA SP. AKC., POZNAŃ

DO PANI ŻORŻETY LEBLANC.

Dedykuję pani tę książkę, będącą, że tak rzekę, własnem jej dziełem. Prócz współpracownictwa pióra, istnieje jeszcze inna, wyższa i realniejsza współpraca, mianowicie myśli i przykładu. Miast stwarzać w wyobraźni, z trudem, fakty jakimi przejawia swą działalność ideał mądrości, lub konstruować w duszy marzenie o pięknie, z konieczności nieco mgliste, słuchałem słów twoich, pani. Dość mi było śledzić cię uważnie spojrzeniem, a miałem przed sobą gesty, przejawy życia i nawyki mądrości samej.

Maeterlinck.

I.

W tej książce często wspominać będziemy o mądrości, przeznaczeniu, sprawiedliwości, szczęściu i miłości. Tkwi pewna ironja w sięganiu po szczęście, niemal niedostrzegalne, gdy żyjemy pośród nieszczęść rzeczywistych, w stawianiu przed oczy sprawiedliwości idealnej niezawodnie, ale sprzecznej z niesprawiedliwością, aż nazbyt niestety realną, oraz w zatapianiu się w miłości, trudnej do uchwycenia, wśród obojętności i zawiści, jaka nas otacza. Wydaje się, jakby nie warto było szukać w najgłębszych skrytkach serca ludzkości motywów zaufania, czy pogody, że daremnie byłoby szukać tam uśmiechu, czy zdolności kochania, podziękii, lub podziwu, wobec tego że większa część tej ludzkości, imieniem której przemawiamy, nie ma odwagi, ni nawet czasu wypić do dna czary goryczy i nędz życia, a tem jeszcze mniej zdolną jest odczuwać owe uciechy wewnętrzne i pociechy głębsze, niesione w darze przez myślicieli, tak trudne do osiągnięcia.

Zarzucono wielu moralistom, a także Epiktetowi, że zajmuje się jeno mędrcom. Jak we wszystkich zarzutach, tak i tu mieści się część prawdy. W istocie, gdybyśmy mieli odwagę iść jeno drogą najprostszą, najbliższą i słuchać nalegań sumienia, jedynym niewątpliwie obowiązkiem naszym byłoby łagodzenie cierpień wokół siebie, w kręgu możliwie najszerszym. Należałoby wziąć się do pielęgnowania chorych, odwiedzania biednych, pocieszania utrapionych, zakładać wzorowe fabryki, zostać lekarzem, czy rolnikiem, lub w końcu starać się, jak to czyni uczonego w laboratorium, wydzierać przyrodzie tajemnice najbardziej materialne. Ale w społeczeństwie, złożonem wyłącznie z ludzi wspierających się wzajem, to dzieło miłosierdzia nie byłoby trwałem, gdyby nikt nie poświęcił czasu na zajęcie się czemś innem. Tylko dzięki ludziom bezpożytecznym, z pozoru, istnieją ludzie niezaprzeczalnie pożyteczni. Najlepsza część tego, co dotąd osiągliśmy, poczęła się zrazu w umyśle jednostek, które, zaniedbując swe obowiązki naglące i bezpośrednie, poświęciły czas na skupienie się w sobie, namysł i przemówiły potem. Czyż ludzie ci postąpili dobrze? Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Duszom prostym wydaje się, że najlepiej pełnić obowiązki najprostsze i najbliższe, ale źleby było, gdyby

czynili to wszyscy. W każdej epoce żyli ludzie przekonani całkiem lojalnie, że pełnią obowiązki chwili obecnej, myśląc o zadaniach przyszłości. Większość myślicieli zaręcza, że ludzie ci nie popełnili omyłki. Dobrze jest, że mędracy twierdzą coś. Mimochodem zaznaczamy zresztą, że mądrość staje czasem w sprzeczności z twierdzeniami największych mędrców. Mniejsza z tem. Nie spostrzeżelibyśmy byli mądrości, więc mędrzec spełnił swój obowiązek.

II.

W czasach obecnych, niedostatek jest chorobą ludzkości, a choroba jest niedostatkiem człowieka. Trzebaby nam lekarzy nędzy ludzkiej, jak mamy lekarzy chorób. Stan chorobowy jest to zjawisko, niestety, częste, nie wynika stąd jednak jeszcze, by się nie zajmować zdrowiem i by anatomja, najbardziej zbliżona do etyki nauka, miała badać jedynie zбочenia, będące wynikiem degeneracji w różnych stopniach rozwoju. Anatom opiera się na ciele zdrowem i normalnem, a moralista stara się spojrzeć w przyszłość w duszy szczęśliwej, a przynajmniej winien ją znać w dostatecznej mierze.

Żyjemy pośród wielkiej niesprawiedliwości, ale niema w tem, sędzę, ani obojętności, ani okrucieństwa, jeśli czasem mówimy, jakby ta niesprawiedliwość nie istniała, gdyż inaczej nie wyszlibyśmy nigdy z jej kręgu.

Dobrze jest, jeśli niektórzy pozwalają sobie myśleć, mówić i działać, jak gdyby wszystko

opływało w szczęśliwość. Inaczej jakież szczęście, jakąż sprawiedliwość, czy miłość, lub piękno znaleźliby wszyscy inni w dniu, kiedy przeznaczenie rozwiera przed nimi publiczne ogrody ziemi obiecanej? To prawda, że naprzód trzeba załatwić sprawy „najpilniejsze,” ale załatwiać rzeczy „najpilniejsze” nie jest metodą najmądrszą. Często lepiej jest jąć się przedewszystkiem spraw „najszczytniejszych.” Gdy woda morza lub rzeki zaleje, przerywając tamę, gospodarstwo holenderskiego wieśniaka, „najpilniejszą” rzeczą dla niego jest ratować zwierzęta domowe, siano i meble, ale najmądrzej uczyni, jeśli stojąc na szczycie tamy, zawezwie do walki z falami wszystkich, mieszkających na zagrożonym terenie.

Ludzkość przypominała dotąd chorego, który rzuca się po łóżku, szukając ukojenia, a największą ulgę przynoszą mu ci, którzy doń przemawiają jakby nigdy nie był chory. Ludzkość istnieje po to, by była szczęśliwa, jak człowiek po to, by był zdrow i jeśli mówimy o niedoli, wśród niedoli ogólnej i stałej, słowa nasze nabierają charakteru tymczasowości i nie mają znaczenia. Trzeba raczej zwracać się do ludzkości, jakby się znajdowała w przededniu wielkiego szczęścia i zdobycia wielkiej prawdy. Sama ona, choćby nie miała dożyć jutra, czuje to instynktownie.

Niechże tedy wierzy, że może tylko nieco większy wysiłek myśli, odwagi, lub miłości starczyłby na rozwarcie bram radości i prawdy. Nie jest to wcale nieprawdopodobne. Możemy żywić nadzieję, że kiedyś wszyscy będą szczęśliwi i mądrzy, a choćby dzień taki miał nie nadejść, nadzieja ta nie jest karygodną.

W każdym razie dobrze jest mówić o szczęściu nieszczęśliwym, by je poznali. Tak łatwo ulegają przypuszczeniu, że szczęście jest rzeczą wyjątkową i niedostępną niemal. Gdyby wszyscy, uważający się za szczęśliwych, wyjawili poprostu motywy tego uczucia swego, okazałoby się, że smutek dzieli od radości zawsze jeno odmienny sposób ujmowania sprawy, pogodniejszy, bardziej świadomy, mniej ponury i wrogi. Wszystko inaczej się przedstawia, jeśli bierzemy sprawę ciasno, uparcie, a inaczej, gdy to czynimy harmonijnie i szeroko. Wszyscy zawołaliby wówczas: — Więc o to tylko idzie? A więc i my mamy w sercu pierwiastki szczęścia! — Tak jest, posiadacie je! Z wyjątkiem dotkniętych wielkiem nieszczęściem fizycznym posiadają je wszyscy. Nie traktujmyż jednak tego rodzaju szczęścia wzgardliwie. Najszczęśliwszym jest ten, kto najlepiej zna szczęście swoje, a zna je ten, kto wie, że szczęście oddziela od niedoli jeno idea szczytna, wytrwanie, ludzkość i męstwo.

O tych ideach trzeba mówić jaknajczęściej i nie poto, by nie narzucić swoją, ale by rzucić w serca słuchaczy posiew pragnienia takiej idei własnej. Dla każdego z nas inną jest ta idea. Nie odpowiada mi twoja i daremniebyś mi ją zalecał, siląc się na krasomówstwo, bowiem słowa twe nie sięgną tajemnych organów życia mego. Muszę zdobyć sam w sobie i przez siebie ideę własną. Ale mówiąc o życiu swojej, dopomożesz mi bezwiednie do zdobycia mojej. Zdarzy się może, że to co ciebie osmuca, mnie doda sił, a rzecz będąca ci pociechą, dotknie mnie, ale mniejsza z tem. Piękno twej idei pocieszycielki zespoli się z mojem cierpieniem, a to co jest szczytne w smutku twoim, przeniknie w mą radość, jeśli stoi na jego wyżynie. Koniecznem jest przedewszystkiem uczynić dostojną powierzchnię duszy naszej i przysposobić ją na przyjęcie tej idei, podobnie jak kapłani pierwotnych religij obnażali i czyścili z cierni grań góry, na którą miał na nich zstąpić ogień niebiosów.

Wszakże możliwe jest, że jutro otrzymamy z planety Marsa formułę szczęścia niezachwianego, zawartą w formie prawdy absolutnej odnośnie do budowy i celu wszechświata. Zmieni ona i poprawi coś w naszym życiu moralnem tylko pod warunkiem, jeśli od dawna żyliśmy w oczekiwaniu

i pragnieniu tej zmiany i tej poprawy. Każdy z nas korzystał będzie z tej formuły niezmiennej jako takiej i z jej dobrodziejstw tylko w stosunku do przygotowania, jakie ona zastanie w duszy jego. Cała moralność, poczucie sprawiedliwości i szczęścia powinnyby być jeno oczekiwaniem i przysposobieniem, możliwie najdoskonalszem i najpełniejszym. Dzień ten, w którym zaczniemy żyć nakoniec pełną prawdą, niezachwianą, naukową i pełną, będzie oczywiście dniem ponad wszystkie szczęsnym, narazie żyjemy, jednak w prawdzie donioślejszej jeszcze, to jest w prawdzie duszy naszej i charakteru, a niektórzy mędracy udowodnili nam, że życie takie możliwem jest nawet pośród największych braków materialnych.

III.

A może daremnym jest mówić o moralności, sprawiedliwości, szczęściu i wszystkim, co ich dotyczy przed nadejściem chwili decydującej, skoro nauka może wszystko przeistoczyć? Może znajdujemy się chwilowo pośród ciemności, a różne rzeczy wyglądają inaczej w ciemku, niż przy świetle dziennem?

Zresztą nasze podstawowe funkcje fizyczne i moralne przebiegają w ciemku, tak samo przyczynowo i taksamo dokładnie w ciemku, jak na jaśni. Czekać na słowo zagadki, żyć winniśmy jak najszcześliwiej i najszlachetniej, gdyż to nam da największą moc, niezawisłość i świadomość, potrzebne do pożądania prawdy i do jej poszukiwania. Cokolwiekby pozatem nastąpiło, nie będzie straconym czas poświęcany na studjowanie siebie samych. Bez względu na to, jakim stanie się kiedyś nasz pogląd na świat, którego jesteśmy składową częścią, zawsze będzie więcej w duszy ludzkiej uczuć, namiętności i tajemnic nie ulega-

jących unicestwieniu, niżli gwiazd związanych z ziemią, lub zagadek świata przez naukę odgadnionych. W łonie prawdy, najoczywistszej nawet i najpewniejszej, człowiek rozwijał się będzie dalej i to po linii niezmiennej duszy swojej, a twierdzić można, że im bardziej ogólną i radosną będzie ta prawda, tem bardziej władcze i nieodporne stanowisko w oczach myśliciela zajmą problemy sprawiedliwości, etyki, szczęścia i miłości.

Trzeba nam żyć tak, jakbyśmy ciągle byli w przededniu wielkich odkryć i sposobić się na ich przyjęcie jak tylko można najlepiej, z największym zapalem i usilnością. Bez względu na kształt, w jakim się nam objawią te odkrycia, najlepszym sposobem przyjęcia ich kiedyś jest wy-czekiwanie ich od dziś i to umysłem ogarniającym tak szerokie horyzonty, tak doskonałym i szlachetnym, na jaki się jeno zdobyć możemy. Nie ulega kwestji, że prawda owa prześcignie nasze najściślejsze nadzieje, a choćby się od nich różniła, aż do granic przeciwstawności, to sam fakt, że będzie prawdą, da nam coś nierównie wyższego i bardziej zgodnego z naszą istotną naturą, niż to, czegośmy oczekiwali. Choćby nawet dla człowieka przepaść miał dotychczasowy przedmiot podziwu, największego godną podziwu bę-

dzie prawda samej treści wszechświata. Przy-
puściwszy nawet, że dzień jej objawienia roz-
prószy na najdrobniejszy pył nadzieje nasze, po-
zostawi on nam w każdym razie owo przysposo-
bienie nasze na przyjęcie cudu i cud ten spłynie
nam w duszę tem obfitszą falą, im głębszem
i szerszem było łożysko wyżłobione oczekiwaniem.

IV.

Czyż trzeba się nam uważać za lepszych od wszechświata? Bez względu na rozumowanie nasze, sam rozum pozostanie jeno nader słabym promykiem natury, drobną cząstką składową tego, co sobie pozwala sądzić, a chyba nie jest obowiązkiem promienia dążność do zmieniania konstrukcji lampy, z której promieniuje.

Szczytowy punkt istoty naszej, na którym stojąc, wydajemy wyrok ułaskawienia czy potępienia całego życia, jest to jeno nierówność gruntu, dostrzeżona przez oko nasze na nieskończonej kuli życia. Mądrze jest myśleć i postępować tak, jakby było nieuniknionem wszystko, co spotyka ludzkość. Niedawno dopiero, jeśli idzie o zacytowanie jednego bodaj z problemów, jakie ma rozwiązać instynt naszego globu, niedawno zadawano myślicielom Europy pytanie, czy należy uważać za szczęście, lub też nieszczęście, jeśli zniknie, albo osiągnie przewagę pewna rasa energiczna, wytrwała i potężna, słowem rasa żydowska,

uważana przez nas, Aryjczyków, skutkiem ślepo przyjętego przesądu, za niższą duchem i sercem. Zdaniem mojem mędrzec powinienby odpowiedzieć bez rezygnacji, ni nagannej obojętności: — To, co się stanie, będzie szczęściem! — Często wydaje się nam, że to, co zaszło, było złe, a jednak czegoż użyteczniejszego dokonał dotąd rozum ludzki, nad odnalezienie racji wyższej dla zła, napotykanego w przyrodzie? Wszystko, czem żyjemy i co nas podtrzymuje, zarówno w życiu fizycznym jak moralnem, polega na stopniowem i powolnem usprawiedliwianiu owej potęgi nieznanej, która nam się zrazu wydała okrutną. Jeśli ginie rasa absolutnie zgodna z ideałem naszym, znaczy to, że nasz ideał nie jest całkiem zgodny z ideałem bezwzględny, stanowiącym, jak wspomniałem, istotną prawdę wszechświata.

Zdołaliśmy już wysnuć z naszego doświadczenia potwierdzone przez rzeczywistość przedziwne pragnienia, wielkie ideje, oraz wielkie uczucia miłości, piękna i sprawiedliwości. Jeśliby to, co jest w naszej wyobraźni najpełniejszym i najbardziej pocieszającym, nie wytrzymało próby rzeczywistości, to znaczy siły bezimiennej i tajemniczej życia, znaczyłoby to, że jest inne, nie zaś, że jest mniej pełne i mniej pocieszające. Zanim ideał się objawi, zbawiennem jest żywić

w duszy ideał, wytworzony przez wyobraźnię, piękniejszy od rzeczywistości. Ale z chwilą, kiedy się objawi wkońcu, koniecznem jest, by płomień ideału, podsycany najlepszymi naszymi pożądaniami, służył teraz jeno do oświetlania piękna mniej kruchego i brutalniejszego, którego ważka masa druzgocze owe pożądaniamy.

Niema w tem wszystkim, sędzę, ni służalczej rezygnacji, ni sennego fatalizmu, czy biernego optymizmu. Mędrzec traci może nieraz część wytrwałego, wyłącznego i ślepego zapału, który w niejednym wypadku stwarzał rzeczy wprost nadludzkie, dlatego może, że nie były one wyposażone w pełni ludzkiego rozumu. Jednocześnie jednak nie ulega kwestji, że nie wolno żadnej duszy uczciwej szukać energii, dobrej woli, złud, czy zaślepienia w sferze niższej, niż sfera najszczytniejszych godzin myśli. Obowiązek życia wewnętrznego winien być pełniony na wyżynach duszy na szczytach prawdy własnej. Jeśli w życiu praktycznym wolno czasem wchodzić w kompromis z okolicznościami, jeśli nie zawsze jest dobrze posuwać się aż do ostatecznych granic samego siebie, jak n. p. Saint Juste, który płonął chęcią ziszczenia sprawiedliwości, pokoju i szczęścia powszechnego, posyłał w dobrej wierze na szafot tysiące, to w zakresie myśli istnieje obo-

wiązek dotarcia aż do granic myśli. Zresztą świadomość, że działamy jeno, czekając na prawdę, przeszkodzić może w działaniu tym tylko, którzyby nie działali, wcale nie wiedząc o tem. Myśl wzniosła zachęca do tego, w co każe wątpić. Jest rzeczą naturalną, że ci, którzy spoglądają z góry i podziwiają naprzód to, co zniweczy ich działalność, czynią co mogą, by udoskonalić to, co może być nazwane rozumem, sprawiedliwością, pięknem ziemi, czy instynktem planety. Wiedzą oni, że udoskonalać, znaczy w gruncie to samo co odkrywać, rozumieć i szanować. Mają oni nade wszystko ufność w ideę „wszechświata.” Są przekonani, że każdy wysiłek ku lepszemu zbliża ich do tajemnej woli życia, a jednocześnie uczą się dobywać ze swych niepowodzeń, daremnych wysiłków i odporności tego wielkiego świata, nową pożywkę dla swego podziwu, zapału i nadziei.

Wchodząc wieczorem na wysoką górę, widzimy jak maleją i toną wkońcu w mroku zalewającym dolinę drzewa, domy, wieże, łąki, winnice, a nawet drogi i rzeki. Ale w miarę wznoszenia się naszego nie słabną punkciki świetlne, błyszczące, w najczarniejsze nawet noce, tam gdzie żyją ludzie. Przeciwnie, za każdym krokiem dostrzeżemy coraz to większą liczbę światełek w wioskach, śpiących u stóp naszych. Jakkolwiek wątlę jest

światło, jest ono może jedyną rzeczą, która nie zatracą się w nieskończoności. Podobnie dzieje się z naszym światłem moralnym, gdy patrzymy na życie z pewnej wyżyny. Niechże kontemplacja nauczy nas, że winniśmy się wyzbyć wszelkich namiętności niższych, ale nie powinna osłabiać czy zniechęcać najskromniejszych pożądań prawdy, sprawiedliwości i miłości.

Sam nie wiem, skąd się wzięła reguła, tutaj sformułowana. Wydaje mi się ludzką, potrzebną i na tem koniec. Nie umiałbym umotywować jej inaczej, niż uczuciowo. Ale racją uczucia nie należy gardzić. Lecz jeśli sięgnę punktu, z którego patrząc, prawo to wyda mi się już nieużytecznym, usłucham tajnego instynktu, który mi każe wznieść się wyżej jeszcze, aż na nowo użyteczność tę dostrzegę.

V.

Po tym, ogólnym wstępie, pomówmy bardziej szczegółowo o wpływie, jaki mądrość może mieć na przeznaczenie nasze. Dobrze też uczynię, jeśli zaraz na wstępie wyznam, że nie należy w tej książce szukać zbyt ściślej metodyczności. Złożyły się na nią rozmyślania fragmentaryczne na temat dwu, czy trzech zagadnień, uszeregowane w pewien porządek. Nie chcę nikogo przekonywać i niczego nie dowodzę. Zresztą książki nie mają takiego wpływu na życie, jaki im przypisuje wielu autorów i czytelników. Wystarczyłoby słuchać ich tak, jak jeden z mych przyjaciół, wielki mędrzec, słuchał opowiadania o ostatnich chwilach życia cesarza Antonjusza Pobożnego. Antonjusz Pobożny ma jeszcze większe niż Marek Aureljusz prawo być nazwany człowiekiem najlepszym, jakiego nosiła ziemia, albowiem z całą mądrością, głębią, dobrocią, słowem, z wszystkimi cnotami przybranego syna swego łączył jeszcze męskość, energję, praktyczność, prostotę

w szczęściu i spontaniczność, co go zbliżało więcej do prawdy życia codziennego. Antoniusz spoczywał na łożu śmierci, oczy jego skąpane były bezwiednie w łzach, a członki okrywał pot agonji. W tej chwili stanął w komnacie dowódca gwardji, pytając, jak zawsze, o hasło dnia. *Aequanimitas*, równowaga ducha, powiedział, zwracając głowę ku cieniom wieczności.

Należy kochać i podziwiać to słowo, oświadczył przyjaciel mój. Ale piękniejszą jeszcze rzeczą, dodał, jest umieć, tak by nikt nie spostrzegł, a nawet byśmy sami nie spostrzegli, poświęcić czas, który przypadek użycza nam dla tego podziwu, na jakiegokolwiek dzieło użyteczne i proste, przez tenże sam przypadek podsunięte dobrej woli naszej i sercu.

VI.

Przeznaczenie chciało niezawodnie, by byli „gnębieni przez ludzi, czy okoliczności, gdziekolwiek się jawili,” tak powiada pewien autor o bohaterach swoich. Podobnie dzieje się z większością ludzi. To spotyka wszystkich, którzy nie nauczyli się oddzielać przeznaczenia zewnętrznego od przeznaczenia moralnego. Przypominają oni ślepy strumyk, który widziałem pewnego ranka ze wzgórza. Tocząc się omackiem, skacząc, ślaniając się, płynął niepewnie ciemnym wąwozem, szukając drogi do wielkiego jeziora, śniącego po drugiej stronie lasu w ciszy świtania. W jednym miejscu blok bazaltu zmuszał go do czterech wielkich zakrętów, w drugim znowu korzeń starego drzewa, gdzieindziej zaś samo wspomnienie przeszkody dawno nie istniejącej zwracało go ku źródłu z bezsilnym szelestem, oddalając nieustannie od celu i szczęścia. Atoli z innej strony, niemal równolegle do tego strumyka, oszalałego, nieszczęsnego i bezpożytecznego, siła wyższa nad

się instynktu wycięła poprzez pola, spadłe głązy,
i posłuszne jej lasy rodzaj długiego kanału, pro-
stego, obrzeżonego zielenią, beztroskiego, spokoj-
nego, który szedł spokojnie, pewnie, bez wahania,
od innego, skrytego za widnokrzem źródła do
tegoż samego, lśniącego i spokojnego jeziora.
Miałem pod stopami obraz dwu wielkich przezna-
czeń, mogących stać się udziałem człowieka.

VII.

O bok ludzi prześladowanych przez innych, czy okoliczności, istnieją istoty wyposażone siłą wewnętrzną, której poddają się nie tylko ludzie, ale nawet środowisko, w którym żyją. Znają oni tę siłę, będącą zresztą tylko poczuciem samego siebie, sięgającym poza granicę zwyczajną świadomości ludzkiej.

Tylko w kręgu swojej świadomości jest człowiek u siebie, bezpieczny od kaprysów przypadku, szczęśliwy i silny. Mówiono o tym już wiele razy i wspominam tu o tej sprawie po to jeno, by zaznaczyć punkt wyjścia. Istota ludzka rośnie w miarę rozrostu swej świadomości, a świadomość powiększa się w miarę, jak człowiek rośnie. Istnieje tu przedziwna wzajemność i podobnie jak miłość nigdy nie jest syta miłości, każda świadomość pożąda nieodpornie rozprze-strzenienia się i wzlotu moralnego, zaś podnoszenie się w zakresie moralnym łaknie świadomości.

VIII.

Ale to samopoznanie w zwykłym znaczeniu w razu ogranicza się nader chętnie do samego uświadomienia sobie naszych wad i zalet. Może ono atoli sięgnąć tajemnic nieskończenie ciekawszych. Znać siebie samego, to znaczy nietylko znać siebie w stanie spoczynku, czy też w stanie obecnym i przeszłym. Istoty, o których mówiłem, posiadają swą siłę dlatego, że znają siebie również w przeszłości. Samoświadomość ludzi wielkich jest do pewnego stopnia znajomością swej gwiazdy, czyli swego przeznaczenia. Znąją oni część przyszłości swojej dlatego, że są już po części tą przyszłością. Wierzą w siebie, gdyż dziś już wiedzą, czem się staną okoliczności przyszłe w ich duszach. Okoliczność, sama w sobie, jest to woda czysta, którą nam nalewa los i sama przez się zazwyczaj nie posiada smaku, barwy, ni zapachu. Staje się piękną, smutną, słodką, gorzką, trującą, czy też ożywczą, stosownie do jakości duszy, która ją przyjmuje w siebie. Wszyscy

otaczający nas przeżywają różne rzeczy, mające w sobie, zda się, zaródź heroizmu, a gdy miną, nic bohaterskiego z nich nie zostaje. Ale oto Chrystus spotyka na drodze gromadkę dzieci, cudzołożnicę, samarytanę i ludzkość trzykrotnie, raz po raz, wznosi się na wyż boskości.

IX.

Ludzi spotyka, rzecz można, to, co chcą, by ich spotkało. Coprawda, możemy wywierać wpływ słaby jeno na pewną ilość wydarzeń zewnętrznych, ale oddziałujemy niezaprzeczalnie na to, czem te wydarzenia staną się dla nas, to znaczy, na ich część duchową, świetlaną, na duchową i nieśmiertelną istotę każdego faktu. Istnieje tyśiące istot, w których ta duchowa treść wydarzenia, pragnąca odżyć w całej miłości, czy nie-szczęściu, nie zdołała istnieć ni przez chwilę i ludzie ci są to niby szczątki rozbitej łodzi, płynące z prądem. W innych ta część nieśmiertelna ogarnia wszystko i są oni podobni do wysp na morzu, gdyż znaleźli oparcie, z którego kierują swem wewnętrznem przeznaczeniem. Każde przeznaczenie istotne jest wewnętrznem. Życie większości zaciemnia lub rozjaśnia to co ich spotyka, natomiast życie wewnętrzne ludzi, o których mówię, samo rozświetla wszystko, co ich spotka. Jeśli kochamy, nie miłość ta stanowi część naszego

przeznaczenia, ale przeciwnie świadomość, którą odnaleźliśmy w głębi tej miłości, ukształtuje życie nasze. Jeśli zostaliśmy zdradzeni, nie zdrada jest rzeczą najważniejszą, ale przebaczenie, jakie zrodziła w duszy naszej i rodzaj tego przebaczenia mniej lub więcej ogólny, podniosły, czy świadomy, skieruje życie nasze ku pokojowi, jaśni i przeznaczeniu, w którym przejrzymy się lepiej, niż gdybyśmy nie zostali zdradzeni. Ale jeśli zdrada nie przysporzyła nam prostoty i ufności wyższego typu, nie rozszerzyła miłości naszej, natenczas daremną była i możemy sobie powiedzieć, że nic się nie stało.

X.

Pamiętajmyż, że wszystko co się dzieje, jest tej samej co my natury. Każda przygoda jawi się duszy naszej w postaci naszych zwyczajnych myśli i nigdy nie doznał przygody bohatera ten, kto nie jest w skrytości ducha bohaterem od lat długich. Wychodźmyż na góry, schodźmy ku wsiom, wędrujmy na koniec świata, lub przechadzajmy się wkoło domu, a na wszystkich drogach przypadku spotkamy tylko siebie. Judasz wychodzący wieczorem napotka Judasza i znajdzie sposobność zdrady, ale jeśli Sokrates drzwi otworzy, spotka zaśnionego Sokratesa i znajdzie sposobność być mędrce. Przygody nasze krążą koło nas, jak rojące się pszczoły w koło ula. Czekają, by idea-królowa wyszła nakoniec z naszej duszy, a gdy się ukaże, otaczają ją. Kłam, a zbiegną się do ciebie kłamstwa, Kochaj, a rój przygód zadrga miłością. Wszystko, zda się, czeka tylko sygnału wewnętrznego, a jeśli dusza twoja stanie się mędrszą wieczorem, nieszczęście, które sama rano postawiła na placówce, nabierze mądrości.

XI.

Wielkich przeżyć wewnętrznych nie będą mieli nigdy ci, którzy nie uczynili nic, by je przyzwać do siebie, a jednak najdrobniejsze zdarzenie życia nosi w sobie zaródź wielkiego, wewnętrznego wydarzenia. Ale te wydarzenia są niewolnikami sprawiedliwości i każdemu z ludzi dostaje się część łupu, na jaką zasługuje. Stajemy się dokładnie takimi, jak to, co odnaleziemy w szczęściu czy nieszczęściu, jakie nas spotyka, a najbardziej niespodziewane kaprysy losu nabierają z czasem form myśli naszych. Odzież, broń i ozdoby przeznaczenia znajdują się w naszym życiu wewnętrznym. Gdyby Sokrates i Tersytes jednego dnia stracili każdy jedyne go syna swego, nieszczęście Sokratesa nie byłoby zgoła podobne do nieszczęścia Tersytesa. Sama śmierć nawet, rzekomo niezmienna, posiada inne nawyki, gesty, inne łzy w domu dobrego i złego człowieka. Rzecz można, nieszczęście i szczęście oczyszcza się, nim zastuka do drzwi mędrca, a pochyla głowę, wkraczając do duszy przeciętnej.

XII.

W miarę nabywania mądrości uchylamy się różnym rodzajom przeznaczenia instynktownego. Każda istota pożąda do pewnego stopnia mądrości, zdolnej przeświecić świadomością większość przypadków życia. To bowiem, co się przemieniło w świadomość, nie jest już potęgą wrogą. Cierpienie, które dusza nasza przemieniła w słodycz, pobjażanie i uśmiech cierpliwości, nie powróci już bez duchowej przyozdoby, a występki, czy wada, którym spojrzeliśmy w twarz, nie mogą już szkodzić, ni nam samym ni innym.

Istnieją ciągle stosunki pomiędzy instynktem a przeznaczeniem, pomagają one sobie wzajem i ręka w rękę krążą dokoła człowieka nieuważnego. Ale każdy, kto umie zmniejszać w sobie ślepe moc instynktu, pokonywa jednocześnie siłę przeznaczenia. Stwarza on, rzecz można, rodzaj azylu nie podległego zgwałceniu w stosunku do stopnia swej mądrości, a ci, którzy trafem znajdują się w kręgu oświetlonym tą jego świado-

mością, wolni będą od zamachów przypadku, jak długo w nim pozostaną. Umieśćmyż Chrystusa i Sokratesa pośród Atrydów, a Orestja nie będzie miała miejsca, jak długo gościć będą w pałacu Agamemnona. Gdyby zaś usiedli na progu domu Jokasty, Edyp nie pomyślałby nawet o wylupaniu sobie oczu. Istnieją nieszczęścia, któremi nie śmie posługiwać się los w obecności duszy zwycięskiej w walce z nim, a nieraz zjawienie się mędrca zapobiega tysięcom dramatów.

XIII.

Zaprawdę, obecność mędrca paraliżuje przeznaczenie i niema chyba dramatu, w którymby uczestniczył mędrzec prawdziwy, a i w takim nawet razie dramat przerwałby się, zanimby popłynęły łzy i krew. Nietylko niema dramatów pomiędzy mędrcami, ale także wokół nich. Trudno sobie wyobrazić zatarg tragiczny pomiędzy istotami, które poważnie zbadaly świadomość swoją, a bohaterowie wielkich tragedyj nie sięgają głęboko w dusze swoje. To też poeci tragiczni ukazują nam jeno piękno mniej lub więcej spętane, bo gdy bohaterowie sięgną wyżyn prawdziwego bohaterstwa, rzucają broń, a dramat rozplywa się w świetlanym pokoju. Jedyne dramaty mędrców, to *Fedon*, *Prometeusz*, męka Chrystusa, śmierć Orfeusza i ofiara Antygony. Pomijając jednak te dramaty mędrców, zauważymy, że poeci tragiczni nader rzadko wprowadzają na scenę mędrca. Boją się ich duszy podniosłej, gdyż wypadki jej unikają, a morderstwo, popełnione w obecności

mędrca, ma zgoła inne znaczenie, jak w obecności tych, których dusza nie zna jeszcze samej siebie. Gdyby Edyp posiadał owe pewniki, jakie osiągnąć może każdy mędrzec, gdyby posiadał tę schronę, ciągle gotową, jaką zbudował w sobie, na przykład, Marek Aureljusz, cóżby był począł los i czyż mógłby był schwytać w pułapkę ową czystą światłość, jaką promieniuje dusza wielka, piękniejsza jeszcze w nieszczęściu?

Gdzież jest mędrzec w Edypie? Czy jest nim może Tirezjasz? Zna on przyszłość, ale nie wie, że dobroć i przebaczenie włada przyszłością. Zna on prawdę świętą, ale nie zna prawdy ludzkiej. Obcą mu jest mądrość, która obejmuje w ramiona nieszczęście i przepaja je siłą swoją. Ci, co wiedzą, nie wiedzą nic, jeśli nie umieją kochać, gdyż prawdziwym mędrce nie jest ten, kto wie, ale kto sięgając jak najdalej wiedzą, najgłębiej kocha ludzi. Wiedzieć, a nie kochać, znaczy spoglądać w ciemń.

XIV.

Powiadają, że każda wielka tragedia przedstawia walkę człowieka z losem. Ja przeciwnie sądzę, że w żadnej tragedji przeznaczenie nie włada naprawdę. Daremnie poszukuję jednej bodaj, gdzie bohater zwalczałby samo jeno przeznaczenie. Zasadniczo miota się nie na los, ale na mądrość. Fatalizm prawdziwy, to jeno jakieś nieszczęście zewnętrzne, choroba, wypadek, lub śmierć niespodziana drogich osób. Ale niema fatalizmu wewnętrznego. Mądrość wyposażona jest w wolę, która prostuje wszystko, co tylko nie dotyka śmiertelnie naszego ciała i często udaje jej się przeniknąć w ciasny krąg fatalizmu wewnętrznego. Trzeba, coprawda, nagromadzić przedtem w sobie skarb wielki z cierpliwością i wytrwaniem, zanim ta wola znajdzie w ważkim momencie siłę potrzebną.

XV.

Posąg przeznaczenia rzuca cień ogromny na dolinę, która zda się grażyć w ciemności, ale cień ten posiada zarys bardzo wyraźny dla patrzących ze zbocza góry. Rodzimy się w nim, coprawda, ale wielu ludziom danem jest wyjść z jego kręgu, a jeśli słabość nasza lub niedostatki trzymają nas aż do śmierci w strefie ciemnej, tem większą jest rzeczą, gdy się uda uciec z niej czasem, przy pomocy pożądanego i myśli. Przeznaczenie włada, być może, mocarniej tym i owym z pośród nas, z powodu obciążenia dziedzicznego, instynktu i innych praw jeszcze trudniejszych do wyśledzenia, głębszych i mniej znanych, ale wówczas nawet, kiedy nas gnębi nieszczęściami niezasłużonemi i dziwnemi, kiedy nas zmusza do czynów, którychbyśmy się nie dopuścili, gdyby nam nie związało rąk, nawet gdy już przyjdzie nieszczęście i czyn zostanie spełniony, jeszcze i wtedy od nas zależy wyłącznie tylko, czy uzyszcze wpływ na to, co się dzieje w duszy naszej.

Gdy los dotyka serce, przepojone dobrą wolą, to nieszczęście lub błąd poznany staje się dlań źródłem nowej jaśni. Dusza przemienia niechybnie każdą niedolę w myśli, w uczucia, w dobra trwałe. Każda potęga zewnętrzna zatrzymuje się przed progiem, na którym czuwa któryś z cichych stróżów życia wewnętrznego. A jeśli nawet dozwolimy jej wstępu, to będzie gościem dobroczynnym, który ożywi senną atmosferę, przywróci pokój, wzmoże światłość, pogłębi pogodę i rozjaśni widnokrąg.

XVI.

Rozważmy raz jeszcze, co uczyniłoby przeznaczenie, gdyby myląc się, odnośnie do duszy zastawiło sidła, takie jak Edypowi, na przykład na Epikura, Marka Aureljusza, czy Antonjusza Pobożnego? Przypuśćmy nawet, że mogłoby skłonić, dajmy na to, Antonjusza do ojcobójstwa i nieświadomego zbeszczeszczenia łoża matki. Cóżby atoli zachwiało w duszy szlachetnego władcy? Niezawodnie dramat ten miałby rozwiązanie takie samo, jak wszystkie dramaty mędrców, to znaczy spowodowałby, co prawda, ból wielki, a jednocześnie jaśń wielką zwycięską rozbłysłaaby w samym momencie przemijania cienia, jaki rzucił. Antonjusz płakałby, jak każdy człowiek, ale łzy nie gaszą nigdy promieni duszy, która lśni własnym, niepożyczanym światłem. Ból mędrca jest dalekim od rozpacz, a drogi tej mądrość nigdy nie przebywa. Na tych wyżynach, gdzie żył Antonjusz, myśli sięgające wzwyż i uczucia, zmierzające w szlachetny cel, przelśnie-

wają wszelkie łyzy. Zawarłby nieszczęście w wielkiej i czystej duszy swojej, a nieszczęście przybiera, jak woda, kształt naczynia, które je mieści. Powiemy, że Antonjusz poddałby się. Ale winniśmy podkreślić, że wyrażenie to zasłania często to, co się dzieje w duszy wielkiej. Każda pierwsza lepsza dusza wyobraża sobie, że się poddaje. Niestety, nie rezygnacja pociesza nas, kształci i oczyszcza, ale te myśli i te cnoty, w imię których poddajemy się i to właśnie stanowi nagrodę, jaką mądrość, wedle zasług, wymierza wiernym swoim.

Istnieją idee, niedosiężne dla żadnej klęski. Zazwyczaj starczy, by jakaś idea wzniosła się ponad próżność, obojętność i codzienne sobkostwo, a ten, kto ją żywi w duszy, nie może już zostać skaleczony. To też, w szczęsnej czy smutnej doli, ten z ludzi będzie najszczęśliwszym, który ma ideę najszczytniejszą i pała dla niej największą miłością. Przeznaczenie mogło uczynić Antonjusza Pobożnego kazirodcą i ojcobójcą, ale nie niszczałoby przez to, jak u Edypa, jego życie wewnętrzne, jeno przeciwnie, umocniłoby się przez samą katastrofę, a przeznaczenie umknęłoby, porzucając u progu pałacu imperatora stargane sieci swe i pokruszoną broń. Jeśli w Rzymie jeno mogli być triumfatorami konsulowie i dyktatorzy, to prawdziwy triumf może przeznaczenie odnieść jeno w duszy.

XVII.

Gdzież jest źródło fatalizmu *Hamleta*, *Króla Leara* i *Makbeta*? Tron jego to szaleństwo starego króla, niższe stopnie wyobraźni młodego królewicza i szczyty chorobliwych pożądań władcy Kawdoru. Nie mówiąc już o tym ostatnim, ni ojcu Kordelji, bo jest to aż zbyt wyraźne, pytajmy, czy Hamlet jest mędrce prawdziwym? Czy z dość wysoka spogląda na zbrodnie Elzinory? Patrzy na nie, zdawałoby się, ze szczytów rozsądku, czyliż atoli nie wznoszą się wyżej granic dobroci, wiary, pobożania i miłości, stanowiące świetlany łańcuch gór mądrości prawdziwej? Cóżby się z nim stało, gdyby ujmował wydarzenia elzinorskie tak jak Marek Aureljusz, lub Fene-lon? Zresztą, czyż nie zdarza się, że zbrodnia staje w miejscu, dotknięta spojrzeniem po-tężnej duszy i nie kroczy dalej w ciemń, po-dobnie, jak pszczoły zawieszają pracę, gdy pro-mień słońca padnie do wnętrza ula?

W każdym razie przeznaczenie prawdziwe, któremu ulegli Klaudjusz i Gertruda, — gdyż ulegamy losowi, czyniąc coś złego — owo przeznaczenie wewnętrzne mogło być rozwinąć się w duszach winowajców, ale czyż mogłoby być przekroczyć tę niezwyciężoną zaporę, jaką stanowi obecność mędrca u bram pałacu? Przeznaczenia ludzi, nie będących mędrcami, ulegają wpływowi przeznaczenia napotkanego mędrca, natomiast mędrzec rzadko doznaje tego samego ze strony przeznaczeń niższych. Zarówno fatalizm, jak rzeka nie płynie w górę, ku źródłom swoim. Ale wracając do idei pierwotnej, wyobraźmy sobie, na miejscu Hamleta, w Elzinorze jakąś duszę potężną, naprzykład Chrystusa. Czy wówczas mogłaby się rozwinąć cała tragedia, aż do poczwórnej śmierci? Sądzę, najzręczniejsza zbrodnia, wobec głębokiej mądrości, przypomina teatrzyk dziecięcy, a jeden promień słońca wykryć jest w stanie całe jej ubóstwo i kłamliwość. I oto Chrystus, czy poprostu mędrzec jakiś, jawi się pośród ciemności Elzinory. Myślą wyłączną Hamleta jest obowiązek zemsty, a nie trzebaby chyba nadludzkiego wysiłku, dla poznania, iż obowiązek taki istnieć nie może nigdy. Hamlet, powtarzam, myśli dużo, ale mędrce nie jest. Nie domyśla się wcale, gdzie jest szczybka w zbroi przeznaczenia.

czenia. Nie trzeba ciągle władać myślami górnymi, by zwyciężyć, gdyż fatalizm żywi jeszcze górniesze, żadne atoli przeznaczenie oprzeć się nie może myślom słodkim, dobrym, prostym i uczciwym. Jedyńy sposób ujarzmienia losu polega na tem, by postępować wręcz przeciwnie i jego poduszczeniom do zła nie dawać posłuchu. Dramatów nieuniknionych niema. Katastrofa elzjorska następuje jeno dzięki dobrowolnej ślepotie wszystkich dusz, a jedna świadoma dusza otwarłaby oczy wszystkich. Jedyńie w zaślepieniu Hamleta istnieje konieczność śmierci Laertes, Ofelji, Gertrudy, jego samego i Klaudjusza. Ale zaślepienie to nie było nieuniknionem. Nie wzywajmyż interwencji losu tam, gdzie jedna myśl może wyrwać broń morderczą z ręki potęg mściwych, Jest to piękna rola. Władztwo losu przejawia bezsprzecznie mur, który mnie przywała, burza druzgocząca okręt, lub epidemja, zabierająca drogę sercu osoby. Ale wkracza ten los jeno do dusz, które go przyzywają. Hamlet jest nieszczęśliwy, gdyż kroczy przez straszne ciemnie i ta nieświadomość właśnie powoduje jego nieszczęście. Fatalizm pełni wiernopoddańczo wolę ludzi, umiejących rozkazywać. Rozkaz taki dać mógł nawet Horacjo, w ostatniej chwili nie posiadał jednak dość energji, by wyjść z cienia pana swego.

Starczyłoby krzyknąć prawdę w Elzinorze, a dzieje Elzinory nie potoczyłyby się były drogą nienawiści i zbrodni. Nie było atoli duszy tak odważnej. Zły los w palcach obdarzonego mądrością wiotki jest, jak świeżo ścięta wić, natomiast w ręku nieświadomego stanowi żelazną zaporę, nieugiętą i tragiczną. Raz jeszcze, powiedzmy, wszystko tu zależało nie od losu, lecz od mądrości najmędrszego, to jest Hamleta, który też z tego właśnie powodu stał się samą obecnością swoją osią dramatu. Zaś mądrość Hamleta zawisła była jeno od niego samego.

XVIII.

Jeśliby nas razila tragedia wymyślona, możemy zwrócić się do którejś z autentycznych historii starożytności, a przekonamy się, że los i człowiek stoją tam w tymże samym stosunku, nawyku, niecierpliwości, poddaństwa i buntu. I tu przekonamy się, że część najaktywniejszą tego, co zwiemy „fatalizmem,” stworzył sam człowiek. Siła to wielka częstokroć, ale nie jest ona niezłomną. Nie występuje ona w danej chwili z przepaści, nieubłagana, niedostępna, niewymierna. Kształt jej nadaje energja, pożądania, myśli, cierpienia i namiętności bliźnich naszych, tak podobne do naszych i tak łatwe do poznania. W najdziwniejszych nawet przypadkach, gdy idzie o nieszczęścia, zgoła tajemnicze, czy nieprzewidziane, zazwyczaj nie mamy przed sobą wroga niewidzialnego i obcego zupełnie. Nie lubujemy się w tem, co niezwalczone. Ludzie, naprawdę silni, wiedzą, że jest mnóstwo sił niepoznawalnych, przeciwdziałających zamiarom ich, walczą atoli

dzielnie z temi, które znają, tak jakby innych nie było i często odnoszą zwycięstwo. Przeważnie utrwalilibyśmy, zaprawdę, pewność naszą, pokój i szczęście, gdyby nieświadomość i ułomność nasza przestała zwać fatalizmem to, co dla energii i świadomości jest naturalnem i ludzkim w pełni.

XIX.

Oto pamiętna ofiara przeznaczenia — Ludwik XVI. Nigdy, zda się, przeznaczenie bardziej nieubłagane pogrążyć nie chciało człowieka uczciwego, dobrego, łagodnego i cnotliwego. Przyjrząwszy się jednak zbliska tej historii, spostrzeżemy, że jad tego fatalizmu stanowią słabostki, wahania, drobne postęпки dwuznaczne, niekonsekwentne, próżność i zaślepienie ofiary. Pewien rodzaj predestynacji włada życiem naszym i jego przebiegiem, ale tkwi ona w naszym charakterze, zaś człowiek dobrej woli może z łatwością ukształtować swój charakter. W większości przypadków charakter właśnie ulega najczęstszym zmianom. W trzydziestym roku życia innym jest, niż był w dwudziestym. Lepszym się, lub gorszym staje, zależnie od tego, czyśmy przeżyli więcej triumfów kłamstwa, nienawiści, zdrady i złośliwości, czy też prawdy, miłości i dobroci. A zwycięstwo miłości lub nienawiści, prawdy lub kłamstwa zawisło od szczyt-

niejszej, lub bardziej poziomej idei, jaką sobie z biegiem czasu utworzyliśmy o szczęściu i celu życia. To, co tajemnie ożywia pożądaną nas, ponosi nas ze sobą. Jeśli patrzysz z upodobaniem w zło, zło zwycięża wszędzie, ale jeśli przywykłeś szukać prostoty, szczerości i prawdy, odnajdziesz na dnie wszystkiego i dostrzeżesz potężny, cichy triumf tego, coś umiłował.

XX.

Nie możemy zresztą rozpatrywać historii Ludwika XVI. z naszego punktu widzenia. Musimy wżyć się w jego stanowisko, niepewności, zdziwienie, trudności i nieświadomość. Niezmiernie łatwo jest przewidzieć, co należało uczynić, gdy wiemy, co się stało. Ktokolwiekby sądził nasze wahania, naszą chwiejność, czy nieświadomość obowiązku, musiałyby śledzić ślady stóp naszych na owem małym wzgórzu, z którego usiłowaliśmy odkryć przyszłość. Czyż lepiej od Ludwika XVI. wiemy, co nam wypada czynić dziś, z czego zrezygnować, a czego bronić? Czyż mądrzej od niego lawirowalibyśmy pomiędzy prawami ludzkiego rozumu, a prawami okoliczności? Czyż nie jest często obowiązkiem wahanie się, podyktowane przez sumienie? Dzieje nieszczęśliwego króla nauczyć nas mogą w każdym razie, że w chwilach wielkich i szlachetnych powiątpiewań trzeba z całą odwagą iść wprost poza granice wskazane rozsądkiem, sięgając dalej, niż się mieszczą rzeczy

ziszczalne i sprawiedliwe. Idea obowiązku i sprawiedliwości, dziś tak dla nas jasna, inną nam się wyda po latach, czy wiekach. To też należy, jak można najszybciej, osiągnąć przynajmniej punkt krańcowy tego, co wiemy i czego się spodziewamy. Podziwialibyśmy geniusza Ludwika XVI., gdyby był uczynił to, co my na miejscu jego, wiedząc, oczywiście, że tak postąpić należało, to znaczy, gdyby szczerze złożył koronę, odrzucił śmieszne przesady królewskośći, przyjął lojalnie nową prawdę i przepoił się sprawiedliwością wyższą. Nie ulega wątpliwości, że Ludwik XVI., który nie był ni zły, ni głupi, mógł bodaj na mgnienie oka uświadomić sobie sytuację swoją tak jasno, jakby to uczynił filozof, niezainteresowany osobiście. W każdym razie możliwość taka ani historycznie, ani psychologicznie nie jest wykluczona. W chwilach wielkiej niepewności wiemy często, gdzie leży punkt stały, grań niewzruszona obowiązku, ale wydaje nam się, że dzieli nas od tego samotnego, oblanego słońcem szczytu przestrzeń duża, której przebyć nie pozwala narazie rozsądek. A jednak cała historia ludzkości i własnego życia świadczy, że racja mieści się tylko na tym właśnie szczycie, na który z konieczności i tak wyjść będziemy zmuszeni, straciwszy jeno poprzód dużo cennego czasu na pośrednich wzgórzach. Mędrzec,

bohater i wielki człowiek, to właśnie ten, który sam przed innymi wydostał się na pustą wyżyną, dostrzeganą mniej lub więcej wyraźnie przez wszystkich.

XXI.

Nie twierdzimy, że Ludwik XVI. winien był być genjuszem, chociaż genjusz jest niemal obowiązkiem dla człowieka, dzierżącego w rękach losy wielkiej liczby współbraci. Nie twierdzimy też, że najlepsi z nas mogliby byli uniknąć błędów, a zatem i nieszczęść jego. Nie. Jest natomiast rzeczą pewną, że żadne z jego nieszczęść nie miało pozaludzkiego źródła, nie było nadprzyrodzone, a przeto tajemnicze i kosmiczne. Nie przychodziły one z innego świata, zsyłane przez Boga potwornego, niepojętego i kapryśnego. Urodziły się one z zapoznanej dotąd idei sprawiedliwości, która zjawiała się nagle wśród życia, atoli w umysłach ludzkich drzemiała zawsze. Cóż jest atoli w życiu bliższe, bardziej ludzkie, nad ideę sprawiedliwości? Pokój Ludwika XVI. znieweczył fakt, że idea ta zbudziła się właśnie podczas jego panowania, i to jeno mógł zarzucać przeznaczeniu. Źale, jakie my mamy do losów naszych, posiadają zazwyczaj tę samą wartość.

Możemy zresztą z zupełnem prawem twierdzić, że przebieg wydarzeń mógł zmienić w zupełności jeden bodaj akt energii, lojalności bezwzględnej, mądrości bezstronnej, szlachetnej i przewidującej. Ludwik XVI. nie umarłby, na pewno na szafocie, gdyby ucieczka jego do Varennes, będąca zresztą postępkiem dwuznacznym i karygodnej słabości, została urządzona w sposób nie tak dziecinny i nierozsądny, w sposób godny każdego człowieka, nawykłego do wymogów realnego życia. Czyż bóstwo jakieś, lub ślepa uległość dla Marji Antoniny skłoniły go do powierzenia przygotowań i kierownictwa tej nieszczęsnej podróży głupiemu, próżnemu i niezręcznemu Fersenowi? Chyba nie żadna siła tajemnicza, ale własna lekkomyślność i owa beztroska, która cechuje słabych w niebezpieczeństwie, oraz pewne niedbalstwa, a jednocześnie prowokacyjne zaufanie we własną gwiazdę sprawiły, że ciągle wyglądał oknem berlinki i został poznany trzy, czy cztery razy. Podobnie też działo się w chwilach decydujących tej ponurej, pełnej napięcia nocy, kiedy to zdawało się, że na widnokręgu sterczy skała przeznaczenia. Ludwik XVI. postępuje ciągle chwiejnie, niby dziecko, stawiające pierwsze kroki, niepewne, czy nie potknie się o jakiś kamyk biały, lub kępę trawy.

Wśród czarnej nocy zabrzmiał nakoniec okrzyk grozy, wyrzucony przez młodego Droueta: *Imieniem narodu!*... I w tej chwili nawet jeszcze jeden rozkaz króla, jedno zacięcie koni i rzucenie ich galopem byłyby to fakty ważkie, zmieniające bieg dziejów świata, tak że prawdopodobnie ani ja, ani wy nie urodzilibyśmy się wcale. Potem zaś miał przed sobą mera pełnego szacunku, zmieszanego, trwożnego, który czekał jeno władczego słowa, by otworzyć wszystkie drzwi gospody. To samo działo się też w małym sklepiku ciastkarskim Sauce'a, a wkońcu po przybyciu Goguelata i Choiseula z huzarami, którzy mu oddawali honory i w dwudziestu jeszcze momentach. Starczyło jednego słowa, gestu, spojrzenia! Postawmy dziesięciu znanych nam dobrze ludzi w sytuacji króla Francji, a łatwo będzie przewidzieć wynik dziesięciu wyników tejsze samej nocy. Noc to była, zaprawdę, przynosząca wstyd królowi, a jednocześnie objawiło się w niej przeznaczenie. Nigdy chyba jaśniejszem nie było, jak nędzną, jak bardzo zawisłą i płochliwą jest owa rzekomo tajemnicza siła, która ciąży na życiu naszym, w momentach nadmiernej rezygnacji. Ukazała nam się zupełnie pozbawioną szat pożyczonych, imponujących i złudnych. Zapłakana i wahająca się sto razy pomiędzy życiem, a śmier-

cią, rzuciła się, niby przerażona kobieta, w ramiona człowieka nieszczęśliwego, trochę bardziej realnego od niej, i nieco więcej zdecydowanego, błagając go, by do rana powziął postanowienie i dał jej byt, którego źródłem jest jeno rozum i wola człowieka.

XXII.

Nie jest to jednak prawda pełna. Należy oczywiście patrzeć w ten sposób na rzeczy, zmniejszać rolę fatalizmu, postępować z nim jak z kobietą pełną wahania i trwogi, którą należy przygarnąć i pokierować. Daje nam to w chwilach niebezpiecznych zaufanie w samych siebie, inicjatywę i męstwo, bez czego nie sposób dokonać niczego użytecznego. Nie wynika stąd jednak, by poza rozumem i wolą nie istniało nic i by z nimi jeno liczyć się trzeba. Inteligencja i wola winny, jako zwycięscy żołnierze, żyć kosztem nieprzyjaciela. Winny nawyknąć do korzystania z swych sił nieznanych, które nimi władają. Zbyt jest ciasne szczęście człowieka bez misji i czyny powszednie, a wychodzimy poza nie, jeno krocząc z pełną pewnością siebie wolą, tą ścieżką, którą znamy. Winniśmy jednak zarazem pamiętać o przestrzeni nieznannej, którą owa ścieżka biegnie. Nawykajmyż tak postępować, jakby wszystko było nam podległe, jedno-

cześciej atoli bądźmy gotowi ulec w sposób szlachetny potęgom wielkim, jakie napotkamy. Koniecznym jest, by ręka nasza sądziła, iż wszystko zostało przewidziane, ale tajemna, nieugięta i niewzruszona idea, żyjąca w naszej duszy, mówić nam winna, iż wszystko, co wielkie, jest zawsze niemal nieprzewidziane. Owe potęgi nieogarnięte i nieznane, zdolne dokonać rzeczy, którychbyśmy się jąć nie śmieli, przyjdą nam z pomocą, ale wówczas tylko, jeśli znajdą w głębi serca naszego ołtarz sobie poświęcony. Taką to właśnie część działania w czynach niezwykłych pozostawiali losowi ludzie największą wyposażeni wolą, jak n. p. Napoleon. Ludzie, niezdolni żywić wielkich nadziei, oddają się przypadkowi ślepo, jak słabe dziecko, inni zostawiają mu jeno wielki rozłóg, nieprzebieżony dotąd przez ludzką istotę, ale nie tracą go z oczu.

XXIII.

Wstrząsające chwile dziejów przypominają burzę morską. Biegniemy z równi nad brzeg, spoglądamy z wysokiej skały i wytężając słuch, pytamy o coś ogromne fale, z napięciem i dziecięcą ciekawością. Nadchodzi ściana wodna trzykroć wyższa od poprzednich, sunąc niby potwór o przejrzystych mięśniach. Niesie ona, zda się, spieszenie od krańca widnokregu jakieś objawienie ważne i stanowcze. Żłobi poza sobą bródzę tak głęboką, jakby ocean miał odkryć jakąś swą tajemnicę. A jednak dzieje się zupełnie tak, jak kiedy patrzymy na fale małe, niedołączone, lub gładkie zwierciadło w dni bezwietrzne i bez chmur. Jedna warstwa niezbadana spoczywa na drugiej, również niezbadanej i nie dostrzegamy żywej istoty, rośliny, ni kamienia.

Gdyby cośkolwiek mogło zniechęcić mędrca, który przestaje być mędrce, gdy niespodziany przyływ zniechęcenia budzi w nim zdumienie i pobudza ciekawość, to znalazłby on w tejże

samej Rewolucji niejeden żywot, o wiele bardziej ponury, tragiczniejszy i niezrozumialszy od historii Ludwika XVI. Mam na myśli Żyrondyków, a przede wszystkim przedziwnego Vergniauda. Trudnoby nam postępować chyba mądrzej i szlachetniej, niż on, dziś nawet, kiedy znamy wszystko, co przed nim skrywała przyszłość, kiedy odgadujemy potrosze, dokąd zmierzała instynktownie idea tego niezwykłego stulecia. Niesposób w każdym razie wyobrazić sobie, by człowiek, rzucony w samo zarzewie tego dramatu niesłychanego, łączyć mógł większy rozum z szczytniejszym charakterem. Któraż to postać bez plamy, która istota dostojna, wolna od strachu, od myśli ubocznych, od błędów i słabości, jakie często tkwią w naszych sercach obok sił najczystszych, całej mądrości i całej miłości, chciałaby usiąść przy nim na opustoszałych już ławach Konwentu, „gdzie zdawał się unosić cień śmierci,” któżby chciał tam iść, by jak on, myśleć, przemawiać i działać? Widział on to, co było wiecznym i nieomylnym po drugiej stronie tragicznej chwili i umiał pozostać wiernym ludzkości i pobłażaniu w owe dni straszne, kiedy to ludzkość i pobłażanie zdawały się najzaciętszymi wrogami onego ideału sprawiedliwości, któremu poświęcił wszystko. „Ogarnięty

wielkiem i szlachetnem powątpiewaniem posunął się z całą odwagą i bezpośredniością poza to, co się zdawało rozsądnem, ziszczalnem i sprawiedliwym." W pół drogi spotkała go śmierć nagła, choć spodziewana, ale nauczył nas, że częstokroć w walce człowieka z przeznaczeniem nie idzie o ocalenie życia cielesnego, ale o najpiękniejsze uczucia i myśli najlepsze.

— Cóż mi przyjdzie z najlepszych myśli, skoro żyć przestanę? — Tak pytają jedni. Drudzy zaś odpowiadają: — Cóż zostanie ze mnie, jeśli dla ocalenia życia poświęcę to, co miłuję sercem i umysłem? Wybór ten niemal zawsze decyduje o całej moralności, cnocie i bohaterstwie człowieka.

XXIV.

Czemże jest atoli owa mądrość, o której mówimy w ten sposób? Nie starajmyż się zdefiniować jej zbyt ściśle, gdyż równałoby się to zacieśnianiu. Ktoby to chciał uczynić, byłby jak człowiek, który gasi światło, mając badać jego istotę. Pozostałby mu jeno poczerńiały knot i popiół. — Słowo „mądry“ powiada Jaubert, — rozumie każde dziecko i tłumaczyć mu go nie trzeba. Przymijmyż je tedy jak dziecko i niech wzrasta razem z nami. Powiedzmy o mądrości to, co o miłości powiedziała siostra Hadewijck, tajemnicza nieprzyjaciółka Ruijsbroecka Przedziwnego: — Największa jej głębia jest jej najpiękniejszym kształtem! — Cóż mądrości po kształcie? Piękno jej winno być zmienne, jak płomień. Nie jest to bogini nieruchoma, wiecześnie siedząca na tronie. To Minerwa, która nam towarzyszy, porusza się, płacze z nami i raduje się z nami. Mądrość nasza zmieniać się winna od

kołyski do grobu. Mądrość nasza wzrasta w miarę,
jak piękniejsze i głębsze jej nadajemy znaczenie,
a z każdym stopniem wznoszenia się ku mądrości
dusza dostrzega coraz większe dale, których mą-
drość przebyć nigdy zdolną nie będzie.

XXV.

Być mądrym, znaczy mieć świadomość samego siebie, ale w chwili, kiedyśmy osiągli bardzo rozległą świadomość istoty własnej, spostrzegamy, że mądrość to coś nierównie głębszego od samoświadomości. Zwiększanie świadomości jest godnem pożądania dlatego, że odkrywa coraz to wyższe sfery nieświadomości, a dopiero na szczytach tej nieświadomości biją źródła mądrości najczystszej. Wszyscy posiadamy to samo dziedzictwo nieświadomości, część tego terytorjum leży poniż, a część powyż świadomości normalnej. Większość nie przekracza pierwszej strefy, ale miłośnicy mądrości nie zaznają spokoju, dopóki nie wstąpią na ścieżkę nową, ku tej drugiej wiodącą. Jeśli kocham i uświadamiałem sobie miłość mą w mierze najwyższej, dostępnej człowiekowi, to uczuciu temu przyświeca zgoła inna nieświadomość, niżli ta, która ćmi miłość powszednią. Ta ostatnia otacza zwierzę, pierwsza stanowi nimb boga. Ale dzieje się to wówczas

dopiero, kiedy przestajemy odczuwać tę świadomość. Nigdy wyjść tedy nie zdołamy poza nieświadomość, ale możemy ulepszać ciągle jakość owej nieświadomości, w której jesteśmy pogrążeni.

XXVI.

Być mądrym, nie znaczy to uwielbiać jeno rozum swój i przyzwyczajać go do zwycięstw łatwych nad instynktami niższemi. Zwycięstwa te byłyby nader jałowe, gdyby nie uczyły rozumu tem korniejszego poddawania się instynktom innego rodzaju, to znaczy, instynktom duszy. Triumfy te codziennie służą instynktom coraz to szczytniejszym dla przejawiania się z coraz to większą swobodą. Cel ich leży poza niemi. Mają torować drogę przeznaczeniu duszy naszej, która jest czystością i światłem.

XXVII.

Rozum rozwiera wrzeczadze mądrości, ale najwyższa mądrość nie mieści się w rozumie. Rozum zamyka drzwi przed złym losem, a mądrość rozwiera na widnokręgu drzwi inne szczęsnemu przeznaczeniu. Rozum broni, zabrania, odpiera, wyklucza i niweczy. Mądrość idzie przebojem, wydaje rozkazy, posuwa naprzód, zwiększa i tworzy. Mądrość jest raczej łaknieniem duszy, niż wytworem rozumu. Żyje ponad rozumem, to też mądrość prawdziwa dokonywa mnóstwa rzeczy, nie uznaje lub uznaje dużo później dopiero. Mądrość to właśnie powiedziała pewnego dnia rozumowi, że należy płacić dobrem za złe i miłować nieprzyjaciół swoich. A rozum zgodził się wkońcu, osiągnęszy w pewnej chwili punkt szczytowy władztwa swego. Nie zaspokoilo to jednak mądrości i sama sięga dużo dalej.

XXVIII.

Mądrość pozostałaby stale niezmienioną, gdyby słuchała jeno rozumu i gdyby przedstawiała na zwalczaniu głosu instynktu. Istniećby wówczas mogła jedna tylko mądrość, a człowiek chodziłby ciągle w koło, ponieważ rozum nieraz już okrążył terytorjum swoje.

Istnieją różne punkty stałe w mądrości, jakże atoli różne są atmosfery mądrości Sokratesa, Chrystusa, Arystydesa, Marka Aureljusza, Fenelona i Jean Paula! Nic nie zmienia się chyba bardziej, jak jedno i to samo zdarzenie, jeśli padnie w wodę żywą mądrości tych ludzi miast w stawisko ich rozumu, gdzie zostałyby wiecznie samem sobą. Wyobraźmy sobie, że Chrystus i Sokrates spotkają nierządnicę. Rozum ich powie mniej więcej to samo, natomiast mądrość ich, sięgająca poza słowa i myśli, będzie miała odruchy przynależące do zgoła odrębnych światów. Samo życie mądrości domaga się tych różnic. Mędrycy wychodzą z jednego zawsze punktu, który stanowi

próg mądrości. Ale zaczynają się oddalać od siebie, począwszy od miejsca, na którym triumf rozumu był zupełny, to znaczy, z chwilą, kiedy mogą swobodnie wkroczyć w sferę nieświadomości wyższego rzędu.

XXIX.

Wielka to różnica, gdy powiemy: — To jest rozumne — a: To jest mądre! — Rzeczy rozumne nie muszą być konieczn­ie mądre, a to co bardzo mądre, nigdy niemal nie jest rozumne w oczach składnego rozsądku. Rozum naprzykład rodzi sprawiedliwość, a mądrość rodzi dobroć, która zdaniem starego Plutarcha sięga dużo dalej, niż sprawiedliwość. Żali od rozumu, czy mądrości zależy bohaterstwo? Można­by powiedzieć, że mądrość jest to poczucie nieskończoności, zastosowane do naszego życia moralnego. Rozum odczuwa także nieskończoność, ale uczucie to jest mu jeno martwym stwierdzeniem faktu. Uważa za swój obowiązek nie liczenie się z tem w życiu, natomiast mądrość wzrasta wraz z aktywną przewagą nieskończoności we wszystkich jej czynach.

W rozumie niema miłości, a dużo jej posiada mądrość, a mądrość najwyższa nie różni się już wcale od miłości w szczytowym kształcie swoim.

Miłość jest najbardziej boską formą nieskończoności, a jednocześnie, z tego właśnie powodu, najgłębiej ludzką. Można by też powiedzieć, że mądrość jest zwycięstwem rozumu boskiego nad ludzkim.

XXX.

Nie można być zbyt rozumnym, ale samej jeno mądrości przysługuje prawo apelowania do rozumu. Nie jest mądrym ten, czyj rozum nie nauczył się ulegać pierwszemu skinieniu miłości. Czegóż byłby dokazał Chrystus, czy różni bohaterowie, gdyby rozum ich nie był posłuszny? Czyż każdy czyn bohaterski nie przekracza granic rozumu? A nikt nie powie chyba, że bohater jest mniej mądry od człowieka, który słucha jeno swego rozumu, siedzi cicho w kącie. Trzeba tu powtórzyć, że nie rozum, ale miłość winna być czarą, w której hodujemy mądrość prawdziwą. Rozum mieści się, coprawda, u korzenia mądrości, ale mądrość nie jest kwiatem rozumu. Nie idzie nam tu, powiedzmy, używając innego porównania, o mądrość logiczną, która jest wnuczką rozumu, ale o mądrość inną, umiłowaną siostrę miłości.

Rozum i miłość walczą ze sobą zrazu zacięcie w duszy wznoszącej się nad ziemię, ale mądrość

rodzi się ze zgody, do której wkońcu rozum
i miłość dochodzi, a pokój ten jest tem głębszy,
im więcej praw rozum ustąpił miłości.

XXXI.

Mądrość jest dla miłości światłem, a miłość stanowi pożywienie światła. Im głębszą jest miłość, tem staje się mędrsza, a mądrość, rosnąc, zbliża się do miłości. Kochaj, a staniesz się mądrym, nabieraj mądrości, a zaczniesz kochać. Nie można kochać prawdziwie, nie stając się lepszym, a stawać się lepszym, znaczy nabierać mądrości. Każda istota kochająca ulepsza coś w swojej duszy, nawet wówczas, gdy idzie o miłość powszednią, ci zaś, którzy kochają stale, czynią to dlatego, że stale stają się lepsi. Miłość i mądrość żywią się sobą wzajem. Jest to świetlany krąg, pośrodku którego kochający całują mądrych. Miłość i mądrość są nierozdzielne, a w raju Swedenborga oblubienica jest ukocha-
niem mądrości w sercu mędrca.

XXXII.

Rozum nasz — powiada Fenelon — stanowi idee jasne! — Natomiast mądrość, możnaby dodać, to znaczy to, co mamy w duszy i charakterze najlepszego, mieści się w ideach niezupełnie jasnych jeszcze. Powodując się w życiu samemi jeno jasnymi ideami, nie zasłużylibyśmy na miłość, ni szacunek. Najmniej jasne są w gruncie rzeczy, racje, które nam nakazują być dobrymi, sprawiedliwymi, szlachetnymi i zawsze żywić uczucia i myśli tak wzniosłe, jak to tylko możliwe. Na szczęście, im więcej nabywamy idei jasnych, tem bardziej uczymy się cenić nie całkiem jeszcze jasne. Winniśmy gromadzić jaknajwięcej idei jasnych, a to w tym celu, by osiąść jeszcze większą ilość idei mglistych narazie. Ideje jasne kierują, zda się, życiem naszym zewnętrznem, natomiast nie ulega wątpliwości, że te drugie władają życiem wewnętrznem, któremu zawsze ulega w końcu życie zewnętrzne. Od ilości idei jasnych zawisł zasób, jakość i siła naszych idei mglistych,

a jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że większa część prawd ostatecznych, poszukiwanych z taką usilnością, czeka cierpliwie swej godziny wśród ciżby swych idei mglistych. Ważna to sprawa skrócić oczekiwanie. Piękna, jasna idea, jaką obudzimy w sobie, zbudzi niewątpliwie piękną ideę mglistą, a gdy ta ostatnia na starość wyjaśnieje — czyż bowiem jasność zupełna idei nie jest oznaką jej starczego znużenia? — obudzi na pewno z kolei nową ideę mglistą, piękniejszą jeszcze i szczytniejszą może, niż była sama w epoce swego omglenia. Może, gdy w ten sposób iść będziemy omackiem, wytrwale, wzdłuż szeregów idei zaćmionych, któraś z nich wkońcu, budząc się, położy małą swą, niewidzialną jeszcze niemal dłoń na ramieniu jakiejś wielkiej prawdy.

XXXIII.

Ideje jasne, niejasne, serce, rozum, wola, inteligencja, dusza, oto rozmaite słowa, wyrażające mniej więcej to samo, to znaczy, bogactwo duchowe człowieka. Dusza, to pewnie jeno najpiękniejsze z pragnień naszego rozumu, a Bóg musi być chyba znowu takim pięknem pożądaniem duszy. Tyle w tem wszystkiem niejasności, że można mgłą ową conajwyżej dzielić zapomocą linii grubych, ciemniejszych jeszcze od materji, którą mają uporządkować. Znać samego siebie, to pewnie jedyny jeszcze ideał dostępny nam, ale do jakiegoż stopnia zawisło od rozumu owo samo-poznanie, które na pozór zeń się jeno wywodzi? W takim razie człowiek, zdający sobie najściślej sprawę ze swego stosunku do wszechświata, byłby jednocześnie najlepszym, najmoralniejszym, najsprawiedliwszym i najprawdziwszym. Któż jednak będzie śmiał z dobrą wiarą twierdzić, że poznał istotnie swe stanowisko, a z drugiej strony, czyż najpozytywniejsza moralność nie sięga korzeniami

w pewnego rodzaju mistyczną nieświadomość? Najpiękniejsze owo pragnienie naszego rozumu przechodzi jeno przezeń i mylimy się, sądząc, że plan został zebrany na gościńcu, ponieważ go wiozą tymże gościńcem. Najbystrzejszy rozum, w momencie samym badania swego terytorjum, już poza nie wychodzi.

Mimo wszystko, zapomocą inteligencji swej zaczynamy upiększać owo pragnienie, reszta, co-prawda, nie zależy od nas, ale rozum właśnie nadał jej pierwszy rozpęd. Rozum, syn pierworodny naszej inteligencji, winien usiąść na progu życia moralnego, otwarłszy poprzód drzwi podziemia, gdzie snią skrępowane siły żywe, instynktowne naszej istoty. Rozum czuwa, z zaświeconą lampką w ręku, a sama jego obecność broni wnijscia wszystkiemu, co nie ma jeszcze kształtu światła. Za nim, tam gdzie nie dochodzą promienie, trwa dalej życie tajemne. Ale nie niepokoi go to, jeno przeciwnie, cieszy. Wie dobrze, że w oczach Boga, którego pożąda, to wszystko, co nie przekroczyło jeszcze kręgu światła, więc marzenia, myśli, a nawet czyny, nie mogą niczego dodać do istoty idealnej przezeń wytwarzanej, ani też niczego z niej ująć. Światelko jego winno być możliwie jasne, sięgać daleko i trwać na stanowisku. Siedzi spokojnie, jak długo poza nim wrą jeno instynkty głucho

w ciemni. Zdarza się atoli, że któryś z więźniów wstaje i jakaś większa odeń siła podchodzi do progu, siejąc światłość mniej materjalną, bardziej rozprószoną i mniej zrozumiałą od płomyka, który osłania dłonią. Są to potęgi miłości, jakiegoś dobra niewytłumaczalnego i inne jeszcze tajemnicze, a nieskończone. Chcą wyjść. Cóż tedy począć ma rozum? Jeśli siadł na progu bezprawnie, bo nie odważył się jeszcze przyznać, że nie sam jeden istnieje na świecie, wówczas popada w strach i zamyka drzwi z powrotem, a gdyby się zdecydował kiedyś otworzyć je, znalazłby jeno garstkę lekkiego popiołu na stopniach ciemnych schodów. Jeśli atoli czuje swą siłę i nie drży, bo wie, że chociaż nie wszystko mógł pojąć, żadne światło nie jest niebezpieczne, a sam nawet rozum zaryzykować można, gdy idzie o światłość większą, wówczas nastąpią nie dające się wysłować wymiany od lampy do lampy na progu. Krople oliwy tajemnej spłyną z oliwą mądrości człowieczej, a gdy przejdą białe zwidy, płomień lampy czuwającego, przekształcony raz na zawsze, wzniesie się wyżej, potężniejszym i czystszy światłem pośród kolumn portyku.

XXXIV.

Rozstańmy się tutaj z mądrością samotną, a spojrzmy na tę, która kroczy ku grobowi w wielkim orszaku człowieczych przeznaczeń. Czy wolno twierdzić, że przeznaczenie nie ma nigdy wspólnoty z losami złego człowieka lub duszy szaleńca? Nie. Wszystkie istnienia krzyżują się ze sobą ustawicznie, a w wielu przygodach nie złota okręca się o nieć konopną w tkaninie. Mnóstwo jest nieszczęść nie tak nagłych i strasznych jak Edypa i księcia Elzinory, które jednak nie spuszczają oczu przed sprawiedliwością, miłością i prawdą. Ci, którzy mówią o korzyściach mądrości, powinni jako mądrzy, przyznać z dobrą wiarą, bez goryczy, ni pychy, że mądrość daje swym wiernym to tylko niemal, czemby wzgardzili ludzie głupi i źli. Częstokroć zjawienie się mędrca nie zmienia wiele tego, co podpada pod oczy ludzi, a to z powodu, że przybył za późno, bawił zbyt krótko, tak iż nie został nawiązany rzeczywisty kontakt. Często też musiał on wal-

czyć z siłami nagromadzonemi przez zbyt wielką liczbę ludzi od dawnych czasów. Nie czyni cudów zewnętrznych i nie ocala tego, co może jeszcze zostać ocalone wedle normalnych praw życia, a sam nawet może wpaść w wir nieubłaganych okoliczności. Ale ginąc nawet może sobie powiedzieć, że nie był bezsilnym świadkiem ruiny swej duszy, jak się to dzieje zazwyczaj z innymi na całe tygodnie, a nawet lata przed katastrofą. Przytem zaś ocalić kogoś wedle praw życia, zawierającego dwa życia, nie znaczy to jeszcze koniecznie wyrwać go z objęć śmierci, lub klęski zewnętrznej, ale znaczy uszczęśliwić go, czyniąc lepszym. Idzie o ratunek moralny, a wydaje się to rzeczą drobną, jak zresztą wszystko, co się dzieje na wyżynach naszej istoty. Czyż dobry lotr nie został ocalony nietylko w chrześcijańskim, ale doskonalszem jeszcze znaczeniu tego wyrazu? A przecież miał umrzeć tejże samej jeszcze godziny. Ale umarł szczęśliwy na wieki, gdyż w ostatniej chwili życia doznał miłości, a istota niezmiernie mądra powiedziała mu, iż dusza jego nie była nieużyteczna, lecz posiadała także dobroć i nie przeminęła niedostrzeżona na tej ziemi.

XXXV.

Zstępując coraz głębiej w życie, wkraczamy jednocześnie coraz to głębiej w tajemnicę większości smutków i niemocy. Widzimy wkoło siebie dużo dusz wegetujących nędznie, dlatego, że uważają się za bezpotrzebne, niegodne niczyjego spojrzenia, ni miłości. Nadchodzi jednak godzina, kiedy mędrzec uznaje każdą duszę żywą, spogląda na nią i ogarnia miłością z tego jeno powodu, że zdolną jest istnieć. Nadchodzi godzina, kiedy spostrzega wszystkie siły, prawdy i cnoty na dnie słabości, błędu i kłamstwa. Jasna to i błogosławiona godzina, w której złość uznana zostaje za dobroć, pozbawioną kierownictwa, zdrada staje się wiernością, zbłąkana na drogach szczęścia, a nienawiść miłością rozwierającą z przeżenienia podwoje swego grobu. Wówczas to historia dobrego łotra staje się bezwiednie historją wszystkich otaczających człowieka sprawiedliwego w każdym nawet prostaczku, ocalonym w ten sposób spojrzeniem, słowem, czy milcze-

niem, rodzi się szczęście prawdziwe, niedosiężne
przeznaczeniu, a każda z tych dusz, jak dusza
Sokratesa, zapomina aż do nocy, że czara tru-
cizny wychyloną została o zachodzie słońca.

XXXVI.

Niewiadomo, czy życie wewnętrzne odpowiada naszym wyobrażeniom ogólnym. Jest tyleżyć wewnętrznych co zewnętrznych. Najskromniejszy z ludzi wkroczyć może w te ciche dziedziny równie łatwo jak wielki i niezawsze bramą inteligencji się tam dostajemy. Często puka do tych drzwi daremnie człowiek wiedzący wszystko, a z wnętrza odpowiada mu ograniczony wielce. Zaiste, najtrwalszem i najpiękniejszym jest to życie wewnętrzne, które zbudowała zwolna świadomość w samej sobie z najczystszych pierwiastków duszy. Mędrzec podtrzymuje to życie wszystkim, co przynosi codziennie los. Mędrce jest ten, któremu rozczarowanie i zdrada służą jeno do dalszego oczyszczenia mądrości, a samo zło umie zmusić, by syciło ognisko miłości. Mądrze czyni ten, kto w cierpieniu dostrzega jeno światłość, a nie widzi cienia, jaki ono rozpościera w duszach sprawców jego. Jeszcze mędrszym jest ten, w którym radość i smutek nietylko zwiększają świa-

domość, ale ukazują coś wyższego nad samą świadomość. Z tej wyżyny życia wewnętrznego panuje się dopiero nad płomieniem, który je oświetla. Wszystko to jest jednak udziałem małej tylko liczby ludzi, a żyć można szczęśliwie na dołach mniej ognistych, tam gdzie tkwią w ciemni korzenie onego ogniska. Ludzie skromni mają też przytuliska swoje. Wiodą instynktownie życie wewnętrzne. Dusze, pozbawione inicjatywy czy inteligencji, nie odnajdą nigdy tajnej ścieżki, wiodącej w głąb ich samych, nie poznają swych zasobów, a jednak postępują oni zupełnie tak samo jak ci, których inteligencja zważyła wszystkie skarby. Są ludzie, którzy nie wiedząc, iż istnieje tylko jedna jedyna najwyższa gwiazda stała świadomości, pragną dobra bezwiednie. Życie wewnętrzne zaczyna się nie tyle w chwili rozwoju inteligencji, ile w chwili, kiedy dusza staje się dobrą. Dziwne to, zaiste, że nie można osiągnąć życia wewnętrznego w zakresie zła. Nikt, pozbawiony zupełnie dostojęstwa duszy, nie posiada życia wewnętrznego. Jeśli pozna siebie, dowie się może, czemu nie jest dobry, ale nie osiągnie ni tej siły, ni schrony, ni skarbu niewidzialnych pociech, jakie są własnością tego, kto zawsze bez strachu może zniść w głąb serca swego. Życie wewnętrzne zbudowane jest ze szczęścia duszy, a dusza, chcąc być szczęśliwą,

musi ukochać coś czystego w sobie. Czasem myli się w wyborze, ale w takim nawet razie będzie szczęśliwszą, niż dusza pozbawiona możliwości wyboru.

XXXVII.

Jeśli sprawimy, by ktoś osłabł w miłości do zła, ocalamy go już, gdyż pomagamy mu rozpocząć na dnie duszy budowę schroniska, o które strzaska broń swą przeznaczenie. Czy schronisko to jest pomnikiem świadomości, czy miłości, nie ma znaczenia, gdyż miłość jest świadomością, która siebie samej nie zna jeszcze, zaś świadomość prawdziwa, jest to miłość, która doszła do jaśni. Otóż w samej głębi tego schroniska dusza roznieca ognisko skrytego wesela. Wesołość duszy, która płoszy smutek złych losów, jak ogień materjalny choroby, nie podobną jest do innych radości życia. Nie powstaje ze szczęścia wewnętrznego, ni zaspokojenia miłości własnej. Zaspokojenie miłości własnej daje radość, która maleje wraz z udoskonalaniem się duszy, to jest zaś radość miłości czystej, co rośnie w miarę wyszlachetniania tejże duszy. Radość owa nie rodzi się z pychy, a duszy nie uszczęśliwia myśl, że jest piękną. Dusza świadoma ma prawo czuć się

piękną, ale to, co poświęca na uświadomienie sobie swej piękności, ujmuje nieświadomej miłości. Pierwszym zaś obowiązkiem świadomości, zrzucającej zasłonę, jest szacunek dla ukrytej jeszcze nieświadomości. Natomiast radość, o której mówimy, nie zabiera miłości tego, co wkłada w świadomość. Przeciwnie, w niej świadomość żywi się miłością, przysparzając jej jednocześnie treści. Umysł sięgający wzwyż doznaje szczęścia niedostępnego nigdy szczęśliwemu ciału, natomiast dusza uszlachetniająca się doznaje szczęścia, jakiego nie pojmie nigdy umysł najszczytniejszy. Coprawda, umysł rozwijający się i szlachetniejąca dusza pracują zazwyczaj razem nad wznoszeniem budowli wewnętrznej, czasem jednak czynią to oddzielnie i niema wówczas łącznika pomiędzy dwoma gmachami. Gdyby w takim wypadku spytała mnie istota ukochana nad wszystkie, które wybrać schronisko, jako najgłębsze, najwarowniejsze i najmilsze, poradziłbym jej ukryć swój los w schronisku duszy zmierzającej do doskonałości.

XXXVIII.

Czyż mędrzec nigdy nie cierpi? Czyż żadna burza nie niesie chmur nad dom jego? Czyż nikt nie sposobi mu zasadzki? Czyż wolny jest od zdrady żony i przyjaciół? Żaliż nie znikczemnieje to, co uważał za szlachetne? Nie pomrąże rodzice jego, dzieci i bracia, jak inni ludzie, anioly strzec będą wszystkich dróg, któremi wkracza ból? Pamiętajmyż, że Chrystus płakał nad grobem Łazarza, zaś Marek Aureljusz cierpiał wielce z powodu syna swego Komodusa, który rozwijał się już w potwora, oraz ukochanej Faustyny, która go nie kochała. Paulus-Emiljusz równie mądry, jak Tymoleon, jęczał również pod ręką losu, gdy starszy syn zmarł na pięć dni przed jego triumfem w Rzymie, zaś młodszy w trzy dni potem. Taką więc schronę szczęściu daje mądrość? Wydaje się, jakobyśmy musieli przekreślić to, co było dotąd powiedziane i zapisać mądrość w poczet tych złud, zapomocą których dusza ludzka stara się uzasadnić wobec rozumu pragnienia, uznane zawsze niemal za bezrozumne przez doświadczenie.

XXXIX.

Mędrzec cierpi także i cierpienie to jest mu jednym z pierwiastków mądrości. Cierpi więcej może nawet, niż inny, gdyż jest człowiekiem pełniejszym. Cierpi także więcej, gdyż spotyka tu ludzi mniej samotnych, zaś w miarę wzrostu mądrości odczuwamy mniejsze osamotnienie. Będzie cierpiał ciałem, sercem i umysłem, gdyż żadna mądrość tego świata obronić go przed losem nie zdoła. Nie idzie jednak o to, by unikać cierpienia, ale upadku ducha i tych łańcuchów, jakie nakłada ludziom przyjmującym go za pana, nie zaś jako posłańca osobistości dostojniejszej, który wnet zniknie na zakręcie drogi z przed oczu. Mędrzec zerwie się, podobnie jak sąsiad jego, w chwili, gdy posłaniec nieszczęsny uderzy pięścią w drzwi jego domu. Musi też zejść i rozmówić się. Ale mówiąc z nim, patrzył będzie poprzez ramię zarrannego nieszczęścia, śledząc w dali widnokregu swą wielką ideę, którą może poprzecza. W gruncie rzeczy, człowiekowi rozmarzonemu szczęściem,

zło, które mu może spłatać los, wydaje się nader małą rzeczą. Przyznaję, że gdy już nastąpi, stosunek się zmienia, ale nie ulega wątpliwości, że chcąc zagasić w nas wieczne ognisko otuchy, musiałoby sponiewierać doszczętnie w głębi serca to wszystko co kochamy, podziwiamy i wielbimy. A jakaż moc zewnętrzna może sprofanować uczucie czy ideę, o ile jej sami nie złożymy z tronu? Oprócz cierpień fizycznych żaden ból nie może nas dosięgnąć inaczej, jak przez myśl. A któż daje myślom naszym broń, którą nas napastują, lub bronią? Boli nas nietyle samo zło, ile sposób, w jaki je przyjmujemy. — Był nieszczęśliwy z własnej winy, — powiada Anatol France o jednym z tych, którzy nie spoglądają nigdy ponad plecy brutalnego posłańca — był nieszczęśliwy z własnej winy, gdyż wszystkie cierpienia prawdziwe są wewnętrzne i spowodowane przez nas samych. Niesłusznie sądzą, że przychodzą z zewnątrz. Tworzymy je sami z własnej substancji wewnętrznej.

XL.

Aktywną siłę danego wydarzenia określa sposób, w jaki je ujmujemy. Zbierzmy dziesięciu ludzi, z których każdy, jak Paulus Emiljus, stracił dwu synów w najmilszej chwili życia, a ujrzymy dziesięć zgoła odmiennych cierpień. Nieszczęście wkracza w nas, ale czyni to tylko, co mu każemy. Sieje, niszczy, lub zbiera plony, stosownie do tego, co zostanie wypisane na progu naszym. Jeśli dwu synów mego sąsiada, człowieka przeciętnego, zginie w chwili największego powodzenia ojca, odbędzie się to w ciemku, żadna iskra nie wystrzeli i nieszczęście, zda się, znudzone odejdzie samo, pozostawiając jeno kupkę bezbarwnego popiołu. Nie mam potrzeby udawać się do mego sąsiada, znane mi są bowiem z góry owe drobiazgi, jakie mu przyniesie ból, gdyż zwraca on to jeno, co mu dała dusza w momentach szczęścia.

XLI.

Nieszczęście dotknęło atoli Paulusa Emiljusa. Czeka wstrząśnięty Rzym, tętniąc jeszcze odgłosami jego triumfalnego wjazdu. Cóż się stanie? Bogowie zadali cios mędrcom, w jakież tedy sposób odpowie bogom mędrzec? Co bohater uczynił z nieszczęściem i co uczyniło ono z bohatera? W chwilach takich ludzkość osiąga, zda się, świadomość, że przeznaczenie doświadcza ponownie siły jego ramienia i że cośby się zmieniło, gdyby ramię owo nie sprostało ciosowi przeciwnika. Czeka też z niepokojem, w oczach bohatera, hasła do walki z niewidzialną potęgą.

Paulus Emiljusz staje w obliczu zwołanego ludu i przemawia. Jest poważny i odzywa się w te słowa:

— Nie czułem nigdy strachu przed niczem, co mnie spotkać mogło od ludzi, zaś z pośród rzeczy boskich, zawsze najbardziej obawiałem się zmienności szczęścia i niewyczerpanej różnorodności ciosów losu. Podczas tej właśnie pomyślnej wojny,

kiedy mi się wszystko wiodło, obawy te nie opuszczały mnie nigdy. Ciągłe czułem, że coś zniweczy me szczęście i rozpęta burzę. W ciągu jednego dnia przebyłem morze Jońskie od Bridesy do Korcyry, a stamtąd wyruszywszy, w dniach pięciu stanąłem w Delfach, gdzie złożyłem ofiarę Apolinowi. W ciągu dalszych dni pięciu dotarłem wraz z armją do Macedonji i oczyściłem wojska zwyczajnym ceremonjałem. Zaraz rozpocząłem kroki wojenne, kończąc już po dniach piętnastu wojnę świetnem zwycięstwem. Ten niesłychany zbieg szczęśliwych okoliczności napełnił mnie nieufnością wielką. Nieprzyjaciele nie napastowali mnie, wolny byłem od niebezpieczeństw, a jednak żywiłem ciąglą obawę, czy zdołam wrócić z wojskami szczęśliwie i czy nie doznam niełaski bogini. Wszystko atoli poszło dobrze, przywiodłem zwycięską armję i pojmanyh królów. Stanąwszy bez żadnego przypadku w domu, ujrzałem miasto rozradowane i składające ofiary dziękczynne, a jednak nie przestałem niedowierzać losom, wiedząc, że niema niezmaconego szczęścia, a zawiść towarzyszy zawsze powodzeniu. Duszą moją targał bolesny niepokój o przyszłe losy Rzymu i uzyskałem spokój wówczas dopiero, kiedy rodzinę mą dotknął cios straszny i kiedyto, w tych dniach radosnych, musiałem raz po raz grzebać własnymi

rękami dwu synów, jedynych spadkobierców moich, tak piękne rokujących nadzieje. Teraz oto jednak czuję się wolnym od wielkich niebezpieczeństw i mam silną wiarę w trwałość waszej pomyślności, obywatele. Fortuna wzięła na mnie samym pomstę dostateczną za szczęśliwe przedsięwzięcie wojenne. Zarówno w triumfatorze, jak i wleczonym za jego rydwanem jeńcu, bogini losu dała wymowny obraz kruchości ludzkiego szczęścia, z tą jeno różnicą, że pokonany Perseusz posiada swe dzieci, a zwycięski Paulus Emiljusz je utracił.

XLII.

W ten sposób przyjmowali Rzymianie nieszczęście, jakie może spotkać człowieka i to w chwili, kiedy jest najwrażliwszy na nie, bo w momencie szczytowym powodzenia. Są też inne sposoby, a jest ich tyle ile idei, czy szlachetnych uczuć na tej ziemi. Każde dotknięciem różdżki czarodziejskiej zmienia rysy i odzież cierpienia, stojącego na progu duszy. Job powiedziałby: — Bóg dał, Bóg wziął, niech będzie błogosławione imię jego! — a znów Marek Aureljusz wyraziłby to słowami: — Jeśli kochać już nie mogę tych, którzy mi byli nadewszystko drodzy, to pewnie dlatego, bym się nauczył kochać innych, dotąd obojętnych.

XLIII.

Nie sądźmy, że ludzie ci pocieszali się w ten sposób pustemi słowami, ukrywając ranę tem boleśniejszą, że tajoną. Przedewszystkiem lepiej pocieszać się słowami pustemi, niż nie pocieszać się wcale, powtóre zaś, chociażby to było złudzeniem, to właśnie zdolność łudzenia się jest cechą duszy i nie wolno jej potępiać w imię innej jakiejś złądy.

Ludzie ci wielcy wrócili do domu i znalazłszy puste miejsca dzieci swych, doznali w pewnym stopniu tego samego cierpienia co inni, niezdolni dobrać z nieszczęścia jednej myśli szlachetnej. Nie wolno przypisywać pięknym myślom i uczuciom cnót, których nie posiadają. Istnieją łyzy, których nie osusza mądrość i chwile, w których pocieszyć nie może. Ale, powtórzmy raz jeszcze: nie idzie o uniknięcie cierpienia, gdyż uniknąć go nie można nigdy. Idzie o wybór z pośród tych rzeczy, jakie nam nieszczęście przynosi. Czyż wybór tego, czego dostrzec nie może oko, jest

drobiazgiem wobec bólu, którego przyczynę widzimy ciągle przed sobą? Wszakże z drobiazgów tego rodzaju składają się wszystkie nasze uciechy moralne, głębsze od uciech fizycznych, czy nawet umysłowych. Wyrażane słowami, uczucia popychające bohaterów do czynów dobrych, stają się w istocie nikłe. Drobną jest idea obowiązku Katona Młodszego, jeśli ją porównamy z ogromnym wstrząsem państwa całego i krwawym skonem, jaki wywołała. Czyż jednak w gruncie rzeczy nie dominuje ona nad tym wstrząsem i tą śmiercią? Do dziś jeszcze słuszność jest po stronie Katona, a czyż było czyjeś życie szczęśliwszem, głębszem i dostojniejszym od jego życia, właśnie dzięki tej idei, której rozum ludzki zważyć nie może na swej wadze, jako obcej mu zgoła i niedostępnej?

Niewielką zaiste wartość w oczach rozumu ma, zda się, wszystko to, co uszlachetnia nasze życie, co samo w sobie szanujemy, co stanowi motyw cnót i skąd tryska sentyment, przeciwstawiony występkom naszym i zbrodniom nawet nieraz. A tu biorą przecież początek swój prawa życia każdej istoty. Któż mógłby żyć wbrew owym prawdom, nie ulegającym rozumowi? Największy nędznik nawet poddaje się bodaj jednemu z nich, a im większą ich liczbę uznaje, tem mniej jest

nędznikiem. Morderca powie: — Morduję, ale nie kradnę! — Złodziej podkreśli, że nie dopuścił się zdrady, zaś zdrajca będzie się pysznił tem, że nie zdradził brata swego. W ten sposób każdy chroni się w ostatnie, jakie ma do dyspozycji, piękno moralne. Najniżej upadły człowiek posiada jakąś przystań świętą w duszy, ze źródłem wody czystej, skąd czerpie siły potrzebne do życia. I tu, jak wszędzie, pocieszycielem nie jest rozum, bo zatrzymuje on się na progu ostatniej kryjówki złodzieja i zdrajcy, podobnie jak nie przekroczył świątyni ofiary Antygony, rezygnacji Joba i miłości Marka Aureljusza. Zatrzymuje się, nie zdaje sobie już sprawy, nie chce niczego uznać, czuje jednak, że opór byłby buntem przeciw światłości, której jest jeno widzialnym cieniem, gdyż w tem środowisku jest on niby człowiek w pełnym świetle. Widzi pod nogami cień swój, może go modyfikować zapomocą ruchów swoich, ale tylko tym właśnie cieniem włada on w olśniewającym świetle, jakie go otacza. Rozum nasz szamoce się tak w światłości wyższej, a cień jego nie oddziaływa na tę jaśń nieruchomą. Choć bardzo są dalecy od siebie Marek Aureljusz i zdrajca, czerpią z jednego źródła mistyczną wodę życia duszy, a nie bije ono wcale z ich inteligencji.

Dziwna to rzecz, iż cała nasza moralność mieści

się poza rozumem, a człowiek żyjący wedle niego tylko, byłby najmarniejszą z istot ludzkich. Niema cnoty, aktu dobroci, niema szlachetnej myśli, których korzenie nie tkwiłyby pobok tego, co można zrozumieć i wytłumaczyć. Schlebiałoby to dumie człowieka, gdyby mógł całą cnotliwość, życie wewnętrzne i całą radość odnaleźć w jedynej rzeczy, jaką posiada i do jakiej ma zaufanie, to znaczy w rozumie. Ale tak nie jest. Najdrobniejsze wydarzenie przykonywa go, że chociaż nie ulega kwestji, iż jesteśmy jeno istotami rozumnymi, to jednak nie w rozumie posiadamy ucieczkę swoją.

XLIV.

Rozum nasz nie wybiera z pośród tego, co nam przynosi cierpienie. Któż więc czyni ten wybór? Życie minione, które ukształtowało duszę naszą. Nie można zbierać plonów mądrości z dnia na dzień. Jeśli nie żyliśmy jak Paulus Emiljus, żadna z jego myśli nie pocieszy nas, choćby nam ją powtarzali ciągle wszyscy mędracy świata. Anioły, ocierający łzy nasze, mają postać i twarz naszych słów, myśli i czynów z czasu przed nadjeściem cierpienia. Tomasz Carlyle, mędrzec niezaprzeczalny, chociaż chorobliwy, utracił po czterdziestu latach pożycia żonę swą Joannę Welsh, istotę ponad wszystko ukochaną. Ból jego przybrał w sposób niesłychanie ścisły kształt dawnej ich miłości i dlatego stał się dostojny, wolny od wszelkiej ciasnoty, dotkliwy i zarazem pocieszający przez głębie wyrzutów, czułości i żalu, niby modlitwa i kontemplacja nad brzegiem ponurego morza. Jest to, rzec można, obraz syntetyczny naszego ubiegłego życia, odzwierciedlony wiernie

a serdecznie, lub złośliwie w cierpieniu naszego serca. Jeśli życie dało nam same jeno wspomnienia, pozbawione szlachetności i światła, to kiedy nadejdzie moment, w którym, jak zawsze, wspomnienia owe przemienią się w łzy, łzom tym zbraknie również szlachetności i światła. Łzy są bezbarwne i przybierają jeno kolor przeszłości duszy naszej, a to odbicie jest nam karą, lub nagrodą. Jeno dobro, któregośmy dokonali, nie przemienia się nigdy w cierpienie. Tracąc istotę ukochaną, wylewamy nie dające nam pociechy łzy żalu, z powodu żeśmy ją kochali za mało. Jeśliśmy zawsze darzyli uśmiechem osobę zmarłą, to łzy nasze, wolne od wszystkiego co pomniejsza ból nasz, zachowają wspomnienie słodczy, pieśczot i cnót minionych. Bowiem wspomnienie miłości rzeczywistej, będącej aktem, który mieści w sobie wszystkie inne cnoty, wyciska nam też same łzy dobroczynne, co najpiękniejsze chwile, będące źródłem owego wspomnienia. Nic nie jest sprawiedliwszem od cierpienia, a całe nasze życie czeka jego nadejścia, podobnie jak forma czeka stopionego bronzu, by nam dać należną zapłatę.

XLV.

I tutaj więc, gdzie tkwi najpotężniejszy słup, podtrzymujący tron przeznaczenia, widzimy, do czego ogranicza się jego potęga w tych ludziach, którzy są lepsi od przeznaczenia. Zostało ono na stopniu barbarzyństwa i nie dosięga większości ludzi. Broń swą bierze z życia powszedniego i spóźnia się w ataku, zaś atakuje tak zewnętrznie zgoła, jak to czyniło w czasach Edypa. Strzela wprost przed siebie, jak ślepy łucznik, tam zaś, gdzie strzały jego musiałyby się wznieść do pewnej wyżyny, by dosięgnąć celu, opadają bezsilne na ziemię.

Cierpienie, żal, lzy i wszystko inne, to nazwy podobne, oznaczające zgoła [niepodobne rzeczy. Docierając aż do duszy tych słów, przekonujemy się, że tak zwiemy jeno ślady naszych błędów, a tam, gdzie błędy nasze były szlachetne (istnieją bowiem błędy szlachetne, jak i marne cnoty), nieszczęście nasze bliższem będzie prawdziwego szczęścia, niżli szczęście tych, którzy nie rozwinęli

świadomości swojej. Nie sądzmyż, że Carlyle zgodziłby się zamienić nieszczęście swe, rozkwitłe w duszy, jak kwiat ogromny i przepojony czułością, na szczęście małżeńskie bez widnokregu i światła, jakim żyli sąsiedzi jego w Chelsea! A czyż cierpienie Renana, po stracie siostry Henryki, nie było lepszym dla duszy jego od bezwrażliwości tysięcy innych ludzi, nie kochających siostr swoich? Czyż żałować mamy więcej tego, który płacze w pewne wieczory u brzegu nieskończonego morza, niżli człowieka, który przez całe życie śmieje się bez powodu w ciasnym pokoiku? „Szczęście, nieszczęście!“ Gdybyśmy mogli na chwilę wyjść poza siebie i przekonać się, jakie jest nieszczęście bohatera, iluż z nas wróciłoby bez żalu do ciasnego szczęścia swego?

Prawdą jest tedy, że nieszczęście, zewnętrzne nawet, istnieje jeno w nas samych. Wszystko co nas otacza, staje się aniołem, lub demonem, stosownie do stanu naszego serca. Joanna d'Arc spodziewa się przybycia aniołów, a Makbet czarownic, zaś wołanie zawsze brzmi taksamo. A więc chyba przeznaczenie, na które się użalamy tak chętnie, nie jest tem, za cośmy je mieli przed chwilą. Nie posiada broni innej nad tę, którą mu sami dajemy. Nie jest sprawiedliwe, ni niesprawiedliwe, a także nie feruje wyroków. Ten, któregośmy u-

ważali za Boga, to jeno przebrany posłaniec. Ostrzega nas poprostu tylko w pewnych okresach życia, że wybiła godzina, w której sądzić mamy samych siebie.

XLVI.

Istoty niższe, co prawda, nie sądzą samych siebie, a przeto dlatego właśnie sąd nad nimi wydaje przypadek. Podlegają ci ludzie przeznaczeniu niezmiennemu niemal, gdyż przeznaczenie może się zmienić tylko wedle własnego sądu człowieka o sobie. Miast przeistaczać dane zdarzenie, przeistaczają się sami moralnie za pierwszym zetknięciem z każdą rzeczą. Nabierają niezwłocznie kształtu nieszczęścia, na które się żalą, a kształt to najmniejszy i najbardziej zużyty. Wszystko, co ich spotyka, nabiera woni przeznaczenia. Jednemu jest to zawód, do jakiego się bierze, drugiemu przyjaźń napotkana, a wreszcie trzeciemu kochanka wzięta trafem. Przypadek i przeznaczenie są to dla nich pojęcia identyczne, chociaż przypadek rzadko bywa przeznaczeniem pomyślnem. Wszystko to, czego nie ogarniamy potęgą duszy, zagarnia niezwłocznie potęga wroga. Każda próżnia w sercu czy inteligencji staje się zbiornikiem wpływów złych. Ofelja Szekspira i Gretchen

Goethego podlegają losom, gdyż są obie tak wrażliwe, że każdy gest uczyniony w ich obecności staje się odruchem przeznaczenia. Gdyby atoli Gretchen i Ofelja posiadały bodaj cząstkę siły duszy Antygony sofoklesowskiej, nie tylko zmieniłyby przeznaczenie własne, ale również przeznaczenie Hamleta i Fausta. Gdyby murzyn wenecki, miast żenić się z Desdemoną, wziął Paulinę Corneilla, przeznaczenie Desdemony, w tych samych nawet okolicznościach, nie śmiałoby błędzić wokół świadomej siebie miłości Pauliny. Czyż tedy w ciałach ich, czy w duszach krył się czarny fatalizm? Często ciało nie jest w stanie zdobyć się na potrzebną siłę, dusza atoli może to uczynić zawsze! Pamiętajmyż o tem. Dla większości ludzi jedynem, prawdziwym przeznaczeniem byłoby to, któreby wydało wyrok: — Od dziś dnia dusza twoja nie będzie zdolną umacniać się i rozwijać! — A jakież przeznaczenie może to powiedzieć?

XLVII.

Mimo wszystko, cnota ponosi często karę, a sama siła duszy przyspiesza nieszczęście. Im więcej kochamy, tem większą powierzchnią wystawiamy się na szlachetne cierpienia, ale mędrzec chętnie zwiększa tę powierzchnię, bowiem jest piękna.

Przyznać trzeba, że przeznaczenie nie zawsze trzyma się ciemni nizinnej, ale o pewnych godzinach pożąda ofiar czystych, które chwyta, sięgając wielkimi, lodowatemi dłońmi w krainę światła. Przytoczyłem niedawno imię Antygony i ktoś powie zapewne: — Oto ofiara przeznaczenia, szukana przez ciebie napróżno, której nie obroniła moc ducha! — Trudno temu przeczyć. Antygona jest łupem bóstwa bezlitosnego, bowiem posiada moc ducha, trzy razy większą od innych kobiet. Ginie, ponieważ przeznaczenie postawiło ją w takiej sytuacji, że musi wybierać pomiędzy śmiercią a obowiązkiem siostry, który uważa za najwyższy i najbezwzględniejszy. Stała pomiędzy śmier-

cią i miłością, najczystsza i najbardziej bezinteresowną, gdyż poświęconą cieniowi, którego nie ujrzy już nigdy na tej ziemi. Czemuż atoli przeznaczenie wcisnęło ją w ten tragiczny kąt, który poza jej plecami tworzą śmierć i obowiązek? Oto dlatego, że dusza jej szczytniejsza od innych, dostrzegła ten nieprzekraczalny wał konieczności, niewidzialny dla siostry Ismeny, nawet wówczas, kiedy go jej pokazują. Stoją obie na progu pałacu i słyszą te same głosy. Antygoną rozumie głos z góry i dlatego ginie, Ismena nie domyśla się innego głosu, prócz idącego z nizin i pozostaje przy życiu. Wpuśćmyż w duszę Antyfony odrobinę bodaj bezsilności Ofelji, czy Gretchen, a przeznaczenie uzna, że nie trzeba przyzywać śmierci w chwili, gdy córka Edypa staje u progu pałacu Kreona. Dlatego tylko jedynie, że była silna, przeznaczenie mogło nią zawładnąć.

Ta prawda jest pociechą sprawiedliwego, bohatera i mędrca. Przeznaczenie osiąga nad nimi władzę przez dobro, do jakiego ich skłania. Inni ludzie podobni są do miasta o stu otwartych bramach, któremi wkracza los. Sprawiedliwy, to forteca o jednej bramie światłości, a przeznaczenie dostać się tam może jedynie wówczas, gdy zmusi miłość, by zastukała. Robi co chce z innymi ludźmi, a będąc swobodne, przeznaczenie czyni jeno

źle, chcąc atoli zawładnąć sprawiedliwym, musi też czynić dobrze. Nie atakuje go przy pomocy potęg ciemności. Sprawiedliwego chroni światłość, a tylko światłości większej ulec może. Wówczas to przeznaczenie staje się piękniejszym od swej ofiary. Ludzi zwykłych stawia pomiędzy cierpieniem własnym i nieszczęściem cudzem, ale bohatera i mędrca musi schwytać pomiędzy cierpienie osobiste, a szczęście bliźniego. Walczy z tamtymi wszystkim co niskie, na tych zaś rzuca się z wszystkim, co najszczytniejsze i najpiękniejsze w świecie. Tysiączne ma sposoby na ludzi powszednich, a kamienie nawet rozsypane na drodze stają mu się bronią, bohater jednak i mędrzec polec może jeno od płomienistego miecza poświęcenia i obowiązku. Historia Antygony wyczerpuje całą moc przeznaczenia nad mędrce. Chrystus umierający za nas, Kurcjusz skaczący w przepaść, Sokrates nie chcący milczeć, siostra miłosierdzia konająca przy łóżku chorego, prostaczek przechodzień dający życie za drugiego przechodnia, wszyscy oni byli zmuszeni wybierać i odnieśli na tem samem co Antygona miejscu świetlaną ranę. Nie brak niebezpieczeństw nawet w osiedlu światła, trudno być mędrce zaiste temu, kto obawia się poświęcenia, gdy wybije szczytna godzina, ale mędrzec, bojący się poświęcenia, nie jest chyba mędrce prawdziwym...

XLVIII.

Na dźwięk słowa „przeznaczenie“ każdy przedstawia sobie coś ponurego, strasznego i śmieroniośnego. Ludzie sądzą w gruncie rzeczy, że jedna tylko droga wiedzie do śmierci. Przeważnie jest to miano nadawane śmierci, która jeszcze nie nadeszła. Tak zwą ludzie śmierć spodziewaną w przyszłości i cień, jaki rzuca na życie. — Nikt nie ujdzie śmierci! — powiadamy, mając na myśli, iż czyha na wędrowca za zakrętem drogi. Jeśli atoli wędrowca spotka szczęście, nie mówimy o przeznaczeniu, albo przynajmniej tak, jakby nie było tem samem bóstwem. Zdarzyć się jednak może, że wędrowiec życia napotka szczęście większe od nieszczęścia i bardziej ważkie od śmierci. Może też napotkać szczęście, którego nie widzimy. Nie jestże bowiem z natury swej szczęście mniej jawnem od nieszczęścia i czyż nie znika z oczu, w miarę jak wzrasta? Nie zdajemy sobie z tego tylko sprawy. W razie jakiejś marnej przygody zbiega się wieś cała, całe miasto, jeśli jest to atoli

pocałunek, dostrzeżony błysk piękna, czy tchnienie miłości, odczute sercem, nikt nie zwraca uwagi. A przecież pocałunek jest tak ważną rzeczą w zakresie radości, jak rana w dziedzinie cierpienia. Jesteśmy niesprawiedliwi, nie łączymy nigdy prawie przeznaczenia ze szczęściem, a nawet wówczas, kiedy go nie odnosimy do śmierci, stawiamy je w związku z nieszczęściem, gorszym od śmierci samej.

XLIX.

Słyszając, jak mówię o przeznaczeniu Edypa, Joanny d'Arc i Agamemnona, nie dostrzegacie wcale życia tych trzech osobistości, ale tylko ostatnią część ścieżki, wiodącej do końca. Powiadacie, że przeznaczenie ich nie było szczęśliwe, gdyż nieszczęśliwie dokonali życia. Nie zapominajcież, że śmierć nigdy nie wydaje się szczęśliwą w oczach tych, którzy jeszcze nie zmarli, a jednak tak to właśnie oceniamy życie. Wydaje nam się, że śmierć wszystko pochłania, a gdy trzydzieści lat pomyślności kończą się przypadkową śmiercią, wydaje nam się, że cały ten czas przepada w ciemni jednej godziny bólu.

L.

Niesłusznie czynimy, łącząc w ten sposób przeznaczenie ze śmiercią lub nieszczęściem. Kiedyż wreszcie porzucimy myśl, że śmierć jest ważniejsza od życia, a nieszczęście większe od szczęścia? Czemuż, oceniając przeznaczenie jakiejś istoty, spoglądamy na nie od strony łez, a nigdy od strony uśmiechu? Któż nam powiedział, że należy wartościować życie zapomocą śmierci, nie zaś przeciwnie? Litujemy się nad losem Sokratesa, Dunkana, Antygony, Joanny d'Arc i tylu innych sprawiedliwych, dlatego, że zmarli nagle, czy okrutną śmiercią i powiadamy sobie, że mądrość i cnota nie rozbijają nieszczęścia. Zważmyż, że szukając w mądrości i cnotie czegoś innego prócz nich samych, nie jesteśmy ani mądrzy, ani cnotliwi. Powtóre, jakież to prawem zacieśniamy w ten sposób całą egzystencję danej osobistości do jednej chwili skonu? Czemuż to twierdzimy, że mądrość i cnota Antygony czy Sokratesa uczyniły ich nieszczęśliwymi

dlatego, że koniec ich był tragiczny? Żaliż śmierć zajmuje w życiu przestrzeń większą, niżli urodzenie? A przecież, mówiąc o przeznaczeniu mędrca, nie uwzględniamy wcale urodzenia. To, co czynimy w czasie pomiędzy urodzeniem a śmiercią, czyni nas szczęśliwymi, lub nieszczęśliwymi, przeto szczęście i nieszczęście danej istoty i jej prawdziwe przeznaczenie nie mieszczą się w śmierci, ale w dniach i latach, poprzedzających ją.

Rozumujemy w ten sposób, jakby mędrzec, którego straszną śmierć przekazała nam historia, przez całe życie przewidywał bolesny skon, zgotowany mu przez mądrość. W istocie zaś mędrzec dużo mniej niepokoi się ideą śmierci, niż człowiek zły. Sokrates nie ma potrzeby obawiać się, jak Makbet, złego końca. Jeśli koniec jest zły, to dzieje się to wbrew oczekiwaniom i mędrzec nie zużywa swego życia na uśmiercanie go naprzód, jak to czyni tan Kawdor. Zbyt jednak często wydaje nam się, że rana krwawiąca przez kilka godzin niweczy pokój całego życia.

LI.

Nie twierdę, jakoby przeznaczenie było sprawiedliwe, jakoby nagradzało dobrych, a karało złych. Czyjaż dusza mogłaby się uważać za dobrą, gdyby nagroda była pewna? Ale jesteśmy jeszcze niesprawiedliwsi od przeznaczenia, w chwili, gdy je sądzimy. Dostrzegamy tylko nieszczęście mędrca, albowiem znamy je, natomiast nie widzimy jego szczęścia, gdyż chcąc je dostrzec, należy w ocenie swej być mądrym jak mędrzec i sprawiedliwym jak sprawiedliwy.

Gdy człowiek o duszy niskiej próbuje zmierzyć szczęście mędrca, przecieka mu ono pomiędzy palce jak woda, natomiast w dłoni drugiego mędrca staje się twarde i lśniące, jak złoto. Czasem nieszczęście mędrca podobnem jest do nieszczęścia człowieka innego, natomiast szczęście jego nie ma żadnego związku z tem, co szczęściem zowie człowiek pozbawiony mądrości. W dziedzinie szczęścia dużo jest więcej ziem nieznanych, niż w dziedzinie nieszczęścia. Nieszczęście woła

zawsze jednym głosem, natomiast szczęście staje się coraz to mniej hałaśliwe, w miarę pogłębiania.

Kładąc nieszczęście na jednej szali wagi, każdy z ludzi umieszcza na drugiej swą ideę szczęścia. Dzikus alkohol, proch i pióra, człowiek cywilizowany kupkę złota i kilka dni upojenia, zaś mędrzec położy tam mnóstwo rzeczy, których nie dostrzeżemy, całą swą, być może, duszę, a nawet nieszczęście oczyszczone i uszlachetnione przez siebie.

LII.

Nic nie jest nad szczęście sprawiedliwszem, nic nie przybiera wierniej kształtu naszej duszy i nie wypełnia dokładniej miejsca, jakie mu otwarła mądrość. Niczemu atoli nie brak tak bardzo, jak jemu, głosu. Anioł cierpienia przemawia wszystkimi językami i zna wszystkie wyrazy, natomiast anioł szczęścia otwiera usta wówczas tylko, gdy może mówić o szczęściu, dostępnem dzikiemu. Nieszczęście wyszło z dzieciństwa od setek wieków, szczęście, rzecz można, śpi jeszcze w powijakach.

Ludzie umieją być czasem szczęśliwi, ale który z nich w szczęśliwości swojej pomyślał o tem, by użyzyć głosu milczącemu archaniołowi, który oświeca duszę jego? Gdzież przyczyna tego niesprawiedliwego milczenia? Wszakże mówić o szczęściu znaczy tyle, co nauczać go! Wymawiać co dnia jego imię, znaczy to samo, co przyzywać je. A wszakże jednym z pięknych obowiązków ludzi szczęśliwych jest nauczanie szczęścia innych.

Nie ulega kwestji, że uczymy się być szczęśliwymi i żadna nauka łatwiej nie przychodzi. Żyjąc pośród ludzi błogosławiących życie, nauczysz się błogosławić je. Uśmiech jest równie jak łyż zaraźliwy, a epoki, zwane szczęśliwymi, były to pewnie okresy czasu, kiedy kilku ludzi umiało się czuć szczęśliwymi. Zazwyczaj nie szczęścia nam brak, ale umiejętności szczęścia. Na nic się nie zda być możliwie najszczęśliwszym bez świadomości tego szczęścia, a świadomość szczęścia najdrobniejszego ważniejszą jest dla naszej szczęśliwości, niżli szczęście wielkie, którego dusza nasza nie dostrzega wyraźnie. Aż nadto wielka liczba ludzi wyobraża sobie szczęście jako coś innego, niż to, co posiadają i dlatego to szczęśliwi winni ukazać, że mają to jeno, co każdy inny mieć może w swem sercu.

Być szczęśliwym, znaczy otrząsnąć się z niepokoju szczęścia. Koniecznym jest, by od czasu do czasu jawił się pośród nas człowiek uprzywilejowany przez los, obdarzony szczęśliwością niezwykłą, budzącą zazdrość, nadludzką wprost i mówił nam poprostu: — Otrzymałem wszystko, czego pragniecie codziennie, posiadam bogactwo, zdrowie, młodość, sławę, władzę i miłość. Dziś uważam się za szczęśliwego, ale nie z powodu darów losu, jeno dlatego, że dary te nauczyły mnie

spoglądać wyżej, ponad szczęście. Przedziwne podróże moje, zwycięstwa, siła, miłość, pokój i szczęśliwość nauczyły mnie, że nie w nich mieści się pokój i szczęśliwość prawdziwa. Zwycięstwa zwłaszcza miały we mnie samym swe źródło, zresztą mogłem je osiągnąć sam, a przy pewnej mądrości byłbym także posiadał wszystko inne, bez tak wyjątkowego nawet szczęścia. Jestem dziś szczęśliwszy niż byłem wczoraj, bowiem nakoniec dowiedziałem się, że niepotrzebne mi jest szczęście dla wyzwolenia duszy, ukojenia myśli i rozjaśnienia serca.

LIII.

Mędrzec wie to wszystko bez nauki ze strony nadludzkiego szczęścia. Wie to również sprawiedliwy, choćby był mniej mądry od mędrca i miał mniej rozwiniętą świadomość. Trzeba tu podkreślić ów przedziwny fakt, że każdy czyn sprawiedliwy lub akt dobroci przynosi ze sobą pewną nieokreśloną świadomość, często nawet skuteczniejszą, bardziej ofiarną i macierzyńską, niż świadomość zrodzona z myśli głębokiej. Przynosi specyficzną świadomość szczęścia. Myśli najszczytniejsze nawet są niemal zawsze niepewne i zmienne, natomiast światłość czynu dobrego jest trwała i jednolita. Myśl głęboka daje częstokroć świadomość o charakterze ornamentalnym, zaś czyn miłosierdzia, czy dopełnienie bohaterskiego obowiązku daje świadomość istotną, to znaczy szczęście czynne. Marek Aureljusz, przebaczący śmiertelną obrazę, Waszyngton, składający władzę w chwili, kiedy sława jego stała się źródłem błędów dla narodu, a istota pełna zawiści i nik-

czemna, któraby, co jest zresztą przypuszczeniem nieprawdopodobnym, odkryła przypadkiem wielkie prawo ciężenia powszechnego, nie będą szczęśliwi na jeden i ten sam sposób.

Długa droga, ocieniona samemi radościami, bojącemi się zimy, wiedzie od zaspokojonej inteligencji do zaspokojonego serca. Szczęście, to raczej kwiat życia moralnego niż intelektualnego. Świadomość ogólnie wzięta, a zwłaszcza świadomość szczęścia, nie w inteligencji ukrywa, co ma najdrogocenniejszego. Moznaby nawet często powiedzieć, że najszczytniejsze i największą dające pociechę elementy inteligencji przemieniają się w świadomość dopiero, gdy przejdą przez akt cnoty. Nie dość odkryć nową prawdę w świecie idei lub faktów. Prawda staje się dla nas żywą dopiero w chwili, gdy zmodyfikowała, oczyściła i złagodziła coś w duszy naszej. Świadomość udoskonalenia moralnego stanowi dopiero prawdziwą świadomość i to jest jej aktem istotnym. Jest dużo ludzi bardzo inteligentnych, którzy nie stosują nigdy swej inteligencji do odkrycia błędu czy zagrzaną do czynu miłosierdzia. Zdarza się to zwłaszcza u kobiet. Z dwojga ludzi wyposażonych równą inteligencją, kobieta użyje zawsze dużo mniejszą część na to, by się poznać moralnie. Wydaje mi się zaś, że inteligencja nie skierowana

ku takiej świadomości, szamoce się w próżni. Każda siła naszego mózgu, nie zebrana bezpośrednio w najczystsza czarę serca, jest narażona na to, że zniszczeje i zaginie. W każdym razie staje się obcą szczęściu i przeciwnie, wchodzi często w związek z nieszczęściem. Można mieć bardzo potężną i szczytną inteligencję, a nie zbliżyć się wcale do szczęścia. Ale nie można zaznać samego jeno nieszczęścia, mając duszę łagodną, czystą i dobrą. Granice inteligencji i świadomości nie są coprawda zawsze tak ostro narysowane, jakeśmy tu przyjęli i często piękna myśl jest zarazem dobrym czynem. Zdarza się jednak, że piękna myśl, nie zrodzona z dobrego czynu, lub nie pobudzająca doń, nader mało nam przyczynia szczęścia, gdy przeciwnie czyn dobry, nawet nie wywołujący żadnej myśli, orzeźwi zawsze niby deszcz dobroczynny naszą świadomość szczęścia.

LIV.

Trzeba się chyba wyrzec całkiem szczęścia, — powiada Renan o rezygnacji Marka Aureljusza — by dojść do takiej ostateczności! Nie sposób wprost pojąć cierpień tego biednego serca i utrapień, skrytych pod tem czołem zawsze spokojnem i niemal pogodnem. Wyrzeczenie się szczęścia jest niezaprzeczalnie początkiem mądrości i najpewniejszym środkiem znalezienia tegoż szczęścia. Niema nic słodsze go nad powrót radości, po wyrzeczeniu się radości wszelakiej, niema nic żywszego, głębszego, ni bardziej uroczego nad czar, przepelniający rozczarowanych.

W tych to słowach kreśli mędrzec szczęście mędrca. Czyż jednak szczęście Renana, podobnie jak Marka Aureljusza, polega na samym jeno powrocie radości po wyrzeczeniu się jej i na oczarowaniu rozczarowanych? Gdyby tak było, większą wartość miałoby być mniej mądrym, by doznać mniejszego rozczarowania. Czegóż to jednak chciała owa mądrość rozczarowana? Czegóż szu-

kała, jeśli nie prawdy, a jakież to prawda może w ten sposób zniweczyć w głębi szczerego serca samo umiłowanie prawdy?

Jeśli prawda uczy nas, że człowiek jest zły, natura bez poczucia sprawiedliwości, sprawiedliwość bezużyteczna, a miłość nie posiada żadnej mocy, wówczas powiadamy, że nie uczy nas ona niczego, jeśli jednocześnie nie objawia nam prawdy wyższej, która ogarnia te wszystkie rozczarowania światłem jaśniejszym i nie tak łatwym do wyczerpania, jak tysiące światełek znikomych, które gasi wokoło nas. Prawda nie zna granic i dlatego nie wolno mądrości rozpinąć na pierwszym rozstaju próżności nędznego namiotu rozczarowania czy rezygnacji. Jest to bowiem niepojęta i bardzo krucha próżność, uznawanie się zadowolonym w chwili, kiedy nic nas już nie może zaspokoić. Zadowolenie tego rodzaju jest jeno niezadowoleniem, które nie ma nawet siły podnieść głowy, a ten kto jest niezadowolony, ten w gruncie rzeczy nie rozumie niczego i nie chce rozumieć.

Człowiek, który sobie wyobraża, że ma obowiązek wyrzec się szczęścia, rezygnuje z czegoś, co jeszcze nie jest szczęściem. Jakież przytem rodzaj szczęścia żegnamy w sposób tak pozbawiony prostoty? Zaprawdę, winniśmy odsunąć od siebie każde szczęście, przynoszące szkodę innym, ale

takie szczęście nie może być i tak długo szczęściem mędrca. Gdy zaś mądrość pozna na koniec inne sposoby zadowolenia, zapomni napewne, że zrezygnowała z poprzedniego.

Nie dajmyż wiary mądrości i szczęściu, opartym na pogardzaniu czemkolwiek. Wzgarda i córka jej bezsilna, to jest rezygnacja, otwierają nam jeno przytułek starców i niedołęgów. Nie mamy prawa gardzić radością, dopóki nie zatracimy świadomości, że możemy nią gardzić. Ale jak długa wzgarda czy rezygnacja podnosi głos i budzi gorzkie myśli w naszym sercu, potrzebna jest nam ta właśnie radość, której znać nie chcemy.

Unikajmy wprowadzenia w duszę pewnych pasorzytów cnoty, a właśnie rezygnacja jest często pasorzytem. Nawet jeśli nie osłabia naszego życia wewnętrznego, przepaja je niepokojem. Gdy obce stworzenie dostanie się do ula, pszczoły zaprzestają pracy, podobnie też, gdy wzgarda lub rezygnacja wkroczy nam w duszę, ustaje działanie wszystkich jej sił i cnót, które otaczają dziwnego gościa, wprowadzonego przez próżność. Dopóki bowiem ktoś wie, że rezygnuje, szczęście owej rezygnacji wypływa głównie z próżności. Otóż jeśli chcemy już z czegoś zrezygnować, wyrzeczmy się przedewszystkiem szczęścia próżności, najbardziej złudnego i najmniej posiadającego treści.

I.V.

Najwygodniejszym w gruncie rzeczy i pozbawionym wszelkiej odwagi i energii jest ów „czar rozczarowanych!“ Jakże atoli nazwać tego, kto wyrzeka się szczęścia, które go zachwycało, a czyni to dziś z obawy, że jutro może go pozbawić pierwszy lepszy przypadek? Czyż jedynym zadaniem mądrości jest takie wyczekiwanie przyszłości niepewnej i nadśluchiwanie stąpania troski, która może nie nadejdzie, oraz zamykanie uszu na szum skrzydeł szczęścia, co przepają sobą cały przestwór wokoło?

Szukajmyż w rezygnacji szczęścia, gdy nie sposób go znaleźć gdzieindziej. Łatwo być mędrce, jeśli się zaspakajamy brakiem szczęścia. Ale mędrzec nie jest stworzony dla nieszczęścia i większa to chwała, oraz bardziej po ludzku, zostać mędrce w szczęściu. Najwyższym celem mądrości jest właśnie znaleźć punkt stały szczęścia w życiu, natomiast szukać tego stałego punktu w rezygnacji i wyrzeczeniu się radości, znaczy to

szukać go nieroztropnie w śmierci. Łatwa to rzecz uważać się za mędrca, gdy ruszać się już niesposób. Czyż atoli człowiek jest przeznaczony do bezruchu? Trzeba wybierać pomiędzy mądrością, oblubienicą naszych namiętności, uczuć, myśli i pragnień, a melancholijną narzeczoną śmierci. Niechże sobie istnieje mądrość grobowa, zakrzepła w bezruchu, bylebyśmy mieli drugą, przeznaczoną dla domu, w którym dym jeszcze ulata z ogniska.

LVI.

Mądrymi nie staniemy się napewne, rezygnując z otaczającego nas szczęścia, ale stając się mądrymi, porzucimy ten rodzaj szczęścia, który nie dosięga wyżyn naszych. Dziecko z biegiem lat porzuca w ten sposób bezwiednie zabawki, które je już bawić przestały. Podobnie jak dziecko uczy się więcej bawiąc, niż pracując pod przymusem, mądrość kroczy żwawiej w szczęściu niż niedoli. Lekcja nieszczęścia obejmuje tylko czyn moralności, a człowiek, który nabył mądrości przez nieszczęście, przypomina człowieka, który kochał bez wzajemności. Brak mu będzie zawsze w mądrości tego, co drugiemu nie dostaje w miłości odwzajemnionej.

— Zaliż szczęście daje aż tyle uciechy, jak powiadają? — spytał pewnego dnia dwie dusze upojone pewien filozof, którego osmuciła nad miarę długo znoszona niesprawiedliwość. Zaprawdę, szczęście jest jednocześnie bardziej i mniej zazdrości godne, niż to powszechnie przyjmujemy,

a to dlatego, że różni się znacznie od wyobrażeń, jakie o niem mają ci, którzy nie byli nigdy w pełni szczęśliwymi. Wesołość nie oznacza zawsze szczęścia, a człowiek szczęśliwy nie zawsze jest wesoły. Uśmiechają się jeno drobne szczęśliwostki chwilowe, mrąc podczas tego roześmiania. Na pewnej wyżynie atoli szczęście trwale jest równie poważne, jak dostojny smutek. Mędracy nauczyli nas, że nie należy być szczęśliwym, by móc pożądać szczęścia. Jeśli atoli mędrzec taki szczęśliwym nie był, skądże może wiedzieć, że mądrość jest jedyną rzeczą, która nie smutnieje, ani nie znuży się w szczęściu? Myśliciele, którzy zaznali szczęścia, ukochali mądrość goręcej od nie-szczęśliwych. Wielce różni się mądrość wzrosła wśród cierpienia od tej, którą wyhodowało szczęście. Pierwsza pociesza, mówiąc o szczęściu, druga atoli mówi o samej sobie. Mądrość nieszczęśliwego kończy się nadzieją szczęścia, mądrość szczęśliwego kulminuje w samejże mądrości. Jeśli celem mądrości jest znaleźć szczęście, to jeno samo szczęście uświadomić może, że cel ten mieści się w mądrości.

LVII.

Pierwsza lepsza dusza nie może dać szczęścia. Szczęście, podobnie jak nieszczęście, wymaga odwagi. Może nawet więcej trzeba mieć sił, by wytrwać w szczęściu niż nieszczęściu, gdyż oczekiwanie tego, czego jeszcze niema, napędza serce, nie wyposażone w mądrość, większą radością, niż pełnia zaspokojenia wszelkich pożądań. Z wyżyny szczęścia trwałego widać najlepiej pożądania tego serca, które, zda się, żyje jeno obawą i rozpaczą, a tak mu trudno żywić się tem co ma, wówczas nawet, gdy wszystko posiada.

Nieraz widzimy, jak ludzie silni i pełni roztropności moralnej bywają pokonani przez szczęście. Nie znajdując w niem wszystkiego czego szukali, nie bronią go, ni trzymają z energją, jaką należy zawsze stosować w życiu. Ach, jakże mądrym być trzeba, by nie dziwić się, że szczęście przynosi także smutek i by ten smutek nie skłaniał nas do podejrzewania, że nie posiadliśmy

jeszcze szczęścia prawdziwego! W szczęściu najcenniejszą jest pewność, że nie jest ono upojeniem, ale czemś, co zmusza do rozważań. Staje się dostępne i nie tak rzadkie, gdyśmy się przekonali, że jedyny dar, jaki daje duszy umiejącej zeń korzystać, polega na rozszerzeniu świadomości, którego by gdzieindziej nie znalazła. Ważniejszą jest dla duszy rzeczą poznać wartość szczęścia, niż się niem upajać. Dużo trzeba poznać rzeczy, by móc długo kochać szczęście, a niezbędnem jest więcej jeszcze nabyć wiadomości, by nabrać przekonania, że w łonie szczęścia, wolnego od burz, element stały całej szczęśliwości stanowi jedynie siła, która by nas uczyniła szczęśliwymi, nawet w toni samego nieszczęścia. Nie możemy się uznać szczęśliwymi, dopóki szczęście nie pomoże nam dotrzeć do wyżyn, na których tracimy je z oczu, nie tracąc jednocześnie ochoty do życia.

LVIII.

Napotykamy myślicieli głębokich i przepojonych wzniosłem poczuciem nieskończoności, oraz wieczystości wszechświata, jak n. p. Paskala, Hello, Schopenhauera, którzy nie wydają się szczęśliwymi. Ale myliłby się bardzo, ktoby przypuszczał, że ten, który daje wyraz pesymizmowi powszechnemu, musi być osobiście pogrążony w wielkiej rozpacz. Widnokrąg nieszczęścia, oglądany z wyżyny jakiejś myśli, która przestała już być instynktowną, egoistyczną i przeciętną, nie różni się wiele od widnokregu szczęścia, widzianego z wyżyn myśli innej, podobnej treści, ale innego pochodzenia. Nie zależy na tem, w gruncie rzeczy, czy chmury toczące się tam, dołem, po równi, są tragiczne, czy powabne; wędrowca uspakaja fakt, że dotarł do wyżyny, skąd widać przestrzeń bezgraniczną. Morze wyda nam się tajemniczem i przedziwnem, choćby nie snuły się po niem ciągle koniecznie żagle białe, a życia duszy naszej nie nadweręża burza, ani też cisza po-

godnego dnia. Nadweręża je natomiast i osłabia, jeśli siedzimy po całych dniach i nocach w stancyje drobnych myśli, pozbawionych dostojęństwa zapału i powagi, podczas kiedy wokół naszego mieszkania ocean rozbłyska światłem.

Istnieje może jednak różnica pomiędzy myślicielem a mędrce. Myśliciel smutnieje często na szczycie, do którego dotarł, mędrzec zaś stara się uśmiechać z dobrą wiarą, w sposób tak naturalny i ludzki, że najskromniejsi bracia jego mogliby podjąć i zrozumieć ten uśmiech, który jak kwiat padł u stóp góry. Myśliciel otwiera drogę wiodącą, „od tego co widać, ku temu co niewidzialne,“ zaś mędrzec wskazuje gości-niec, idący od tego co kochamy, do tego co pokochamy i ścieżynę od tego, co nam już nie daje pociechy, do tego, co nas jeszcze długo pocieszać może. Jest to rzecz potrzebna, ale nie wystarczająca, gdy snujemy o człowieku, Bogu i naturze myśli żywe i śmiałe. Cóż warta myśl głęboka, a nie dodająca otuchy? Niezdolna jest przepoić sobą naszego życia powszedniego, a wydaje się, jakoby myśliciel nie posiadał jej jeszcze w pełni. Łatwiej jest martwić się i trwać w tem zmartwieniu, niż uczynić niezwłocznie poza to zmartwienie krok, który i tak z czasem będzie musiał uczynić. Łatwiej udawać głębokiego pośród niedowierzania i ciemności, niż wśród zaufania i uczciwej jaśni, gdzie żyć winni ludzie. Czyż jesteśmy

wówczas pewni, żeśmy dokonali całego koniecznego wysiłku, dumając tak imieniem braci naszych nad niedolą życia, jeśliśmy ukryli pod nimi zasadnicze powody, dla których godzimy się żyć dalej? Czyż rozmyślając, by nie pocieszać, dotarliśmy do końca myśli naszej? Łatwiej jest powiedzieć, czemu się żalimy, niżli poprostu wyświetlić motywy potężniejsze i głębsze, z powodu których instynkt nasz nie odrzuca życia, na które żalimy się w ten sposób.

Któż z nas nie odnajduje z łatwością tysiącznych powodów, by nie czuć się szczęśliwym? Mędrzec uczyni, zaprawdę, dobrze, ukazując nam najwyższe z nich, albowiem motywy najwyższe nie uznawania szczęścia, bliskie są przemiany w motywy uznawania go. Atoli nie warto wyliczać motywów, pozbawionych owych zarodników wielkości i szczęścia. W życiu moralnem odkryto już mnóstwo dziedzin, w których wielkość i szczęście zlewają się w jedno. Trzeba być szczęśliwym, by móc dawać szczęście, a trzeba uszczęśliwiać, by zachować trwale szczęście własne. Spróbujmy nasamprzód uśmiechać się, by tego nauczyć braci naszych, a niebawem, widząc jak się uśmiechają, zaczniemy śmiać się naprawdę. — Nie przystoi mi martwić się — pisze Marek Aureljusz w jednym miejscu — gdyż nigdy nikogo nie zmartwiłem rozmyślnie! — A nie starając się być możliwie najszczęśliwszym, martwimy siebie samych i martwimy innych.

LIX.

Większą ma zasługę myśl drobna, łącząca błysk zadowolenia, powszedni czyn dobry, lub najcichszą, najskromniejszą chwilę szczęścia z czemś pięknem, trwałem i wieczystem i trudniej ją o wiele wydrzeć tajni życia, niż wielka, ponura medytacja, łącząca cierpienie, miłość, czy rozpacz ze śmiercią, z przeznaczeniem, czy też obojętnymi potęgami, które otaczają życie nasze. Nie dajmy się ludzi pozorom. Hamlet, lamentujący nad przepaścią, wydaje nam się głębszym i bardziej wzruszającym od Antonjusza Piusa, który dostrzega te same potęgi, godzi się na nie i bada spokojnie, miast im złorzeczyć i szukać w nich motywów strachu. Wszystko, czego dokonaliśmy w ciągu dnia, wydaje się mniej dostojne, niż byle gest wśród nocy, lecz człowiekowi przystoi pracować za dnia, nie zaś szamotać się pociemku.

LX.

W najdrobniejszej myśli pocieszającej zawarta jest siła, której niema nigdy w najdonioślejszej skardze, ni najpiękniejszej idei melancholijnej. Wielka, ponura idea, to energia, oświecająca mury własnego więzienia i targająca skrzydła w ciemności, natomiast najpłochliwsza myśl, przepojona ufnością, oddaniem, słoniąca widok nieubłaganych praw, jest to już czyn, który szuka punktu oparcia, by w końcu wzlecieć na wyże istnienia. Pożyteczna to rzecz przyznać czasem, że myśl rozległa i bezinteresowna jest rzeczą doskonałą, ale życie realne rozpoczyna się od czynu. Mówiąc ściśle, całe nasze przeznaczenie składa się z tych myśli, które pod naporem myśli niezpełnionych, mglistych i niewyraźnych jeszcze, siłą własną lub ustępując konieczności przeistoczyły się w fakty, gesty, uczucia i przyzwyczajenia. Nie znaczy to, byśmy mieli mieć za nic myśli inne. Myśli nasze, okrążające życie realne, przypominają armję oblężniczą pod miastem warownem. W

chwili zdobycia, połowa żołnierzy na pewne nie wejdzie do wnętrza. Odsunięte zostaną na bok wojska pomocnicze i złożone z kolonjalnego materiału, nieregularne oddziały, jako zbyt podatne żądzy rabunku, palenia i mordowania. Prawdopodobnie dwie trzecie wojska nie wezmą udziału bezpośredniego w bitwie rozstrzygającej. Potrzeba jednak często sił zbyt licznych i jak tu na przykład, miasto nie poddałoby się pewnie, gdyby cała równia nie była zalana wojskami, z których jeno część najlepiej wyszkolona znajduje się pod jego murami. Podobnie dzieje się w naszym życiu moralnym. Nie całkiem zbyt liczne były myśli, które pozostały za obrębem rzeczywistości. Podpierały one i popychały do czynu myśli naczelne, które dokonały dzieła. Dlatego to winniśmy mieć ustawicznie do dyspozycji, przed falangą myśli niejasnych i mglistych, grupę bystrych, ścisłych idei, przepojonych zaufaniem ludzkim, prostych i gotowych wejść w życie.

LXI.

Niczem jest przezyste pragnienie wzniesienia się powyż tego co realne i łaknienie dobra pozaświatowego, niczem jest tysiąc zamiarów wobec jednego gestu. Nie znaczy to, by pragnienia pozbawione były wartości wszelkiej, ale jeden gest dobroci, męstwa, czy sprawiedliwości wymaga tysięcy dobrych zamiarów.

Chiromanci twierdzą, że całe życie nasze wypisane jest na dłoni. Życiem zwą oni pewną ilość czynów, które zarysowują się bądźto przed, bądź po ich dokonaniu linjami niezatartemi. Myśli nasze i zamiary nie zostawiają śladu żadnego. Ręka moja nie powie nic o planach morderstwa, zdrady, bohaterstwa, czy poświęcenia, choćbym te myśli snuł długo. Natomiast jeśli zabiłem kogoś, kto mi zdawał się zagrażać, na zakręcie ulicy, może przypadkiem, czy przez omyłkę, albo znów, jeśli na tej samej ulicy pod pierwszym wrażeniem ocalił z płomieni niemowlę, wówczas dłoń moja przez całe życie nosi ślady niezbite

zbrodni, lub miłości. Mniejsza z tem, czy chiromanci mylą się czy nie, w tej różnicy tkwi wielka prawda moralna. Myśl pozostawia mnie do śmierci na tem samym miejscu we wszechświecie, czyn jednak niemal zawsze posunie lub cofnie w hierarchji istot ludzkich. Myśl, to siła odosobniona, błędna i przemijająca, która dziś nadchodzi, a zniknie jutro na zawsze może, czyn zaś, to wynik całego mnóstwa myśli trwałych i pragnień usilnych, który po długich wysiłkach uzyskał punkt oparcia w rzeczywistości.

LXII.

Odbiegliśmy jednak zbyt daleko od szlachetnej Antygony i wieczystego problemu bezpłodnej cnoty. Jest rzeczą pewną, że przeznaczenie, wzięte w znaczeniu powszednim, to znaczy wyłącznie jako droga wiodąca do śmierci, nie szanuje wcale cnoty. Dotarłszy do brzegu tej przepaści, stanowiącej jakoby basen główny wszelakiej moralności, gdzie oczyszcza się ona lub doszczętnie mąci, musimy wybierać pomiędzy gloryfikacją a potępieniem ze strony przypadku. Większość poświęceń pod naporem obowiązku stanowi typ ofiary Antygony. Każdy z nas widział chyba wokoło siebie przykłady heroizmu ukaranego. Pewien przyjaciel, leżąc w łóżku, z którego miał się przenieść w łoże wieczne, wskazał mi raz, niejako palcem, całą drogę, którą wiódł go los do pewnego, nieznanego miasta, gdzie wypił trochę wody zatrutej, co spowodować miało śmierć. Widziałem jak na dłoni całą tkaninę z tysięcy nitek złożoną, jaką los omotał to życie, a najdrob-

niejszy przypadek zdawał się wyposażonym zdolnością przewidywania i złośliwością niepojętą. A jednak przyjaciel mój dopełnił w tym mieście obowiązku, jaki na widnokregu świadomości dostrzegają jeno mędracy, bohaterowie i święci. Cóż odpowiedzieć? Milczmy na razie. Wrócimy do tego problemu niebawem. Przyjaciel mój, gdyby nie umarł, ruszyłby niezawodnie nazajutrz do innego miasta, powolny zawołaniu nowego obowiązku, nie zadając sobie nawet pytania, czy wogóle pełni obowiązek. Istnieją ludzie, słuchający w ten sposób rozkazów, które im szepce serce. Nic sobie nie robią z niesprawiedliwości losu, a także inne rodzaje niesprawiedliwości nie obchodzą ich, zda się, wcale.

Oczywiście, wahać się nie należy nigdy, a obowiązek pełni się naprawdę wówczas dopiero, gdy się zatracą jego świadomość. Trzeba się wznieść na wyżyny, skąd oglądany obowiązek nie jest już sprawą decyzyj najszlachetniejszych uczuć naszych, ale czemś, jak milcząca potrzeba całej naszej istoty.

LXIII.

Są też inni, którzy pytają, sądzą, wążą, a w końcu decydują się. Mają także słuszność. Obojętna to rzecz, czy spełnienie obowiązku wynika z instynktu, czy inteligencji. Odruch instynktu ma w sobie zazwyczaj piękno gestu dziecięcego, jest nieco niepewny, naiwny, niespodziany i to nas wzrusza tembardziej, ale odruch świadomej siebie, dobrej woli, odznacza się pięknem powagi i siły. Nie wiele jest serc uroczych przez naiwność swoją i niesłusznie uczynilibyśmy, szukając w nich wszystkich praw obowiązku.

Zresztą nawet rozczarowaną będąc, dostrzega dobra wola wielką liczbę obowiązków mniej pociągających, które uchodzą baczności instynktu, a o wartości moralnej człowieka stanowi właśnie ilość obowiązków dostrzeżonych, które ma zamiar spełnić.

Narazie dobrze jest, że większość dostrzega instynkt ofiary w obowiązku, albowiem długo trzeba pytać, zanim odpowiedzi świadomości u-

podobną się do odpowiedzi instynktu. Kroczą one tak z oczyma zamkniętymi za światłem, które najlepsi z ich przodków niosą przed nimi niewidzialnie. Nie jest to jednak jeszcze ideał, a ten, kto oddaje bliźniemu najdrobniejszą rzecz, wiedząc, czemu to czyni i co daje, zajmuje w dziedzinie moralności stanowisko nierównie wyższe, niż ten, który poświęca życie własne, nie spojrzawszy nawet wstecz.

LXIV.

Świat pełen jest istot słabych i szlachetnych, które uważają ofiarę za ostatni stopień obowiązku. Świat jest pełen dusz pięknych, które nie wiedząc co czynić, starają się poświęcić swe życie i to bywa uznane za cnotę najwyższą. Nie! Cnota najwyższa, to świadomość i wybór tego, za co oddać można życie. Obowiązek w ujęciu powszedniem jest tylko tymczasowo obowiązkiem. Pierwszy obowiązek to wyświecić ideę obowiązku. Słowo „obowiązek“ mieści często dużo więcej błędów i niedbalstwa moralnego, niż cnót. Klitemnestra poświęca życie, by pomścić na Agamemnonie śmierć Ifigenji, a Orestes czyni to samo, mszcząc na Klitemnestrze śmierć Agamemnona. Ale starczy, by przeszedł mędrzec, mówiąc: — Przebaczcie nieprzyjaciołom waszym! — i zaraz ze świadomości ludzkiej znikną wszystkie obowiązki pomsty. Podobnie w przyszłości, jakież nowy mędrzec zgładzi w ten sam sposób większość obowiązków ofiary? Obecnie jednak pewne idee wy-

rzeczenia się, rezygnacji i ofiary pochłaniają grun-
towniej jeszcze, niż wielkie występki i zbrodnie
nawet, najlepsze siły moralne ludzkości.

LXV.

Tak jest, rezygnacja jest dobra i potrzebna, gdy idzie o fakty ogólne i nieuniknione życia, ale tam gdzie walczyć można, rezygnacja jest jeno nieświadomością, bezsiłą i zamaskowaniem lenistwem. Podobnie też poświęcenie bywa często osłabłem ramieniem, którem potrząsa jeszcze w próżni rezygnacja. Piękna to rzecz umieć się poświęcać poprostu, gdy napotykamy konieczność ofiary i gdy to przynosi prawdziwe szczęście bliźnim, natomiast nie jest mądrze ani użytecznie, oddawać życie na poszukiwanie możliwości ofiary i uznawanie tego poszukiwania za najpiękniejszy triumf ducha nad ciałem. Dodajmy, w nawiasie, że zazwyczaj przywiązujemy przesadną wagę do tak zwanych triumfów ducha nad ciałem, które są częstokroć jeno zupełną klęską życia. Ofiara może być jeno kwiatem, który cnota zrywa w przechodzie, ale nie poto wyszła, by zerwać ten kwiat. Wielki to błąd mniemać, że piękno duszy mieści się w chciwości tej ofiary.

Piękno jej to świadomość, to wzlot i potęga jej życia. Istnieją cprawda dusze, które czują, że żyją wówczas jeno, gdy się poświęcają, ale dusze te nie mają odwagi i siły szukania innego życia moralnego. Zazwyczaj dużo łatwiej poświęcić się, to znaczy oddać pierwszemu lepszemu swe życie moralne, niż dopełnić swego przeznaczenia moralnego i obowiązku, dla którego wydała nas na świat natura. Łatwiej to, zaiste, umrzeć moralnie i nawet fizycznie za drugich, niżli żyć dla nich. Zbyt wielka liczba ludzi usypia w ten sposób całą inicjatywę i całe osobiste istnienie ciągłą gotowością ofiary. Świadomość, nie przekraczająca idei poświęcenia, która mimoto sądzi, że jest w porządku ze sobą, bowiem ustawicznie szukając sposobności dania tego, co posiada, zamknęła oczy i zasnęła u stóp góry. Piękna to rzecz oddawać się i w ten sposób dopiero posiadamy się potrosze, ale samo pragnienie dawania to dar zbyt mały, zaiste, dla bliźnich. Zanim zaczniemy dawać, starajmyż się posiąść i nie sądzmyż, że dawanie zwalnia nas od zdobywania. Czekajmyż godziny ofiary, pracując nad czemś innem. Wybije ona i tak, przeto pocóż tracić czas na szukanie jej ciągle po tarczy zegara życia?

LXVI.

Są różne rodzaje ofiary, tutaj zaś nie chcę mówić o ofierze silnych, jak Antygona, którzy umieją zaprzeć się siebie, w chwili, kiedy przeznaczenie, przybierając postać w szczęściach bliźniego, nakazuje im uczynić ofiarę z własnego szczęścia. Mówię tu o poświęceniu słabych, które się pyszni nicością swoją z dziecięcem upodobaniem, które poprzestaje na kołysaniu nas, niby zaślepiona piastunka w wychudłych ramionach rezygnacji i taniego cierpienia. Znakomity myśliciel John Ruskin powiada: — Jest wolą Boga, byśmy żyli szczęściem życia braci naszych, nie zaś ich nędzą i śmiercią. Zdarza się, że dziecko umiera za swych rodziców, ale wolą nieba jest, by dla nich żyło. Nie przez ofiarę ową, ale przez siłę, wesołość i potęgę swego życia będzie im odnową sił i niby strzałą w rękę olbrzyma. To samo się dzieje we wszystkich stosunkach istotnych. Ludzie pomagają sobie wzajem radością, nie zaś smutkiem. Nie jest ich przeznaczeniem, zabijać

się jeden dla drugiego, ale wzmacniać się wzajem. Pośród wielu rzeczy pięknych, które obyczaj niefortunny uczynił złemi, nie znam chyba nic fatalniejszego nad zmysł ofiary, nieświadomy i zbyt pociągający ludzi. Wmówiono w dusze, iż cnotą jest cierpienie jako takie, to też przyjmują one niedolę i ból, jakby to był ich los nieunikniony, nie pojmując, że ich klęska jest pożałowania godną, równie ze względu na nieprzyjaciół, jak też i ich samych.

LXVII.

Powiadają nam: — Kochaj bliźniego, jak samego siebie! — Jeśli atoli kochamy siebie w sposób ciasny, naiwny i tchórzliwy, to również i bliźnich naszych kochać będziemy w ten sam sposób. Uczmyż się tedy kochać siebie w zakresie szerokim, zdrowo, mądrze i zupełnie. Jest to trudniejsze, niż się wydaje. Sobkostwo duszy jasnowidzącej i silnej jest skuteczniejszą miłosierne, niż wszelkie poświęcenie duszy ślepej i słabej. Nim żyć zaczniesz dla drugich, winienesz żyć dla siebie, zanim zaczniesz rozdawać, naucz się gromadzić. Bądź pewny, że zdobycie części własnej świadomości o wiele większe ma znaczenie w gruncie rzeczy, niż dar z całej nieświadomości uczyniony.

Wszystko niemal co wielkie na świecie, stworzyli ludzie, którym się nie śniło nawet poświęcać. Plato nie porzucił myśli swych, by płakać wraz z płaczącymi Ateńczykami. Newton nie zaniedbał swych spekulacyj, by szukać ludzi,

którychby mógł oplakiwać i snuć się wraz z nimi, a Marek Aureljusz (on zwłaszcza, gdyż idzie tu o ofiarę moralną, najczęstszą i najniebezpieczniejszą) nie zagaszył światła swej duszy, by uszczęśliwić niklejszą duszę Faustyny. Otóż to co jest słuszne odnośnie do Platona, Newtona, czy Marka Aureljusza słuszne być również musi w stosunku do każdej duszy. Każda bowiem w swym zakresie ma też same obowiązki wobec siebie, co dusza największych ludzi. Nabierzmy przekonania, że głównym obowiązkiem duszy naszej jest zostać możliwie najpełniejszą, najszczęśliwszą, najbardziej niezawisłą i największą. Nie ma tu mowy o egoizmie, czy pysze. Skuteczna hojność i prawdziwa prostota możliwe są jeno wówczas, gdy mamy o sobie samych świadomość jasną, pełną ufności i pokoju. Temu celowi poświęcić można nawet poświęcenie, albowiem nie powinno ono być środkiem uszlachetnienia się, jeno oznaką szlachetności.

LXVIII.

Należy zdobyć się, w razie potrzeby, na ofiarę z bogactwa, czasu i życia, by wspomóc nieszczęśliwych braci. Jest to dar wyjątkowy, w wyjątkowym momencie. Ale mędrzec nie ma obowiązku zaniedbywać swego szczęścia i wszystkiego, w czym żyje, w tem celu, by przeżyć w sposób mniej czy więcej bohaterski kilka godzin wyjątkowych. W dziedzinie moralności trzeba się głównie trzymać obowiązków codziennych i czynów braterskich, powracających stale. Z tego stanowiska wychodząc, możemy dawać duszom szczęśliwym lub nieszczęśliwym, kroczącym tą samą co my drogą, to jeno, co ciągle odrasta w nas, a więc siłę, zaufanie i pewną siebie niezawisłość duszy własnej. Dlatego też najskromniejszy prostaczek winien hodować i rozwijać swą duszę, tak jakby miał kiedyś pocieszyć, czy rozweselić Boga. Należy przysposabiać ją ciągle do misji boskiej. W tej jeno dziedzinie i pod tym warunkiem tworzy się dar prawdziwy człowieka

i dopełnia istotną ofiarą. Gdy zaś wybije godzina człowieka, wiedzieć, że dar Sokratesa czy Marka Aureliusza, który przeżył tysiąc żyć, okrążywszy tysiąc razy swe życie, posiadać będzie wartość tysiąc razy większą nad to, co dać może człowiek, który kroku nie postąpił w świadomości swojej. A jeśli to Bóg weźmie dar ów, to zważy ofiarę nie tylko ciężarem krwi naszego ciała, ale położy również na szali krew duszy, którą stanowi cnota, samopoczucie, całe życie moralne i cała jej siła, gromadzona przez długie lata.

LXIX.

Dusza nie rozwija się przez ofiarę, ale rozkwitając, zatracając świadomość poświęcenia, jak podróżnik, wstępując na górę, traci z oczu kwiaty murawy. Poświęcenie, to piękny znak niepokoju, ale nie należy hodować niepokoju dla niego samego. Wszystko jest ofiarą dla duszy budzącej się, niewiele rzeczy nosi nazwę ofiary dla tej, która zdołała znaleźć sobie życie, gdzie oddanie się, litość i abnegacja, to tylko kwiaty niewidzialne, nie zaś niezbędne korzenie. Zaprawdę, zbyt wielu odczuwa potrzebę niszczenia i to nawet bezpożytecznie szczęścia, nadziei, czy miłości, będącej ich własnością, w tym celu, by dostrzec samych siebie przy blasku holokaustu. Noszą, zda się, lampę, której nie umieją używać i gdy noc zstąpi, złaknieni światła, wylewają oliwę na cudzy ogień.

Strzeżmyż się czynić tak jak ów latarnik z legendy, który rozdawał biedakom chat sąsiednich oliwę wielkich latarni, mających oświetlać ocean.

Każda dusza jest w swem środowisku strażniczką latarni mniej lub więcej potrzebnej. Matka najskromniejsza, która ulega smutkowi, pozwala się pochłonąć i unicestwić na rzecz ciasnych obowiązków macierzyńskich, rozdaje swą oliwę biedakom, a dzieci jej przez całe życie pokutować będą za to, że dusza ich matki nie była tak jasna, jak być mogła. Siła niematerjalna, błyszcząca w naszym sercu winna przedewszystkiem przyświecać samej sobie. Tylko w takim razie będzie świeciła także innym. Choćby małą była lampka wasza, nie rozdajcież nigdy oliwy, która ją żywi, ale jeno płomień, będący jej kwiatem.

LXX.

Nie ulega wątpliwości, że altruizm pozostanie zawsze punktem ciężenia dusz szlachetnych, ale dusze słabe toną w innych, a mocne odnajdują się w nich. Oto różnica zasadnicza. Kochać samego siebie w bliźnim swoim, to rzecz lepsza, niżli kochać go jak siebie samego. Istnieje dobroć, która poprzedza pewne istoty, istnieje też druga, która za nimi podąża. Jedna wyniszcza, druga żywi. Pamiętajmyż, że nie te dusze są najhojniejsze, którym się wydaje, że ciągle dają. Dusza silna bierze, nawet od najbiedniejszych, słaba daje najbogatszym nawet. Ale pewien sposób dawania jest jeno zachłannością, która straciła odwagę i gdyby jakiś Bóg sprawdził rachunek, okazałoby się może, że dajemy, biorąc, a dając, zabieramy. Zdarza się często, że dusza przeciętna zaczyna wzrastać w dniu, kiedy napotka duszę czerpiącą z niej.

LXXI.

Powiedzmy szczerze: obowiązek jako taki nie polega na tem, by płakać wraz z płaczącymi, cierpieć z cierpiącymi i dawać serce każdemu przechodniowi, by je dręczył, lub pieścił. Płacz, cierpienie i rany są nam jeno o tyle zbawienne, o ile nie zniechęcają do życia. Pamiętajmy, że bez względu na to, jakiemby było posłannictwo nasze na ziemi, cel wysiłków i nadziei, oraz wynik radości i cierpień, jesteśmy przedewszystkiem ślepymi depozytarjuszami życia. Oto jedyny pewnik bezwzględny i jedyny punkt stały moralności ludzkiej. Nie wiemy, poco danem nam zostało życie, ale napewne nie poto, by je osłabiać, czy tracić. Jesteśmy też nawet przedstawicielami pewnej specjalnej formy życia na planecie naszej, mianowicie życia myśli i uczuć. Dlatego to wszystko co zmniejsza zapal myśli i uczucia jest prawdopodobnie niemoralne. Starajmyż się tedy wprawiać w ruch, upiększać i czynić pełniejszym ten zapal. Przedewszystkiem nabierajmy coraz

to większego zaufania w wielkość człowieka, jego potęgę i przeznaczenie. Moznaby, coprawda, równie dobrze powiedzieć: w jego małość, słabość i nędzę. Wzrusza nas tak samo nędza w wielkim stylu, jak szczęście. Zresztą nie idzie o to, czem jest człowiek, czy wszechświat, który nam się wydaje wspaniałym, byle nam się tylko coś wydawało wspaniałem i by świadomość nasza zachwycała się nieskończonością. Świeżo odkryta gwiazda dodaje niejednen promień do myśli, czy namiętności człowieka i wzmacnia jego odwagę. Wszystko, co nam się wydaje pięknem w otoczeniu, jest jednocześnie pięknem w naszym sercu, a to, co uważamy za godne podziwu i wielkie w sobie, jest nam równie wielkiem i wspaniałem w drugich. Jeśli dusza moja, budząc się rano, umiłowała jakąś myśl, zbliżając ją potrosze do jakiegoś Boga, który jest niewątpliwie, jak powiedzieliśmy już wyżej, jeno najpiękniejszym z jej pragnień, to ideę tę dostrzegę także w przechodzącym pod mem oknem biedaku i pokocham go bardziej, gdyż będzie mi lepiej znany. Nie sądzi-
myż, że kochać w ten sposób jest to rzecz niepotrzebna. Właśnie dzięki kochającym i to tak coraz głębiej, człowiek dowie się pewnego dnia, co ma czynić. Prawdziwa moralność wypływać winna z miłości świadomej, a nieskończonej. Wielkie

miłosierdzie, to uszlachetnianie. Nie mogę cię jednak uszlachetnić, jeśli sam wpieryw nie będę szlachetny i nie mogę cię podziwiać, jeśli nie znajdę w sobie czegoś, coby wzbudziło mój podziw. Gdy dokonam czegoś szlachetnego, to najlepszą nagrodą, jaką mi daje ten akt, jest pewność, coraz to oczywistsza i bardziej przekonywująca, że ktoś drugi może uczynić to samo. Każda myśl, rozwijająca serce moje, zwiększa też miłość i szacunek dla człowieka. W miarę mego wznoszenia się wznoszą się i inni. Jeśli atoli, chcąc cię kochać, obetnę skrzydła miłości mojej, dlatego że twoja miłość nie umie jeszcze latać, to podwoję jeno łyż i daremne skargi na nizinach, a miłość nie uczyni ni jednego kroku wzwyż. Kochajmy zawsze z punktu najwyższego, jakiego sięgnąć jesteśmy w stanie. Nie należy kochać z litości, gdy można kochać przez miłość samą. Nie przebaczajmy przez dobroć, gdy możemy to uczynić w poczuciu sprawiedliwości, a także nie uczmy pocieszać, gdy możemy uczyć szacunku. Z całą uwagą i bez zwłoki udoskonalajmy miłość, dawaną drugim. Jedna czara tej miłości wypita na szczytach warta więcej, niż sto, zaczerpniętych z marnych stagnujących cystern zwykłego miłosierdzia. Niema to nawet znaczenia, jeśli ten, którego kochasz nie z litości i nie dlatego, że płacze, nie wie

aż do końca, że go kochałeś dlatego jedynie, iż go uszlachetniłeś wraz ze sobą samym. Uczyniłeś co ci się wydało najlepszym, czując, iż to najlepsze musi być użyteczne. W tem życiu czynić trzeba zawsze tak, jakby na nas ciągle spoglądał ten Bóg, który jest najwyższem pożądanem naszego serca.

LXXII.

Wróćmyż jednak do wielkich praw niewytłumaczalnych. Niedawno temu zdarzyła się straszna katastrofa *), w której przeznaczenie objawiło ponownie i to wyraźniej, niż kiedykolwiek może, swą, jak powiadamy ogólnie, niesprawiedliwość, zaślepienie, czy nieobliczalność. Ukażało, zda się, jedyną cnotę zewnętrzną, jaką pozostawił nam rozum, to znaczy miłość bliźniego. Prawdopodobnie w budynku dotkniętym fatalizmem znajdowało się też kilku niezupełnie sprawiedliwych. Wydaje się natomiast pewnem, iż był tam bodaj jeden prawdziwie sprawiedliwy i bezinteresowny człowiek. I właśnie obecność owego sprawiedliwego ujawnia z całą ścisłością straszliwą kwestję, która się nam nasuwa. Gdyby go nie było, moglibyśmy poprzestać na stwierdzeniu, że nie wiemy, z jakich elementów sprawiedliwości wyższego typu składa się to, co zwiemy wielką niesprawiedliwością.

*) Pożar bazaru dobroczynnego w Paryżu, dnia 4 maja 1897 roku.

Moglibyśmy sobie powiedzieć, że to co zwiemy na ziemi miłosierdziem, jest może jeno zbyt zuchwiałym wykwitem stałej niesprawiedliwości. Człowiekowi trudno jest uwierzyć, że we wszystkim, co przychodzi z zewnątrz, liczyć się ma i walczyć jeno z faktami i siłami ślepymi, wodą, ogniem, powietrzem, prawami ciężenia i tak dalej. Odczuwamy potrzebę usprawiedliwiania przypadku i nawet oskarżając go formalnie, usprawiedliwiamy niejako w przeszłości i przyszłości, dziwując się i nie mogąc uwierzyć, by człowiek dobry popełnił coś niskiego i nikczemnego. Stwarzamy sobie przypadek idealny, sprawiedliwszy od nas samych, a gdy popełni coś wprost nieprzebaczalnego, po przeminięciu zdumienia, nabieramy doń z powrotem zaufania, w głębi serca powiadając, że nie znamy jego dróg i celów, że musiał widocznie ulec prawom nieprzeniknionym dla nas. Świat wydałby się nam zbyt czarnym, gdyby przypadek został pozbawiony moralności. Wydałoby się nam negacją wszelakiej moralności i sprawiedliwości, gdyby nie istniało coś, co czuwa nad naszą ludzką moralnością i sprawiedliwością. Nie starczą nam już nagrody i kary ciasnych systemów moralnych, podawanych w religjach, a jednocześnie zapominamy, że nie mogłaby istnieć żadna moralność wyższa i bezinteresowna,

o jakiej marzymy, gdyby przypadek był wyposażony w najmniejszej choćby mierze poczuciem sprawiedliwości. Niema żadnej zasługi, gdy się jest sprawiedliwym bez przekonania, że przypadek nie posiada absolutnie żadnych cech sprawiedliwości. Odwracamy się od ideału świętości, a mamy przekonanie, że pełnienie obowiązku w nadziei jakiejś nagrody, a nie dla samego spełnienia obowiązku, miałoby w oczach Boga mądrogo tę samą wartość co czyny złe, przynoszące korzyść. Skłaniamy się do poglądu, że jeśli Bóg jest tak szczytny, jak najwyższa idea naszej duszy, to winien odepchnąć człowieka, chcącego mu się jeno przypodobać, to znaczy człowieka, któryby nie czynił dobrze, nawet, gdyby Bóg nie istniał wcale, i któryby nie kochał cnoty bardziej, niżli samego Boga. W rzeczywistości jednak i wobec każdego przypadku spostrzegamy, że tkwimy jeszcze ciągle *w etyce czynnej* z lat dziecięcych, która karze występki. Przydałby się nam jednak przeciwnie „wykaz cnót ukaranych.“ Korzyść by zeń większą odniosły dusze prawdziwe i podtrzymywałyoby to w nich wydatniej dumę i energję dobrych uczynków. Nie zapominajmyż, że właśnie z samej amoralności przypadku zrodzić się ma moralność piękniejsza. I tu, jak wszędzie, w miarę wzrostu poczucia opuszczenia, człowiek

dobywa coraz więcej sił własnych. Przykłady wielkiej niesprawiedliwości niepokoją nas przez to, że zaprzeczają istnienia wyższego prawa moralnego. Ale z samej tej negacji rodzi się bezpośrednio prawo moralności wyższej. Po odrzuceniu nagrody i kary, dostrzegamy konieczność czynienia dobrze dla samego dobra. Niech nas nie trwoży zniknięcie pozorne jakiegoś prawa moralnego, gdyż zawsze istnieje w rezerwie prawo wyższe. To co dodajemy do moralności przeznaczenia, ujmujemy naszemu ideałowi moralności najczystszej. Przeciwnie zaś, im bardziej przekonywujemy się, że przeznaczenie nie jest sprawiedliwe, tem więcej rozszerzamy i oczyszczamy przed sobą pole moralności wyższej. Nie sądźmy, że zapadną się fundamenty cnoty dlatego, iż Bóg wyda nam się niesprawiedliwym. Właśnie w oczywistej niesprawiedliwości Boga swego znajdzie cnota człowieka oparcie niezachwiane.

LXXIII.

Przyznajmyż, że natura zachowuje się zupełnie obojętnie wobec mędrca. Ta obojętność dziwi nas dlatego tylko, że nie dostaje nam mądrości. Jednym z pierwszych obowiązków mędrca prawdziwego jest wszakże zdać sobie możliwie najściślej i najpokorniej sprawę ze stanowiska człowieka w wszechświecie.

Człowiek wydaje się wielkim w swojej sferze działalności, podobnie jak pszczoła na plastrze miodu. Ale absurdem byłoby przypuszczać, że jeden bodaj kwiat więcej zakwitnie dla zasług królowej w ulu. Nie obawiamy się pomniejszenia własnego przez rozszerzanie zakresu wszechświata. Czy my jeno wydamy się sobie wielkimi, czy świat cały, poczucie nieskończoności, ta krew istotna każdej cnoty, krążyć będzie taksamo w duszy naszej. Czyż cnota oczekuje jakiejś nagrody niezwykłej? Nie w prawie ciężenia powszechnego, ale w samym sobie należy szukać nagrody. Zapłaty za dobro żądają jeno ci, którzy

nie wiedzą co dobro znaczy. Nie zapominajmyż, że akt cnoty jest aktem szczęścia. Jest to zawsze kwiat długiego życia szczęśliwego i pełnego. Muszą poprzedzać ten rozkwit liczne godziny i dni odpoczynku na ukojnych wyżach duszy. Żadna nagroda następcza nie dorównałaby nagrodzie pokuju, która poprzedziła cnotę. Sprawiedliwy, który zginął we wzmiankowanej katastrofie, był tam dlatego, że dusza jego znalazła w dobrym uczynku pokój i pewność, jakichby mu nie dało żadne szczęście, sława, ni miłość. Gdzieżby się podzieli bohaterowie i sprawiedliwi, gdyby przed istotami takimi rozstępowały się płomienie, cofały się fale, a śmierć traciła odwagę? W cóżby się obróciło szczęście cnoty, które jest szlachetne i czyste, dlatego, że nie oczekuje żadnej nagrody? W dobrym czynie mieści się cel i czysto ludzka radość, wolna od wszelakiego oczekiwania czegokolwiek poza tem. Wiemy zazwyczaj, dlaczego robimy źle, nie wiemy atoli dobrze, czemu jesteśmy cnotliwi i im mniej to wiemy, tem wyższą jest nasza działalność dobra. Oceniając człowieka sprawiedliwego, spytajmy go, czemu jest sprawiedliwy. Ten, który najmniej będzie miał do powiedzenia, okaże się prawdopodobnie najdoskonalszym. Możliwem jest, że w miarę rozwoju inteligencji zmniejsza się liczba motywów, skła-

niających duszę do bohaterstwa, ale jednocześnie inteligencja uświadamia sobie, że jedynym jej ideałem jest właśnie heroizm, coraz to bardziej ukryty i bardziej bezinteresowny.

Mimoto jednak, nie posiada jeszcze odczucia cnoty ten, kto ją usiłuje zwiększyć przez dodanie aprobaty przeznaczenia i świata. Dobro dla dobra, poto jeno, by je poznawać coraz to lepiej, „bez innego świadka, prócz własnego serca,“ jak powiedział Saint Juste, to jest dopiero cnota prawdziwa. Bóg, zda mi się, czyni różnicę pomiędzy duszą przekonaną, że promieniowanie cnoty nie ma kresu, a tą, którą sądzi, że nie powinna wychodzić poza osiedle serca własnego. Prawda, przepojona nadmierną pretensją, może dać na chwilę siłę większą, ale potęgę trwalszą i poważniejszą daje nam owa cnota prostacza i bardziej ludzka. Żali należy być żołnierzem, pewnym, że każdy nasz strzał przechyla szalę zwycięstwa, czy też kombatantem, który wie, jak marną jest cząstką całej zawieruchy, a mimo to walczy z odwagą tą samą? Człowiek prawy zawaha się, gdy idzie o oszukanie bliźniego, a jednak poszukuje potrosze samego siebie i wydaje mu się to czynem idealnym.

Wróćmyż jednak do rozczarowania sprawiedliwego. Pewny jestem, że najlepsi z pośród nas poszukaliby sobie innego szczęścia, gdyby cnota

dawała korzyści, a nagradzając ich często, Bóg odjąłby im całą rację życia. Zdaje się, że właściwie nic nie jest konieczne i niezbędnego, że utraciwszy radość czynienia dobrze dla samego dobra, sięgnęlibyśmy po inną radość, czystsza, ponieważ jest to jednak narazie najwyższa uciecha duszy, nie tykajmy jej bez powodu. Nie tykajmy nieszczęścia cnoty, by nie zmącić jednocześnie najczystszej krynicy jej szczęścia. Dusza rozkoszująca się niem naprawdę, byłaby tak zdumiona, że ma dostać jeszcze nagrodę, jak inna faktem, iż ponosi karę za nieszczęście. Ci tylko, którzy trwają stale w złem, wywodzą nieustanne żale.

LXXIV.

Mądrość hinduska powiada słusznie:
— Pracuj, jak pracują ambitni, szanuj życie,
jak ci, którzy go pożądata, a bądź szczęśliwy, jak
ci, którzy żyją dla samego szczęścia.

Jest to punkt centralny mądrości człowieczej.
Postępować należy tak, jakby każdy czyn dawał
owoce niesłychane i wieczyste, wiedząc jedno-
cześnie, jak nie wiele znaczy czyn dobry wobec
wszechświata. Czuć trzeba ten brak wszelkiego
stosunku, a kroczyć mimo to, jakby to były sto-
sunki czysto ludzkie. Nie tracąc z oczu sfery wiel-
kiej, poruszać się w małej z wiarą, powagą, prze-
konaniem i zadowoleniem, jakie daje ten krąg
większy.

Czyż nam trzeba złudzeń dla podtrzymania
pożądania dobra? Jeśliby tak było, wyznać
trzeba, że pożądanie to nie jest zgodne z naturą
ludzką. Nierozsądnem byłoby przypuszczenie, że
serce wierzyć może długo w to, w co zwątpił ro-
zum. Ale rozum może uwierzyć w to, co się mieści

w sercu. Ucieka nawet tam, ile razy cień ogarnie jego dziedziny i czyni to coraz ochotniej. Rozum jest bowiem wobec serca, jak córka jasnowidząca, ale za młoda, której często potrzeba rad matki, uśmiechnionej, a ślepej. Nadchodzi chwila w życiu, kiedy piękno moralne zdaje się potrzebniejszym od intelektualnego. Nadchodzi chwila, kiedy wszystko, co nabył umysł, musi znaleźć ujście w wielkości duszy, gdyż inaczej zniszczyje marnie pośród równi, jak rzeka, która trafić nie mogła do morza.

LXXV.

W sprawach dotyczących mądrości nie wolno przeceniać nawet mądrości samej. Siły zewnętrzne nie zawsze zatrzymują się przed człowiekiem prawym, jednak większość sił wewnętrznych podlega mu, zaś szczęście i nieszczęście ludzkie zależy właśnie od sił wewnętrznych. Powiedzieliśmy wyżej, że pojawienie się mędrca przecina tysiące dramatów. Samą swą obecnością wstrzymuje on większość konfliktów, zrodzonych z błędów czy złej woli. Unicestwia je w sobie i nie pozwala im powstawać wokół siebie. Ludzie, którzyby popełnili mnóstwo szaleństw, lub rzeczy złych, nie czynią tego jedynie z powodu, że napotkali istotę wyposażoną w mądrość prostą i żywą. Przeważna ilość charakterów posiada cechy zależności. Stosownie do przypadku, zwracają się na ścieżkę cierpienia, lub pokoju. Wokół takiego na przykład Jana Jakóba Rousseau wszyscy jęczą, zdradzają się, chodzą obłądnie, skrywają swe myśli i szaleją poprostu, otoczenie Jean-Paula

jest lojalne, szlachetne, jasne, ciche i zdolne do miłości. Jeśli opanowaliśmy w sobie, opanowaliśmy tem samem w ludziach, którzy są w pobliżu. Wokoło człowieka sprawiedliwego tworzy się krąg pokoju, którego nie przeszywają strzały zła. Cierpienia moralne, dotykające go, nie zawisły od ludzi. Jest to dosłowną prawdą, że zło może nam wycisnąć łzy tylko na tym stopniu cierpienia, gdzie nie zatraciliśmy jeszcze chęci wyciskania łez nieprzyjaciołom naszym. Ciosy zawisłości ranią nas dlatego, że zdolni bylibyśmy miotać je także, zaś zdrada osmuca nas, gdyż żyjemy jeszcze w sercu zdolność zdradzania. Duszę skaleczyć można jeno bronią zaczepną, której sama nie rzuciła jeszcze na stos miłości.

LXXVI.

Dramaty ludzi prawych rozgrywają się na scenie tajemnej, nieznaney ni mędrcomu, ni nikomu innemu. Dostrzegamy jeno rozwiązanie, nie wiemy jednak nic o ciemniach czy jaśni, kędy zostało przysposobione. Człowiek sprawiedliwy może się jednego tylko spodziewać, a mianowicie, że przeznaczenie doścignie go w toku jakiegoś aktu miłościerdzia czy sprawiedliwości. Otrzyma zawsze cios, będąc w stanie łaski, jak powiadają chrześcijanie, to znaczy, w stanie szczęścia wewnętrznego. A jest to tyle, co zamknąć wszystkie drzwi wewnętrznym złym losom, a także przeważną część drzwi, któremiby wpaść mógł przypadek z zewnątrz.

W miarę rozrostu naszej idei obowiązku i szczęścia doznaje oczyszczenia cierpienie moralne, będące największą władzą tyrańskiego przeznaczenia. Szczęście nasze zawisło w gruncie rzeczy od wewnętrznej swobody. Wzrasta ona, gdy czynimy dobrze, a zmniejsza się, gdy popełniamy coś złego.

Nie jest to wcale metaforą, ale realnym faktem, że Marek Aureljusz wyzwała się za każdym razem, gdy znajduje nową prawdę w pobłażaniu, w przebaczeniu i w myśli. Jeszcze mniej metaforycznie każda zbrodnia zakuwa Makbeta w nowe łańcuchy. A równie prawdziwe, jak sceny wielkich zbrodni na scenie i wielkie cnoty w życiu bohatera, są też prawdziwe marne występki i nieznanne cnoty życia powszedniego. Pełno wokoło nas Marków Aureljuszów w stanie niedorostków i Makbetów, nie opuszczających swego pokoju. Nasza idea dobra jest i tak niedoskonała, gdy ją zaś bodaj na moment opuścimy, wystawiamy się niezwłocznie na atak złośliwych sił zewnętrznych. Jedno kłamstwo wobec samego siebie, pogrzebione w ciszy serca, może zadać wewnętrznej swobodzie cios sroższy, niżli zdrada na placu publicznym. Gdy zaś tylko swoboda wewnętrzna odniosła ranę, przeznaczenie zbliża się do swobody zewnętrznej, niby dzikie zwierzę, podchodząc zwolna do łupu, śledzonego zdawna.

LXXVII.

Czyż istnieje dramat, w którymby istota doskonale piękna i doskonale mądra cierpiała na równi z człowiekiem złym? Wydaje się, że na tym świecie zło pociąga za sobą karę znacznie pewniej, niż cnota — otrzymuje nagrodę. Zbrodnia coprawda karze samą siebie i to z wielkim hałasem, podczas gdy cnota nagradza się w ciszy, która jest zamkniętym ogrodem jej szczęścia. Zło powoduje katastrofy rozgłośne, a akt cnoty jest jeno niemą ofiarą na rzecz najgłębszych praw ludzkiego istnienia. I dlatego to może waga sprawiedliwości pochyła się ochotniej w stronę cienia, niż światłości. Nie jest prawdopodobnem, by istniało realnie „szczęście w zbrodni“, ale czyż częściej zdarza się „nieszczęście w cnotcie?“ Wyłączmyż naprzód cierpienia fizyczne, te przynajmniej, których źródło skryte jest w najgłębszych losach przypadku. Rozumie się samo przez się, że zgraja katów może rozciągnąć Spinozę na łożu tortur, a choroba bolesna dotknąć Antonjusza

Piusa, również jak Reginę i Gonerilę. Jest to część animalna cierpienia, nie zaś ludzka. Jednak mądrość wysyła codziennie wiedzę, najmłodszą z siostr swoich, z poleceniem, by ograniczała coraz to bardziej sferę nawet fizycznego cierpienia. Mimo to zostanie zawsze na tem terytorjum zakątek niedostępny, gdzie będzie panowało zło. Zawsze będą padać ofiary niesprawiedliwości bezwzględnej, a jeśli nas to osmuca, to przynajmniej uczy nas jednocześnie mądrości realniejszej, bardziej ludzkiej i dumnej, niż mądrość czysto mistyczna.

Sprawiedliwymi naprawdę stajemy się dopiero w dniu, kiedy zmuszeni jesteśmy w sobie samych szukać wzoru sprawiedliwości. Przytem pamiętajmy, że niesprawiedliwość losu osadza człowieka na właściwym mu stanowisku w przyrodzie. Nie dobrze jest, gdy się ciągle rozgląda, niby dziecko za matką. Nie jest prawdą, by rozczarowanie to powodowało zniechęcenie moralne. Najbardziej z pozoru zniechęcająca prawda przestacza odwagę tych, którzy ją umieją wchłonąć. W każdym zresztą razie prawda zniechęcająca, przez to samo już, że jest prawdą, więcej warta, niż najpiękniejsze pełne otuchy kłamstwo. To właśnie wytrąca z równowagi słabych, a unacnia silnych.

— Wspominam dni miłości naszej — pisała

pewna kobieta — kiedyto przez okno otwarte na morze spoglądaliśmy na płynące od skraju widnokregu barki białe, posłusznie zmierzające do portu, pod stopami naszymi położonego. Ach... jakże dobrze pamiętam ten dzień! Czy pamiętasz ową łódkę, o czarnym niemal żaglu, która wróciła ostatnia? Czy pamiętasz, że w tej właśnie chwili nastął czas przykrego odjazdu i powrót tej łódki wzięliśmy sobie za sygnał? Przypadek uczynił ciemną łódkę ostatnią i toby nas mogło być przepoić żalobą, ale jako kochankowie, którzy „zgodzili się brać życie, jakim jest,“ stwierdziliśmy to jeno, uśmiechając się i to nas zapoznało wzajem ponownie.

Takby należało postępować w życiu. Nie zawsze łatwo jest uśmiechać się, gdy przybywa barka ciemna, ale łatwo znaleźć coś, co nami włada, nie osmucając jak miłość władała kobietą piszącą te słowa. W miarę, jak myśl i serce rozszerzają się, coraz rzadziej wspominają niesprawiedliwość. Trzeba sobie powiedzieć, że na tym świecie wszystko w stosunku do nas jest jak należy, gdyż jesteśmy wytworami tego świata. Prawo wszechświata, które nam się wydaje okrutnem, musi być wobec tego zgodniejsze z naturą naszą od wszelkich innych, lepszych, którebyśmy wymyślili. Nadszedł, zda się, już czas, kiedy człowiek będzie musiał poza

sobą samym umieścić punkt ciężkości dumy swej i całej radości. Otwierają nam się oczy i widzimy nad sobą siły coraz to potężniejsze, ale jednocześnie czujemy się coraz to pewniej cząstkami składowymi tych sił i nawet odbierając ciosy, możemy, jak Telemak za czasów dziecięcych, podziwiać siłę ojcowskiego ramienia.

Musimy nawyknąć z wolna do ujmowania nieświadomości przyrody z tą samą ciekawością, z tem samem, pełnem wzruszenia i przyjemności zdumieniem, z jakim często patrzymy na nieodporne ruchy własnej nieświadomości. Obojętna to rzecz, czy oświecamy nikłem światelkiem rozumu tak zwaną nieświadomość wszechświata, czy też własną. Jedna i druga jest nam równie bliska. — Poza świadomością naszej władzy — powiada Guyau — jednym z pierwszych przywilejów człowieka jest uświadomienie sobie własnej niemocy indywidualnej. Z owej dysproporcji nieskończoności, która nas druzgocze i nicestwa własnego rodzi się poczucie pewnego dostojęstwa. Lepiej zostać zgładzony przez górę, niż kamyk. Na wojnie wolimy paść w boju z tysiącami, niż z ręki jednego człowieka. Inteligencja, ukazując nam, użyjmyż tego wyrażenia, bezmiar niemocy naszej, odejmuje nam żal po klęsce poniesionej.

Któż wie? Zdarza się, że to, co stanowi naszą porażkę, odczuwamy jako coś bliższego, niż ową część naszego: ja, która ulega przemocy. Nic nie zmienia łatwiej ogniska nad miłość własną, gdyż instynkt ostrzega nas, że w bardzo jeno małej mierze jest ona własnością naszą. Miłość własna dworaków, otaczających potężnego króla, chroni się pod skrzydła wszechwładzy panującego, a upokorzenia tem mniej ranią dumę, im wyższym jest tron i większą przepaja trwogą. Przyroda wydawałaby się nam ciaśniejszą, gdyby była mniej obojętna. Poczucie nieskończoności potrzebuje całego obszaru bezkresnego i całej obojętności, by się swobodnie ruszać, a dusza woli czasem płakać w niesiężnych dalach, niż radować się w ciasnocie.

Gdyby przeznaczenie zachowywało się zawsze sprawiedliwie wobec mędrca, byłaby to doskonała rzecz, przez to samo, żeby tak było, ponieważ atoli jest obojętnem, sprawa przedstawia się jeszcze lepiej i może nawet dostojniej, a w każdym razie dodaje tyle znaczenia wszechświatowi, ile go zabiera duszy naszej. Nie tracimy na tem, gdyż żadna wielkość, czy to w naturze, czy w głębi serca, nie jest straconą dla mędrca. Poczóż się niepokoić nieskończonością? Wszystko, co z niej może pojąć ludzka istota, posiadzie tylko ta, która zdolną jest podziwiać.

LXXVIII.

Pamiętamy niezawodnie romans Balzaka p. t. „*Pierrette*“ z cyklu: „*Célibataires*.“ Nie jest to, co prawda, arcydzieło wielkiego pisarza i nie dlatego wspominał o tej książce. Widzimy tam łagodną, niewinną sierotę z Bretanji, która wyrwana przez zły los z pod opieki dziadków, kochających ją bardzo, udaje się do prowincjonalnego miasta, do smutnego domu wuja Rogrona i siostry jego, ciotki Sylwji, byłych handlarzy przyborów krawieckich, którzy wycofali się z interesów. Są to małomieszczuchy ponure i twarde. Przepaja oboje głupia pycha. Są skąpi, beżżenni, ciągle niespokojni i instynktownie zawistni.

Zaraz od przyjazdu zaczyna się męczeństwo bezbronnej, kochającej cały świat Piotruni. Wychodzą na porządek dzienny kwestje pieniężne, oszczędności, ofiara musi wykręcać się od konkurentów, zaspokajać ambicje i tak dalej. Sąsiedzi Rogronów patrzą z uśmiechem na długie męczarnie dziewczyny, solidaryzując się oczywiście

instynktownie z silniejszymi. Rzec kończy się politowania godną śmiercią Piotruni, triumfem Rogronów, obrzydliwego adwokata Vineta i wszystkich pomocników. Potem nic już nie maści spokoju katów. Przypadek sam, zda się, błogosławić ich, a Balzac uniesiony bezwiednie realizmem opowieści, kończy tem zdaniem: — Przyznać trzeba, że legalizm byłby pięknem polem działania dla łajdactwa społecznego, gdyby nie było Boga.

Niema zresztą potrzeby szukać dramatów tego rodzaju w romansach. Rozgrywa ich się mnóstwo codziennie w wielu domach. Zacerpnałem ten temat u Balzaka jedynie dlatego, że triumf niesprawiedliwości jest tam doprowadzony do końca. Przykłady takie mają wysoką wartość moralną, a moralisci źle czynią, osłabiając naukę z nich płynącą przez usprawiedliwianie na różne sposoby dręczycielskiego losu. Jedni zdają na Boga wynagrodzenie niewinności. Inni powiedzą nam, że nie ofiara jest tu najbardziej pożałowania godna. Mają niewątpliwie rację pod niejednym względem. Mała, prześladowana Piotrunia miewa chwile szczęścia, nieznane jej katom. Nie przestaje kochać, jest do końca dobra i serdeczna, mimo łez, a to daje jej więcej szczęścia, niż gdyby była samolubna i uśmiechała się wzgardliwie. Smutno jest kochać bez wzajemności, ale jeszcze smutniej nie

kochać wcale. Jakże porównać zadowolenie bezpostaciowe i niskie, ciasne nadzieje Rogronów z wielką nadzieją dziewczyny, oczekującej kresu niesprawiedliwości? Nic nam nie mówi, by błada Piotrunia była inteligentniejszą od swego otoczenia, ale ten, kto cierpi niesprawiedliwie, ziszcza w sobie widnokrąg sięgający niekiedy aż do rozkoszy umysłu wyższego, podobnie jak ogarniamy, nie stojąc nawet na szczycie góry, okiem cały krajobraz, aż do nieboskłonu. Nieuczciwość, której się dopuszczamy, skłaniać nas zacznie niebawem do drobnych uciech materialnych i pozazdrościmy naszej własnej ofierze radości wyższych, których wydrzeć jej, których sięgnąć nie możemy. Akt bezprawia otwiera ofierze drzwi, które jednocześnie zamykają się przed katem. Cierpiący oddycha powietrzem świeższym niż dręczyciel, a w sercu prześladowanego jest stokroć jaśniej, niż w sercu prześladowcy. A czyż cała zdrowotność szczęścia nie zawisła od pewnej jaśni wewnętrznej? Istota ludzka, dająca cierpienie, gasi w samej sobie więcej szczęścia, niżli go może zniweczyć w swej ofierze.

Któż z nas, gdybyśmy mogli wybierać, nie wolałby być Piotrunią, jak Rogronami? Wiemy przez instynkt szczęścia, że szczęśliwszym być musi ten, kto ma moralnie słusność, niżli człowiek niemoralny, choćby siedział na tronie. Rogronowie

nie pojowali, co prawda, własnej niesprawiedliwości. Ale nie o to idzie, bowiem nie oddychamy swobodniej w nieświadomości, niż świadomości zła. Przeciwnie, ten kto wie, że czyni źle, miewa czasem ochotę wyrwać się z więzienia, drugi zaś umiera w niem, nie używszy myślą nawet tego, co się mieści za murami, słońcami mu ponuro prawdziwy obraz ludzkiego przeznaczenia.

LXXIX.

Nie szukajmyż sprawiedliwości tam, gdzie jej niema. Czyż może istnieć kędyś, poza naszą duszą? Przemawia, zda się, językiem umysłu ludzkiego, ale gdy człowiek wybiera się w podróż po wszechświecie, musi posiąść znajomość słów innych. Wszechświat nie interesuje się zgoła ideą sprawiedliwości. Idzie mu wyłącznie o prawo równowagi, ale równowaga jest właśnie ludzkim przetworem sprawiedliwości, podobnie jak miód pszczeli jest przetworem nektaru kwiatów. Niema sprawiedliwości poza człowiekiem, ale w człowieku samym nie zachodzą nigdy akty niesprawiedliwości. Ciało może się radować rzeczą źle nabytą, dusza jednak nie zna innych uciech prócz tych, na jakie zasłużyła cnotą. Szczęście wewnętrzne odważa nam sędzia nieprzedajny, a ile razy usiłowałibyśmy go przekupić, ująłby jeszcze coś z tego szczęścia prawdziwego, jakie ma złożyć na świetlistej płycie wagi. Okropne to, zaiste, że można, jak to czynili Rogronowie, uciskać istotę bezbronną i okrywać za-

łobą te lat kilka życia, jakie jej przypadek wydzielił na tym świecie. Mimoto, o niesprawiedliwości jako takiej możnaby mówić dopiero wówczas, gdyby postępowanie Rogronów dawało im szczęśliwość wewnętrzną, spokój, oraz wzlot myśli i obyczajów, podobne do tych, jakie cnota, rozmyślanie i miłość przyniosły w darze Spinozie lub Markowi Aureljuszowi. Niewątpliwie czyniąc źle, doznajemy pewnego zadowolenia intelektualnego. Złe czyny zacieśniają jednak jednocześnie myśl, ograniczając ją do spraw osobistych i znikomych. Dopuszczając się niesprawiedliwości, okazujemy, żeśmy nie dosięgli jeszcze szczęścia, jakiego może dostąpić człowiek. Człowiek zły szuka nawet w złem ostatecznie pewnego spokoju i pewnego rozkwitu swej istoty. Może go zadowolić nawet rozkwit osiągnięty, ale czyż poprzestalby na tem Marek Aureljusz, który zaznał innego rozkwitu i innego ukoju? Dziecko, które nie widziało morza, wyobraża je sobie stojąc nad wielkiem jeziorem, klaszcząc w ręce i poprzestaje na tem. A jednak mimoto morze prawdziwe istnieje. Czemże w oczach ludzi, którzy widzieli rzeczy inne, być może szczęście niezashuzonego, uzależnionego od mnóstwa codziennie odnoszonych zwycięstw próżności, zawiści i zobojętnienia? Czyżbyśmy mogli pragnąć tej świadomości życia, tej religji, starczącej tamtym duszom

i tego wyobrażenia o świecie, jakie wytwarzają owe zabiegi? To wszystko zaś tworzy łożysko szersze, czy węższe, płytkie czy głębokie, którem płynie nurt szczęścia. Człowiek taki myśli pewnie to samo co mędrzec, mianowicie, że jest Bóg lub go niema, że wszystko się kończy w tem życiu lub trwa dalej, że istnieje tylko materja lub tylko duch... czyż atoli myśli on w ten sam sposób? A wszakże od sposobu wierzenia w to, w co wierzymy, zawisło szczęście czerpane z tej wiary, to znaczy pewniki życiowe, pokój, zaufanie w życie wewnętrzne, i uznanie praw natury, wolne od rezygnacji, a przeciwnie czynne, pełne zaciekawienia i wprost synowskie. Mogę wierzyć w sposób iście religijny i pełen uczucia nieskończoności, że niema Boga, że istota moja ma za cel samą siebie, że byt duszy mojej nie jest konieczniejszym dla wszechświata od znikomego zabarwienia kwiatu. Natomiast możesz wierzyć drobiazgowo i nisko w istnienie Boga jedyne, wszechpotężnego, który cię kocha i strzeże. Uczuję się szczęśliwszym i spokojniejszym, niż ty, jeśli niepewność moja będzie szczytniejszą, głębszą i szlachetniejszą od twojej wiary, jeśli przepoiła lepiej mą duszę, obiegała szerszy widnokrąg i jeśli ukochała więcej rzeczy. Bóg, w którego nie wierzę, stanie się potężniejszy i da mi więcej pociechy od twego, jeśli zbuduję gmach

wątpliwości moich na myślach i uczuciach dalej sięgających i czystszych, niż te, któremi żyją pewniki twoje. Powtórzmy więc raz jeszcze: niema znaczenia, czy wierzymy czy nie, a idzie jeno wyłącznie o lojalność, rozmiar, bezstronność i głębię tych racyj, dla których wierzymy, lub nie wierzymy wcale.

LXXX.

Nie można wybrać sobie swych racyj, ale są one nagrodą zasługi. Racje wybrane, to jeno kupieni przypadkowo niewolnicy, napoły jeno żywi, obojętni i czyhający na sposobność ucieczki. Ale racje wysłużone zasługami dodają nam otuchy, niby zamysłone i wierne Antyfony. Niesposób ich wprowadzić gotowych do duszy, muszą tam przebywać długo, spędzić wiek dziecięcy, żywić się naszymi myślami i czynami, muszą też osiąść mnóstwo wspomnień życia szczerego i przepojonego miłością. Widnokrąg szczęścia rozrasta się wraz z rozwojem tych racyj i roztaczaniem się krajobrazu duszy, albowiem szczęście poruszać się może jeno w przestrzeni zajętej przez myśli i uczucia nasze. Nie potrzeba mu przestworów materialnych, natomiast nigdy mu nie dość wielkim jest rozłóg moralny, jaki ma przed sobą. Należy go ustawicznie zwiększać, aż do chwili, kiedy szczęście zacznie żywić się już tylko samą swą przestrzenią, rozślaniającą mu się wraz ze wzlotem. Wówczas to

człowiek zaczyna być szczęśliwy iście po ludzku, odczuwa to najistotniejszą częścią swej istoty, a wszystkie inne rodzaje szczęścia są mu w gruncie rzeczy jeno nieświadomymi jeszcze fragmentami owego szczęścia, które rozmyśla, patrzy wokół i nie dostrzega już, ni w sobie ni w otoczeniu, żadnych granic.

LXXXI.

Przestrzeń ta ulega zacieśnieniu codziennemu w złem, gdyż jednocześnie kurczą się w niem myśli i uczucia. Ale człowiek na pewnym poziomie nie czyni już źle, dlatego że wszelkie zło rodzi się ostatecznie z ciemnoty myśli i nikczemności odczuwania. Nie czyni źle, gdyż myśli jego wzniosły się wysoko i oczyściły, a wzajem też, skutkiem tego, że nie podlega złym uczynom, myśli jego osięgają czystość wyższą jeszcze. W ten to sposób czyny nasze i myśli, sięgając niebiosów pokoju, gdzie rozkwita swobodnie życie duszy, łączą się z sobą i stają nierozdzielne, jak dwa skrzydła jednego ptaka, a to co dla ptaka jest prawem równowagi, staje się tu prawem sprawiedliwości.

LXXXII.

Trudno orzec, czy ten rodzaj nędznego zadowolenia, który jest czasem udziałem złych, nie łączy się w ich duszy z jakimś słabem i mglistym pożądaniami dobra i miłosierdzia i czy nie odczuwają oni jakichś dalekich obietnic i możliwości.

Żli dostrzegają może w chwili obezwładnienia swej ofiary coś mniej ciemnego i bezpożytecznego w radości swojej i przychodzi im na myśl, że mogliby przebaczyć. Złość zapożycza czasem, rzechby można, od dobroci promyka światła, w celu uświetnienia triumfu swego. Być może, można uśmiechnąć się w nienawiści, a nietylko w miłości? Ale uśmiech taki rychło przeminie. I tu, jak wszędzie, wewnętrzna niesprawiedliwość nie istnieje. Nie ma duszy, w którejby drabina szczęścia nie liczyła tejże samej ilości szczebli sprawiedliwości i miłosierdzia. Zamieniam tu oba pojęcia, gdyż miłosierdzie, czyli miłość jest sprawiedliwością, która liczy już same jeno klejnoty. Człowiek, zatapiający swe szczęście w złem, stwierdza tem samem, że jest

w niem szczęśliwszym od tego, który potępia czyn zły. Posiada jednak ten sam cel, co człowiek sprawiedliwy. Szuka też szczęścia, pokoju i pewności jakiejś. Pocóż go tedy karać? Czyż mamy za złe biedakowi, że nie mieszka w pałacu? Dość mu tej biedy, że żyje w chałupinie. W oczach istoty dostrzegającej rzeczy niewidzialne, dusza najgorszego człowieka miałyby zawsze atrybuty, szatę nieskalaną i świętą aktywność sprawiedliwości. Okazałoby się, że duma nad pokojem, miłością, ma świadomość życia, zna uśmiechy nieba i ziemi, oraz to co je niweczy, obniża czy truje, a wszystko czyni z tą samą starannością, jak dusza świętego, bohatera i myśliciela. Nie czynimy może opacznie, zajmując się sprawiedliwością pośród wszechświata, który na to nie zwraca uwagi, podobnie jak pszczoła, robiąc miód w świecie, gdzie nikt inny miodu nie robi. Nie trzeba tylko domagać się sprawiedliwości zewnętrznej, gdyż jej niema. Niechże nam wystarcza ta, którą mamy w sobie. W głębi istoty naszej wszystko się waży i sędzi bezustannie. Sędzimy samych siebie, a raczej sędzi nas szczęście nasze.

LXXXIII.

Możnaby powiedzieć, że dobro ma swe porażki i rozczarowania na równi ze złem, ale porażki i rozczarowania dobra nie ćmią i nie osmucają myśli, jeno przeciwnie rozświetlają je i koją. Czyn cnotliwy może paść w próżnię, ale wtedy właśnie uczy nas mierzyć głębię duszy i życia. Pada tam często, jak kamień połyskliwszy od myśli naszych. Gdy złośliwy pomysł pani Rogron rozbija się o niewinność Piotruni, dusza jej zacieśnia się bardziej jeszcze, gdy jednak akt dobroci Tytusa spada na niewdzięcznika, owa bezcelowość przebaczenia i miłości uczy go podnosić wzrok ponad przebaczenie i miłość. Człowiekowi niedobrze jest zamykać się w czemkolwiek bądź, choćby nawet w tem co dobre. Niechże ostatni gest cnoty będzie gestem anioła, uchylającego drzwi.

Należałoby błogosławić te porażki. Gdyby za sprawą przypadku każdy, komu przebaczymy, stawał nam się bratem, zmarlibyśmy, nie po-

znawszy tego, co roznieca w nas nieroztropną po-
błaźliwość, której nie żalujemy zresztą. Zmarli-
byśmy, nie zaznawszy sposobności wymierzenia
sił otaczających nas zapomocą potęgi największej,
posiadanej w duszy. Bezpożyteczność czynu do-
brego, bezskuteczność pozorna myśli wzniosłej
albo jeno poprostu uczciwej, rzuca na mnóstwo
spraw inne światło, niż pożyteczność dobra. Nie-
zawodnie, z wielką radością stwierdzamy nie-
zmienny triumf miłości, ale bardziej jeszcze ra-
duje przedarcie się aż do prawdy przez tę złudę.
— Człowiek — powiedział pewien, przedwcześnie
zmarły myśliciel — zbyt często w ciągu dziejów
dumny był z błędów swoich, a prawda wydawała
się mu zrazu czemś pomniejszającym. Prawda nie
dosięga nieraz miary marzenia, ale ma zato war-
tość prawdziwości. Niema nic moralniejszego w
zakresie myśli, nad prawdę.

A prawda ta nie mieści w sobie goryczy, żadna
też prawda gorzką nie bywa mędrcomi. Mógł on
ongi zapewne również pragnąć, by cnota prze-
nosiła góry i by jeden akt miłości uczynił, raz na
zawsze, łągodnemi dusze wszystkich współbraci.
Ale dziś wie, iż lepiej, że się tak nie dzieje. Dumy
swej nie szuka w zadowoleniu własnem. Nie
uważa się za lepszego niż wszechświat, ale prze-
ciwnie wie, że jest w nim mniej ważną istotą.

Już nie hołduje sprawiedliwości, jaką ma w swej duszy dla jej owoców, ale przez szacunek dla wszystkiego co istnieje i tych kwiatów, jakie rodzi w umyśle jego. Nie wyklina niewdzięcznika, ani nawet niewdzięczności. Nie powiada: — Jestem lepszy, niż ten człowiek! — lub — nie popadnę w ten występki! — Niewdzięczność nauczyła go, że w czynie dobrym mieści się przestwór uciech ogólniejszych, mniej osobistych i zgodniejszych z całokształtem życia, niż w samej wdzięczności personalnej. Stara się zrozumieć to co jest, miast wierzyć w to, czego pragnie. Żył długo jak biedak, przeniesiony z chałupy do ogromnego pałacu, szukając po przebudzeniu niespokojnie wspomnień nędznych ciasnej izdebki swojej. Gdzież się podziało ognisko, łóżko, stół, miska i zydzi? Znajdywał, drżąc całym ciałem, obok siebie mały kaganek nocny, ale światło jego nie sięgało wysokich stropów, a nawet najbliższy filar zdawał się chwiać w migotliwych błyskach. Zwolna jednak oczy jego zaczęły przywykać do nowego mieszkania i radował się już potem tem, co widział w świetle kaganka i tem, czego nie widział. Wołałby może mieć zrazu drzwi niższe, schody węższe i nie być zmuszonym błądzić oczyma po galerjach. Ale im dłużej chodził, tem lepiej pojmował piękno i wielkość tego, co nie licowało z jego marzeniami

i rad był, że nie kręci się tu wszystko, jak w jego chacie, wokoło stołu i łóżka. Powinszował sobie, że pałac nie jest zbudowany na miarę nikłych przyzwyczajęń jego nędzy. Nawykł do podziwiania tego, co się sprzeciwiało jego pragnieniom i rozszerzało pole widzenia. Wszystko co istnieje pociesza i umacnia mędrca, albowiem mądrość polega na poszukiwaniu i uznawaniu wszystkiego co istnieje.

LXXXIV.

Mądrość uznaje nawet istnienie Rogronów. Ciekawi ją życie bardziej jeszcze, niż sprawiedliwość czy cnota, a jeśli jakaś cnota zbyt abstrakcyjna stanie wobec życia zawartego w ciasnych murach, mądrość zwróci raczej uwagę na to życie, niż nieruchomą, dumną i pustelniczą cnotę.

Nadewszystko niczem nie gardzi, chyba samą jeno wzgardą. Myśliciele skłonni są często gardzić nie myślącymi. Oczywiście, myśl jest niezmiernie ważna i trzeba się starać myśleć, jak tylko można najczęściej i najlepiej, ale jest wielką przesadą przypuszczenie, że zdolność operowania pewną liczbą idei zasadniczych, lub jej brak, kładzie pomiędzy ludźmi nieprzebytą zaporę. Prawdę mówiąc, wielkiego myśliciela dzieli od drobnomieszczanina z prowincji jeno różnica jakiejś jednej idei, należycie sformułowanej w przeciwstawieniu do idei, której nigdy w sposób dostateczny sformułować nie będzie można. Jest to, co prawda,

rów głęboki, ale nie przepaść jeszcze. W miarę wzlotu myśli zetraca się dowolna i chwiejna granica pomiędzy nie myślącym jeszcze, a myślącym ciągle. Małomieszczanin jest przepojony przesadami, śmiesznymi namiętnostkami, ciasnymi ideami i zazwyczaj wielkimi poglądami. A jednak postawmy go obok mędrca w istotnych okolicznościach życia, wobec cierpienia, śmierci, miłości, czy rzeczywistego bohaterstwa, a nieraz mędrzec uzna prostaczka tego za posiadacza prawdy równie ludzkiej i pewnej, jak jego prawda.

Zdarza się, że mędrzec poznaje znikomość swych skarbów duchowych, lub też spostrzeżenie, że zaledwo kilka nawyków, czy słów, w których wartość powątpiewa nawet, dzieli go od innych ludzi. Są to chwile mądrości najowocniejszej. Myśląc, mylimy się często, a zmyliwszy drogę, mędrzec musi zawrócić nieraz do miejsca, gdzie ci, którzy nie nawykli myśleć, siedzą wiernie wokół jakiejś prawdy cichej, lecz niezbędnej. Strzegą oni plemiennego ogniska. Inni chodzą z pochodniami. Gdy jednak pochodnia zaczyna przygasać w rozrzedzonym powietrzu, roztropnie jest zbliżyć się do ogniska. Możliwość sądzić, że ono nie rusza się z miejsca, tymczasem jednak posiada ten sam ruch co świat i wyznacza dokładnie godzinę ludzkości. Wiadomo ściśle, co winna siła

bezwładu myślicielowi, ale nikt nie zdaje sobie sprawy z tego co zawdzięcza myśliciel sile inercji. Świat złożony z samych jeno mędrców zatraciłby świadomość niejednej prawdy niezbędnej. Mędrzec w istocie tylko wówczas myśli należycie, gdy nie zatracą łączności z tymi, którzy nie myślą.

Łatwa to rzecz pogardzać, trudniejsza o wiele zrozumieć. Jednak u mędrca prawdziwego każda wzgarda przemienia się z czasem w poznanie. Myśl, która unosi się wzgardliwie ponad głowami milczącej rzeszy, myśl, nie uznająca tysięcy siostr swych i braci zaśnionych wśród tych ludzi, jest to najczęściej jeno złudne i jałowe marzenie. Nie zaszkodzi przypomnieć, że zarówno w atmosferze duchowej jak materialnej potrzebna jest znacznie większa ilość azotu, niż tlenu, by nią można od-
dychać.

LXXXV.

Rozumiem, dlaczego wielcy myśliciele, jak Balzak, lubują się w kreśleniu kolei życia małych ludzi. Nic nie zmienia się z pozoru w takim życiu, a jednak z wieku na wiek ciągle inną jest jego atmosfera. Napotykamy identyczne gesty pod odmiennem niebem, którego odmienności nie dostrzeglibyśmy jednak, gdyby owe gesty nie były całkiem takie same. Uwagę naszą pochłania wielki czyn bohaterski jako taki, ale słowa i ruchy nieznacznie kierują nasze spojrzenie na widnokrąg, który go otacza, a przecież właśnie na tym widnokregu połyska zawsze punkt świetlany mądrości człowieczej. Patrząc pod kątem uczucia i rozumu natury, nic nie dostrzegamy, nawet przeciętności takiego życia skutkiem tego, że jest ono powszechne.

Pocóż zresztą podkreślać to jeszcze? Wszakże poznajemy dusze dopiero, dostawszy się na wyżynę, z której poznać możemy duszę własną, a każda, zrazu mała istota, urasta w miarę wy-

laniania się z cienia w miejscu, gdzie stoimy. Nie
potrzeba koniecznie powiększać tego, co mamy
pokochać, ani też oświetlać, tak by płomień sięgnął
na wyże miłości. Pragnąć winniśmy jeno, by
każdego dnia dusza nasza wysłała jeden promień.
Musnie on cokolwiekbądź. Każdy przedmiot, na
którym spocznie wzrok czy myśl, mieści więcej
skarbów, niż promień ten może oświetlić, a niema
na świecie rzeczy tak małej, któraby nie była o wiele
większa od całej jaśni, jakiej jej użyzyć może
dusza.

LXXXVI.

Istota ludzkiego przeznaczenia mieści się po-
śród przeznaczeń powszednich, jest tylko
wolna od mnóstwa szczegółów, denerwujących
i rozpraszających uwagę. Piękną jest walka mo-
ralna na wyżynach. Uważny badacz długo będzie
podziwiał olbrzymie drzewa na pustyni, ale
wkońcu wróci do lasu, gdzie drzewa nie są prze-
dziwne, lecz zato niezliczone. Las składa się
zapewne z przeciętnych jeno pni i gałęzi, a jednak
jest głęboki i ma rację bytu, albowiem jest lasem.
Ostatniego słowa nie będzie miała nigdy rzecz
wyjątkowa, a to, co zwiemy szczytnem, jest
rzeczą zupełnie normalną, ujętą jeno jaśniej i prze-
nikliwiej. Zbawiennem jest spoglądać często na
tych, którzy walczą na szczytach, ale nie wolno
też zapominać o zaśnionych jakoby na nizinach.

Widząc, co się dzieje z drzemiącymi i wiedząc,
jak długo musieliśmy walczyć ze sobą, by odróżnić
ich szczęście ciasniejsze od szczęścia walczących
na uboczu, obojętniejemy może potrochu na

walkę, ale natomiast uczymy się bardziej kochać. Im dyskretniejszą jest nagroda, tem bardziej po-
ciąga i to nie dlatego, byśmy się mieli nielojalnie,
na uboczu, rozkoszować łaską szczęścia, ale z po-
wodu, że takie uciechy, nieznanne drugim, są może
jedyne, które nie zabierają im szczęścia dla nich
przeznaczonego. Nie patrzemy wówczas na braci
naszych, myśląc: — O jakże daleko jestem od
tych ludzi! — ale powiadamy sobie: — W miarę
wstępowania na wyże, oddalam się coraz to mniej
od najliczniejszych i najskromniejszych towa-
rzyszy moich, licząc kroki moje ku niepewnemu
ideałowi wedle kroków, zbliżających mnie do tych,
którymi zrazu gardziłem, za dni pychy i nieświa-
domości.

LXXXVII.

Czemże jest właściwie życie powszednie? Tak zwiemy życie, nie zdające sobie ze siebie sprawy, które wyczerpuje się na miejscu pośród kilku osób, a którego uczucia, myśli, namiętności i pragnienia krążą koło spraw mało znacznych. Dla badacza jednak, skutkiem samego badania, każde życie jest wielką rzeczą. Jeno sposób patrzenia na życie stanowi o jego wartości. Życie uznawane przez wszystkich za rozległe i szczytne, jest takim dlatego, że nawykło patrzeć samo na siebie w sposób szerszy. Będziesz wiódł z konieczności żywot ciasny, jeśli zaniedbasz badania życia własnego, ale ten, który zobaczy jak żyjesz, dostrzeże w tym małym nawet kącie, gdzie się poruszasz, coś w rodzaju elementu widnokregu, czy stałego punktu oparcia, skąd myśl jego wzniesie się z siłą bardziej ludzką i pewną.

Wydaje się zrazu, że otaczają nas jenego egzystencje odrętwiałe, zamknięte i jednostajne i że duszy naszej nic nie łączy w sposób budzący

trwalsze uczucie, czy zainteresowanie, na przykład z życiem starej panny, urzędnika o ciasnym mózgu, czy skąpca, będącego niewolnikiem złota. Jeśli atoli zjawi się ktoś umiejący patrzeć i słuchać, jak Balzak, natychmiast uczucie powstałe w biednym saloniku prowincjonalnym rozprzestrzeni się równie daleko i wstrząśnie ludzkością, sięgając takich samych głębin, jak jakaś wielka namiętność króla, którego tron połyskuje w dziejach świata.

— Istnieją małe burze, — powiada Balzak w przepięknej historii prostaczków, p. t. *Curé de Tours* — które wznecają w duszach tyle namiętności, że starczyłoby ich na największe sprawy społeczne. Błędem jest mniemać, że czas mija szybko jeno dla serc targanych ogromnemi zamysłami, wzburzającemi życie do dna. Godziny życia proboszcza Trouberta były tak ożywione, tak przepełnione troską, tak głęboko poryte lemięszem nadziei i rozpaczy, jakby był największym okrutnikiem, człowiekiem wielkich ambicyj, zapalonym graczem, lub namiętym kochankiem. Sam jeden Bóg wie, ile energii wkładamy w zwycięstwa odnoszone nad ludźmi, rzeczami i nami samymi. Chociaż nie zawsze znamy cel podróży, trud jej jest nam dobrze znany. Jeśli atoli wolno historykowi odstąpić na chwilę od opowiadanego dramatu dla objęcia roli krytyka, jeśli poprosi

czytelnika, by zechciał rzucić spojrzenie na życie tych starych panien i proboszczów, w celu odkrycia przyczyny ich nieszczęść, to przekona się on, że człowiek powinien doznawać pewnych namiętności, by rozwinąć w sobie cechy, przepajające życie szlachetnością, rozszerzające jego zakres i tłumiące przyrodzony każdemu egoizm.

To prawda. Nie zawsze należy kochać światło dla światła, ale także dla tego, co oświeca. Doskonale jest wielkie ognisko na szczycie, ale tam żyje ludzi niewiele, a mały płomyk, pośród ciżby rozetlony, spełni skuteczniej swe zadanie. Poza-tem, w kolejach życia powszedniego ludzie wyżej dostrzegą istotę życia własnego, a patrząc na uczucia małe, nauczą się rozwijać swoje uczucia. Uczucia ciasne nie zawsze działają odpychająco, ale spostrzegamy, że nie harmonizują z prawdą, którą jesteśmy przepojeni. Wolno marzyć o życiu lepszym, niż powszednie, ale wolno, sędzę, budować to marzenie jeno z elementów życia powszedniego. Niektórzy sądzą, że dobrze jest patrzeć powyż życia, może jednak lepiej przyzwyczaić oczy, by spozierały wprost przed siebie i nie brać w rachubę dla swych pragnień i marzeń innych szczytów, prócz tych, które się ostro odcinają od chmur zalegających widnokrąg.

LXXXVIII.

Wszystko to zawraca nas do punktu dawno opuszczonego. Zatrzymaliśmy się na przeznaczeniu zewnętrznem, ale istnieją jeszcze łyż inne, niż te, które nam wyciskają cierpienia przybywające z zewnątrz. Mędrzec prawdziwy żyć winien pośród wszelakich ludzkich namiętności, gdyż niemi to mądrość żywić się może długo bez niebezpieczeństwa. Namiętności są to robotnicy przysłani przez naturę dla pomocy w budowie pałacu świadomości, czyli naszego szczęścia. Człowiek, który nie dopuszcza tych pomocników, sądząc, iż uniesie sam wszystkie głązy swego bytu, zdoła swej duszy zbudować jeno ciasną, chłodną i zimną celkę.

Być mądrym, nie znaczy to nie odczuwać namiętności, ale oczyszczać posiadane. Wszystko zależy od stanowiska zajętego na schodach dni. Dla jednego wszelkie omdlenie i słabość moralna jest stopniem, po którym się schodzi, dla innego stopniem wzwyż. Mędrzec może uczynić dużo

rzeczy, jakie uczyni również niemądry, ale namiętności tego drugiego grążą go tem bardziej w instynkt, gdy przeciwnie namiętności mędrca rozświecą wkońcu jakiś zapadły kąć świadomości. Niekoniecznie musi naprzykład kochać jak szaleniec, ale kochając tak nawet, stanie się prawdopodobnie mędrszym, niżli gdyby zawsze kochał jeno w sposób mądry. Nie mądrość to kwitnie w bezruchu i próżni, ale pycha, w najbezużyteczniejszej postaci. Nie wystarcza wiedzieć, co czynić należy, lub przewidzieć napewne, coby uczynił bohater. Tego można się wyuczyć zewnątrznie w ciągu kilku godzin. Nie dość też powziąć chęć życia szlachetnego i zamknąć się potem w celi, by kultywować tę chęć. Nabyta w ten sposób mądrość nie będzie zdolna kierować duszą naszą, ni przyozdobić jej naprawdę, jak tego również nie dokażą rady bliźnich. — Trzeba — jak powiada przysłowie hinduskie — odnaleźć kwiat rozwijający się w ciszy, która następuje po burzy, nie zaś przed nią.

LXXXIX.

Im dalej kroczymy z dobrą wiarą po ścieżce życia, tem mocniej uczymy się wierzyć w prawdę, piękno i głębię praw najpowszedniejszych i codziennych. Podziwiamy je dlatego właśnie, że są tak powszechne, jednostajne i codzienne. Coraz to mniej szukamy i oczekujemy czegoś nadzwyczajnego, albowiem przekonywamy się, że właśnie najbardziej nadzwyczajnymi są, w toku normalnym natury, dziecinne wprost wymagania naszej niewiedzy i próżności. Nie domagamy się już, by każda godzina dawała nam przeżycia dziwne i cudowne, gdyż właśnie przeżycia takie zdarzają się tym, którym brak jeszcze zaufania w siebie samych i w życie. Nie czekamy z założonemi rękami sposobności jakiegoś czynu nadludzkiego, gdyż mamy świadomość bytowania pośród wszystkich czynów ludzkich. Pragniemy tylko miłości i przyjaźni, a kiedy przybywa śmierć strojna fantastycznie, w orszaku koincydencji i przepowiedni cudownych, przy-

mujemy ją poprostu w całej realnej nagości. Naberamy przekonania, że w życiu podjętem mężnie i bez zastrzeżeń znaleźć można równoważnik bohaterstwa i wszystkiego, co się wydaje szczytnem i nadzwyczajnem ludziom słabym, nieświadomym i niespokojnym. Nie uważamy się już za ulubieńców i wybrańców wszechświata, ale rozwijamy świadomość i rozpogadzamy uśmiech zapomocą tego, co odbieramy pysze swojej.

Na tym stopniu rozwoju, cudowne przeżycia św. Teresy, czy Jana od Krzyża, wszelkie ekstazy mistyczne, wydarzenia nadprzyrodzone, legendarne miłości, oraz gwiazdy Aleksandra czy Napoleona, wydają nam się dziecinnymi złudami w porównaniu z uczciwą, zdrową i szczerą lojalnością mądrości ludzkiej, która nie usiłuje wznosić się ponad człowieka, by doświadczyć, czego on nie doświadcza, a le w rzeczach powszednich umie znaleźć to, czego nam potrzeba, by rozwinąć serce i myśl. Człowiekiem prawdziwym nie zostanie ten, kto chce być czemś innem niż człowiek. Mnóstwo ludzi marnuje w ten sposób życie, czekając na nieprawdopodobną zgoła kometę, a nie patrzą na gwiazdy inne dlatego, że jest ich mnóstwo i że je widzą wszyscy. Pragnienie nadzwyczajności jest często chorobą duszy prostaczej. Trzeba sobie powiedzieć, że przeciwnie zbliżamy

się tembardziej do spokoju i prawdy, owej wielkiej ożywiającej nas potęgi, im przeżywamy rzeczy normalniejsze, bardziej powszechne, jednostajne, oraz im lepiej poznajemy i uczymy się kochać głębie i radości życia, w tej właśnie powszechności zawarte. Nic zwyczajniejszego nad ocean na przykład, pokrywający dwie trzecie ziemi, a przecież nic nadeń nie jest rozleglejsze ni głębsze. Każda myśl ludzka, uczucie, czyn piękny czy wielki może się przejawić w najprostszym, najnormalniejszym życiu, to zaś, co się w niem nie mieści, to złuda wywołana lenistwem, głupotą, lub pychą.

XC.

Czyż znaczy to, że mędrzec winien nie oczekiwać od życia niczego więcej, niż każdy inny człowiek, że ma ukochać przeciętność, poprzestawać na małym, ograniczać swe pragnienia i zacieśniać swe szczęście z obawy pozyskania szczęścia? Przeciwnie, mądrość, nadto skłonna do rezygnacji z którejś nadziei człowieczej, jest chorobita i kulawa. Człowiek posiada dużo słusznych pragnień, które nie troszczą się o uznanie ze strony zbyt surowego rozumu. Ale nie trzeba uważać się za nieszczęśliwego, nie zdumiewając otoczenia rodzajem swego szczęścia. Im się jest mędrszym, tem łatwiej przychodzi nabrać przekonania, że się posiada szczęście. Trzeba wiedzieć, że najprostsze chwile szczęścia ludzkiego są najbardziej godne zazdrości. Mędrzec ożywia ciszę życia i kocha ją. Tylko ta cisza zawsze wiernie daje radość, a żadne szczęście nadzwyczajne nie ma odwagi towarzyszyć nam aż do grobu.

Ważną jest rzeczą przyjmować w objęcia

równie bratersko, jak każdy inny, dzień, który przybywa i odchodzi bez niezwykłego gestu radości czy rozpacz. Przebiegł, zdążając do nas. tęsamą przestrzeń wszechświata, co dzień, który nas zastaje na tronie lub w łożu wielkiej miłości. Niesie nam może pod płaszczem chwile mniej jaszkrawe, ale zato pełne pokornego przywiązania. W tygodniu płynącym cicho jest tyleż minut wieczności, co w tygodniu przelatującym z wielkim wrzaskiem. Zresztą to, co nam mówi godzina, sami mówimy. Jest to podróżniczka lękliwa i trwożna, smutna, lub wesoła, zależnie od uśmiechu lub posępnej miny gospodarza, który ją podejmuje. Nie ona to winna nieść szczęście, ale myśmy winni uszczęśliwiać godzinę, która szuka schrony w duszy naszej. Ten jest mędrcom, kto umie ją powitać na progu ukojnym słowem. Należy gromadzić w sobie najprostsze motywy szczęścia, dlatego też nie zaniedbujmy ni jednej sposobności, kiedy możemy być szczęśliwymi. Starajmy się naprzód odczuwać szczęście przez ludzi, a potem, poznawszy przyczyny, bądźmy szczęśliwi przez samych siebie. Rzecz ma się tak jak z miłością. Ten, kto kochał głęboko, wie, w jaki sposób należy kochać, gdy się już nawet nie kocha. Dobrze jest być czasem szczęśliwym w sposób widoczny, by się nauczyć szczęścia nie-

widzialnego. Podobnie też, słuchając doniosłego głosu godzin szalonych, nauczymy się rozumieć godziny mówiące cicho. Jest ich mnóstwo, są niewyczerpane, nie zdradzą i nie zabraknie ich, a mędrzec na nie jeno liczyć powinien. Być szczęśliwym, to znaczy nabrać wprawy w dostrzeganiu skrytego uśmiechu i tajemniczej przyozdoby godzin nieobliczalnych i bezimiennych, a urok tych chwil tkwi w nas samych jedynie.

XCI.

Nic bardziej nie sprzeciwiałoby się mądrości, o której mówimy, niż jakaś niska roztropność, i lepiej już ścigać bezpożytecznie jakiegokolwiek szczęście, niżli drzemać u kominka, czekając na szczęście idealne, które nigdy nie nadejdzie. Na dachu człowieka, który nie wychodzi z domu, siedzą te jeno radości, których nikt nie chciał. To też nie zwiemy mędrcom tego, kto naprzykład w zakresie uczucia nie wychodzi daleko poza granice, zakreślone rozumem, lub wskazane poradą doświadczenia. Nie nazywamy także mędrcom przyjaciela, który nie zwierza się przyjacielowi, bowiem przewiduje koniec przyjaźni, lub kochanka, obawiającego się zatonać w miłości.

Trzeba sobie powiedzieć, że dwadzieścia nawet przygód o nieszczęśliwym przebiegu nie zabierze nam nic poza znikomą częścią energii szczęścia, a zgodzić się możemy na to, iż cała mądrość jest to właściwie rodzaj oczyszczonej energii szczęścia. Być mądrym, znaczy przede-

wszystkiem nauczyć się szczęścia, coraz to mniej-
szą jednocześnie przywiązując wagę do kwestji,
czem jest szczęście samo w sobie. Człowiek winien
być jaknajdłużej możliwie najszczęśliwszym,
gdyż ci, którzy wkońcu wychodzą poza siebie
przez bramę szczęścia, są stokroć bardziej wolni,
niż wychodzący bramą smutku. Radość mędrca
rozświecła jednocześnie jego serce i całą duszę, zaś
smutek najczęściej tylko serce. Człowiek,
który nigdy nie był szczęśliwy, przypomina po-
dróżnika, który odbywał podróż zawsze nocą.

Pozatem, w szczęściu tkwi głębsza, szlachet-
niejsza, czystsza i rozleglejsza pokora, niż w nie-
szczęściu. Istnieje pokora, będąca cnotą paso-
rzytniczą, podobnie jak jałowa abnegacja, wsty-
dliwość, arbitralna czystość, ślepe wyrzeczenie
się, bezwzględna podległość, skłonność do pokuty
i wiele innych, które tak długo wodę żywą moral-
ności człowieczej przemieniały w staw martwy,
wokół którego krążą jeszcze wszystkie nasze
wspomnienia. Nie mam na myśli pokory nikczem-
nej, która jest bardzo często jeno wyrachowaniem,
lub trafniej jeszcze mówiąc, bojaźliwością pychy
i czemś w rodzaju pożyczki na lichwę, przyznanej
przez próżność chwili bieżącej próżności dnia na-
stępnego. Ale mędrzec sądzi, że dobrze uczyni,
jeśli się pomniejszy trochę w oczach własnych

i odmówi sobie potrosze należnych zasług, które ma, porównując się z innymi. Taka pokora, mimo swej szczerości, czyni o tyle uszczerbek lojalizmowi wewnętrznemu, który ponad wszystko zawsze cenić trzeba, o ile czyni miłszem samo życie. W każdym razie zdradza ona pewną tchórzliwość świadomości, a świadomość mędrca wolną być musi od wszelakiej wstydlivosti i onieśmienia.

Obok tej jednak zbyt osobistej pokory, istnieje inna jeszcze, ogólna, szczytna, silna, czerpiąca pokarm z wszystkiego, czem się żywi umysł nasz, dusza i serce. Pokora ta pokazuje nam dokładnie, co może osiągnąć człowiek i na co mieć nadzieję. Pokora ta pomniejsza nas poto, by zwiększyć wszystko co dostrzegamy, uczy nas ona, że znaczenie człowieka nie leży w tem, czem jest, ale w tem, co może pojąć i przyswoić sobie. Co prawda, cierpienie wprowadza nas także na teren tej pokory, ale coprędzej wiedzie nas zaraz do jakiejś bramy nadziei, gdzie spędzamy czas długi. Natomiast szczęście, nie mając nic innego do roboty, w ciągu kilku godzin przebiega z nami w milczeniu najnieodstępniejsze ścieżki. Mędrzec możliwie najszcześliwszy staje się tak mało wymagającym i pysznym, jak to tylko jest możliwe. Posiadłszy wkońcu wszystko, co posiąść wolno

człowiekowi, zaczyna rozumieć, że wartość tego co posiada tkwi w sposobie oznaczenia wartości tego, czego człowiek posiadać nie zdoła nigdy. Dlatego też tylko będąc długo szczęśliwymi nabywamy niezawisłego poglądu na świat. Nie trzeba być szczęśliwym dla samego posiadania szczęścia, ale poto, by móc dostrzec wyraźnie to, coby ukryło przed naszymi oczyma daremne i bierne wyczekiwanie tegoż szczęścia.

XCII.

Dajmy jednak pokój temu tematowi i wróćmy do sprawy, omawianej przed chwilą. Niemasz bezużytecznych oszczędności w królestwie naszego serca, które dla wszystkich niemal ludzi jest terenem zbioru samejże substancji życia. Lepiej tu nie robić nic, niż pracować połowicznie, a ten, kto nie śmie zaryzykować, traci napewne wszystko. Namiętność zabiera nam to jeno, cośmy jej samej rzekomo wyrwali i tracimy zawsze tę część, o którą chcieliśmy się powiększyć. Istnieją jednak w duszy schowki tak głęboko ukryte, że jeno jedna miłość ośmiela się zstąpić po tych schodach i ona to wynosi klejnoty niespodziewane, których blask dostrzegamy jeno w krótkim momencie oddawania ich w ręce osób ukochanych. Moznaby powiedzieć, że ręce nasze rozwierające się, by dawać, promieniają szczególne jaśnienie, przenikające ciała, które opierają się tajemniczo odległym niedawno promieniom.

XCIIL.

Pocóż martwić się długo błędami i stratami swemi? Cokolwiekby się stało, zawsze znajdziemy czas na uśmiech dla człowieka prawego, gdy wejdzie w siebie, w ostatniej minucie najsmutniejszej godziny, po tygodniu, czy też roku. Przyucza on się zwolna żałować bez łez. Jest on jak ojciec, wracający wieczorem po pracy. Może się zdarzyć, że dzieci płaczą, bawią się w sposób niszczycielski lub niebezpieczny, może poprzewracały meble, rozbiły szklankę, przewróciły lampę... Czyż zacznie z tego powodu rozpaczać? Oczywiście dzieci lepiejby uczyniły z punktu widzenia moralności teoretycznej, gdyby były grzeczne, uczyły się czytać lub pisać, któryż atoli ojciec, czyniąc im żywe wymówki, nie odwróci głowy i nie roześmieje się? Nie smuca go wcale te szaleńcze potrosze przejawy życia. Wszystko w porządku, jak długo może wrócić i jak długo ma przy sobie klucz opiekuńczego mieszkania. Dobrodziejstwo tego wejścia w siebie polega nietylko na zbadaniu, czego doko-

nały, lub co przedsięwzięły podczas nieobecności
nasz umysł, dusza i serce, ile w samejże możności
tego powrotu. To też, gdyby nawet godziny te
minęły, nie zostawiwszy nam nic, pokoje były
puste jak w chwili odejścia, a ci którzy mieli pra-
cować nie poruszyli ręką, to jednak samo tętnienie
kroków wracającego gospodarza w każdym razie
mówi nam o oczekiwaniu i wierności mieszkania.

XCIV.

Dni przeciętne zdarzają się jeno w nas samych, ale znajdzie się i w dniu najprzeciętniejszym dość pola dla przeznaczenia, któremu łatwiej działać w nas, niżli na przestrzeni całej Europy. Terenem przeznaczenia nie jest żadne królestwo, lecz dusza, a prawdziwe nasze przeznaczenie tkwi w koncepcji życia, oraz w równowadze stałej nierozwiązalnych kwestyj niebiańskich i niepewnych odpowiedzi duszy naszej. Pytania stają się coraz to ogólniejsze i nabierają cech spokoju, wszystko zaś, co przeżywa mędrzec, przyczynia się do tego właśnie.

Nie mówmyż o przeznaczeniu, jeśli jakieś wydarzenie cieszy nas lub smuci, gdyż nie zmienia ono w niczem naszego sposobu pojmowania wszechświata. Po przeminięciu miłości, sławy, oraz wszystkich przygód i namiętności ludzkich zostaje nam jeno coraz to głębsze odczucie nieskończoności, a jeśli to zatracimy, nie pozostanie nam już nic. Mam na myśli odczucie, nie zaś jeno sam zespół myśli, gdyż myśli są tu jeno czemś, jak niezliczone

schody, wiodące zwolna ku temu właśnie odczuciu. W szczęściu samem nie tkwi szczęśliwość, o ile nie pomaga nam ono myśleć o czemś innym, o ile nam nie ułatwia zrozumienia owej tajemnej radości bytowania, jaka wszechświat przepaja.

Na pewnej wyżynie każde wydarzenie musi uspokajać mędrca, gdyż choćby zrazu osmucało ludzi, przysporzy wkońcu wagi owemu wielkiemu odczuwaniu życia. Nader trudno jest pozbawić zadowolenia tego, kto się nauczył przeistaczać wszystko w temat bezinteresownego zaciekawienia. Trudno mu to zabrać, gdyż sama myśl, iż może się obejść bez tego zadowolenia, rodzi ideę wyższą, otaczającą go swem opiekuńczem lśnieniem. Piękne to przeznaczenie, gdzie każda szczęśna czy nieszczęśna przygoda pobudza do rozważań, do rozszerzenia tej sfery, w której porusza się dusza nasza i coraz to większego, spokojnego przywiązania do życia. Dlatego to możemy sobie powiedzieć, że przeznaczenie nasze tkwi dużo realniej w sposobie patrzenia wieczór na niebo pokryte obojętnymi gwiazdami, ludzi otaczających nas, kobietę, która nas kocha i tysiące żyjących w nas myśli, niżli w samym wydarzeniu, które nam wydziera miłość, sposobi triumf, lub na tron wynosi.

XCIV.

XCIV.

Ktoś rzekł pewnego dnia kobiecie, będącej w jego oczach najcudniejszą i obdarzoną wszystkim, łącznie z młodością i pięknem fizycznym: — Cóż pani uczyni? Któż godzien będzie miłości pani? Nie widzę wyjścia, niema chyba przeznaczenia, stojącego na wyżynie takiej duszy? — Nic nie wiedział o sprawie. Nie przeznaczenie bywa szczytne, ale dusza właśnie. Miał pewnie na myśli, obyczajem ludzi, tron, triumfy i mnóstwo przedziwnych przygód. Ale człowiek tak myślący nie wie zgoła, czem jest przeznaczenie. Przytem, czemuż mamy gardzić dniem bieżącym? Gardzić nim, to znaczy nie rozumieć dnia wczorajszego. To znaczy również uznać się za obcego, a czegoż może dokazać na tym świecie obcy przechodzień? Dzień dzisiejszy nastął po wczorajszym, którego już niema, my jednak żyjemy dalej. Dzień bieżący, jakikolwiekby był, wie więcej, niżli wczorajszy wiedział i przez to jest rozleglejszy i bardziej piękny.

Czy sądzicie, że kobieta o której wspominaam,

miałaby życie piękniejsze w Wenecji, Florencji, czy Rzymie? Brałaby udział w świetnych uroczystościach i piękno jej miałoby tło w krajobrazie doskonałym. Widziałaby w swem otoczeniu książąt, królów i wybrańców społeczeństwa u nóg swych. Jeden jej uśmiech przysporzyłby może szczęścia wielkiemu narodowi, ukształtował i wyszlachetnił myśl całej epoki. Dziś, całe jej życie upłynie pośród czterech czy pięciu dusz, znających jej duszę i kochających ją. Być może, nie wyjdzie poza próg domu i życie jej oraz myśli nie pozostawią u ludzi żadnego wyraźnego śladu. Piękność, jej potęga i energja moralna pozostanie może ukrytą w niej samej i sercu kilku ludzi bliskich. A może też znajdzie jej dusza wyjście. Za czasów naszych wielkie bramy wiodące życie użyteczne i pamiętne, nie obracają się już na zawiasach tak skrzypliwych i hałaśliwych jak dawniej. Są nie tak może monumentalne, ale już ich znacznie więcej, a wychodzi się niemi na ścieżki cichsze, bo dalej wiodące.

Przypuśćmy nawet, że wszystko pozostanie w cieniu, to czyż gorszym będzie jej los przez to, że na próg jej domu nie padnie żaden promień światła? Wszakże los może być piękny i pełny sam przez się. Czyż dusza naprawdę silna, spozierając za siebie, poprzestanie na triumfach swych, jeśli

nie dały jej one poznania życia, wzmożenia szlachetnej prostoty ludzkiego istnienia, głębszego ukochania, milczenia i medytacji, która w kilku godzinach pozwala zebrać plon dojrzały w żarze namiętności, sławy, miłości i zapału? Cóż jej zostanie z tych uciech świata, czynów bohaterskich, miłosiernych lub harmonijnych, poza kilku myślami, wspomnieniami, poza rozwojem świadomości? Słowem, wszystko to wyda jeno odczucie sytuacji tej człowieka na ziemi, ukojne, rozległe, bo obejmujące mnóstwo rzeczy. Gdy w godzinie odpoczynku opadną jaskrawe szaty miłości, potęgi czy sławy... a godzina taka nadchodzi każdego wieczoru i zawsze, gdy jesteśmy sami..., cóż zabieramy do pustelni naszej, gdzie szczęście całego życia waży się wagą myśli, nabytej wiary i świadomości? Wszakże istotne przeznaczenie nasze nie tkwi w tem, co nas otacza, ale co mieszka w duszy naszej. — Choćby potężnem było — powiada pewien myśliciel — promieniowanie sławy, czy władzy danego człowieka, dusza jego oceni wkrótce wartość uczuć, jakie dają czyny zewnętrzne i spostrzeże swą istotną nicność, nie znajdując nic nowego, większego, nic odmienionego w swych uzdolnieniach fizycznych. Królowie nawet, władcy ziemi, skazani są, jak reszta ludzi, żyć w małym kole i podlegać tym samym prawom,

a szczęście ich zawisło od wrażeń osobistych, jakich doznają.

Dodajmy jeszcze, że także zawisło ono od wspomnień tych wrażeń. Dusze, o których tu mowa, zatrzymują z wszystkich przygód życia te jeno w pamięci, które je uczyniły nieco większemi i lepszemi. Czyż jest więc niemożliwem znaleźć gdziekolwiekbądź, w jakimkolwiek milczeniu, istotną treść na dnie każdej, najszlachetniejszej nawet działalności zewnętrznej skrytą? A ponieważ posiadamy coś tylko wówczas, gdy nam towarzyszy w ciemku i milczeniu, czyż będzie to wspomnienie mniej wiernem owemu milczeniu i ciemni, dlatego, że tam się zrodziło?

Nie posuwajmyż się jednak dalej na tej drodze, któraby zawieść mogła do mądrości zbyt teoretycznej. Piękne przeznaczenie zewnętrzne nie jest niezbędne, dobrze jest jednak spodziewać się go i czynić wszystko co trzeba, by je pozyskać, jakbyśmy doń przywiązywali wielkie znaczenie. Ważnym obowiązkiem mędrca jest pukanie do wszystkich świątyń, mieszkań sławy i aktywności, szczęścia i miłości. Jeśli po długim wysiłku i oczekiwaniu nic się nie otworzy, w samym tym wysiłku i czekaniu mędrzec znajdzie może równowagę poszukiwanej jasności i wrażeń. — Działać — powiada Barres — znaczy to przyswajać zmy-

słom swoim duże tereny doświadczalne. Działać, znaczy to myśleć szybciej i wydatniej, niż potrafi to czynić myśl, to znaczy myśleć nie samym mózgiem, ale całą istotą, to znaczy zamknąć dla marzeń, a rozewrzeć w rzeczywistości najgłębsze źródła myśli. Ale działać nie znaczy to jeszcze triumfować. Znaczy to również próbować, czekać i ćwiczyć się w cierpliwości. Działać, znaczy to również często tyle co słuchać, skupiać się i milczeć.

Kobieta, o której mówiliśmy, znalazłaby w Atenach, Florencji, czy Rzymie pewne motywy egzaltacji, oraz sposobność do zabłyśnięcia pięknnością i bohaterstwem, jakich brak dzisiaj. Miałaby także wysiłek i wspomnienie tych czynów. Byłyby to potęgi żywe i cenne, gdyż wysiłek czynu i wspomnień po nim przeistaczają nas zazwyczaj dużo skuteczniej, niż najszczytniejsza myśl, pod względem moralnym i intelektualnym często warta tysięcy takich wysiłków i wspomnień. Tak, tego tylko należałoby zazdrościć przeznaczeniu burzliwemu i świetnemu, tego jeno, że rozwija i budzi pewną liczbę uczuć i form energii, któreby nigdy nie powstały ze snu i nie wyszły poza krąg nazbyt spokojnego bytowania. Ale sama świadomość czy przypuszczenie, że uczucia te czy kształty energii śnią w nas, to już pierwszy krok do zbudzenia ich,

do wydobycia na jaw jak najlepszej ich części, to już pierwsze spojrzenie na los swój zewnętrzny z wyżyn, na które wydostanie się przy końcu życia, to zbiórka naprzód uczyniona nowego plonu, który dojrzeje do żniw aż po wielu burzach.

XCVI.

Wczoraj wieczór czytałem ponownie Saint Simona. Wydało mi się, że dostrzegam z wysokiej wieży, na wielkiej równi, liczne przeznaczenia człowiecze i zrozumiałem, co ludzie nazywają instynktownie pięknem przeznaczeniem. Saint Simon sam może nie wie, co kocha i podziwia w bohaterach swych, których traktuje z czcią pełną nieświadomej rezygnacji. Zmarło tysiąc cnót, które wielbił, a rozliczne zalety, jakimi wyposażał tych swoich wielkich ludzi, są dziś małe w oczach naszych. Ale chociaż nie zajmuje się specjalnie niektórymi z nich i w gruncie potępia ideę, jaka ich ożywiła, jest tam cztery czy pięć postaci poważnych, dobrotliwych i zachwycających wprost, rzec można, bezwiednie przez autora, wprowadzonych w tłum barwny, otaczający wielkiego króla. Takim jest Fenelon, księżęta de Chevreuse i Beauvilliers oraz Delfin. Nie mają oni więcej od innych szczęścia, nie odnoszą ostatecznego zwycięstwa, czy sukcesu głośniego. Żyją, jak reszta, wśród nie-

pokoju i oczekiwania, co sędzę dlatego zwać szczęście iem, że czekają. Fenelon ściąga na siebie niełaszkę Ludwika XIV, człowieka umysłu przeciętnego, ale wykształconego i przenikliwego, który był dumny, pochmurny, uroczysty, wielki w drobiazgach, a mały w sprawach wielkich. Zostaje skazany, doznaje prześladowań i idzie na wygnanie. Księżęta de Chevreuse i Beauvilliers żyją na dworze, mimo wybitnych stanowisk, jakby dobrowolnie w pustelni, z wielką bacnością pilnując się ciągle. Delfin również nie posiada łask króla. Ciągłe toczy boje z potężną a zawistną intrygą, której udaje się zniweczyć jego młodą sławę wojenną. Żyje w niełasce, wśród zasadzek i nieszczęść, zda się, bez nadziejnych na tym pełnym pychy i służalstwa dworze, gdzie niełaska i nieszczęście przybierają rozmiary, jakie im nadają obyczaje epoki. Umiera wkońcu, w parę dni po żonie, którą kochał wyłącznie i szalenie. Został, być może, jak ona otruty, bo pada niby od pioruna tejże samej godziny, kiedy pierwsze promienie łaski niespodziewanej już położyły schody jego pałacu.

Osoby te doznają smutku, rozczarowań, popelniają błędy, a jednak mała ta grupka czterech cichych osób, pośród krzykliwej, zmiennej i kapryśnej metody życia innych, wydaje się pod względem losu swego piękną i zazdrości godną. Wspólna

światłość oblewa wszystkie ich przeciwności. Tryska ona z Fenelona. Jest on wierny szczytnym myślom, zdolny do podziwu świętości, sprawiedliwości, dobroci i miłości, a trzech inni są wierni swemu mistrzowi i przyjacielowi.

Mniejsza, że nie podzielamy już idei mistycznych Fenelona. Mniejsza, że wszystkie nasze idee najgłębsze i najlepsze, na których opieramy szczęście moralne i wszystkie pewniki życia, zapadną się poza nami i wywołają uśmiech politowania u ludzi, którzy kiedyś wynajdą myśli, ich zdaniem bardziej jeszcze ludzkie i ostateczne. Nie myśli, ale uczucie, jakie w nas budzą, uszlachetniają i oświecają życie nasze. Myśl jest może celem końcowym, ale dzieje się tu, jak w każdej podróży. Na pierwszy plan zainteresowania występują przeprawy, etapy, to co napotykaemy i przeżywamy w drodze. I tutaj więc, jak wszędzie, idzie o szczerłość uczucia ludzkiego. Nigdy nie wiemy, czy myśl nas nie ludzi, ale miłość, jaką ku niej mieliśmy, spadnie na nas, a nie przepadnie w ciemni błędu ni jedna kropla jej światłości. Istota idealna, którą usiłujemy wytworzyć w sobie, żyje nietyle zespołem myśli wykreślających jej sylwetę, ile czystą miłością, lojalnością i bezinteresownością, jakimi to uczuciami otaczamy te myśli. Sposób kochania prawdy własnej ma większe znaczenie

od samejże prawdy. Miłość czyni lepszym skuteczniej od myśli. Kochać mocno wielki błąd, więcej częstokroć jest warte nad służbę małostkową wielkiej prawdzie.

Ta namiętność i ta miłość może się zresztą znaleźć równie dobrze w zwątpieniu, jak we wierze. Istnieją wątpliwości równie żarliwe i szlachetne, jak najpiękniejsze przekonania. Myśl bardzo piękna, czysta, lub głęboko chwiejna, ma dla nas tę największą wartość, że nas uczy kochać coś bez zastrzeżeń. Czy się oddajemy człowiekowi, Bogu, ojczyźnie, wszechświatowi, czy błędowi, metal szlachetny, jaki zostanie kiedyś odkryty w popiołach tej miłości, nie będzie wytworem przedmiotu ukochania, ale samejże tylko miłości. Ślady niezatarte pozostawia jeno prostota, zapal i wytrwałość szczerego przywiązania. Wszystko przemija, zmienia się i ginie może nawet, prócz promienienia owej głębi, tego wytrwania i tej płodności naszego serca.

XCVII.

Niczyja dusza nie była spokojniejszą niż tego człowieka! — powiada Saint Simon o jednym z nich, żyjącym pośród intryg, zawiści i zasadzek. U drugiego podkreśla „mądrą spokojność,” która to cecha jest wspólną zaletą całej „małej grupy.” Jest to w istocie grupa wiernych, trwających przy najszczytniejszej myśli, przyjaźni, uczciwości, szacunku dla samych siebie i wewnętrznem zadowoleniu, które to cnoty promieniują światło proste i spokojne w środowisku pychy, ambicji, kłamstwa i zdrady Wersalu.

Nie są to święci w powszedniem słowa znaczeniu. Nie wycofali się w pustynię, czy lasy i nie szukali samolubnie schrony w ciasnych zaułkach. Są to mędracy, którzy nie porzucili życia i mieszkają w kręgu rzeczywistości. Nie sądźmyż, że te cnoty są ich zbawieniem i że tylko w Bogu dusze ich spoczywają. Nie dość kochać Boga i służyć mu jak można najlepiej, by dusza wzmocniła się znalazła spokój. Do miłości Boga dopro-

wadza tylko inteligencja i uczucia nabyte i rozwinięte pośród ludzi. Mimo wszystko, dusza człowieka jest do głębi ludzką. Można ją nauczyć kochania różnych rzeczy niewidzialnych, ale cnota czy uczucie, w pełni i najprościej ludzkie, żywić ją będzie dużo wydatniej od namiętności i cnoty najbardziej nawet boskiej. Napotykać duszę naprawdę spokojną i zdrową możemy być pewni, że zawdzięcza to cnotom czysto ludzkim. Gdybyśmy mogli czytać w tajemnicach serc, których już niema, przekonalibyśmy się może, że źródłem pokoju Fenelona, z którego podczas wygnania czerpał co wieczór, była raczej wierność nieszczęśliwej pani Guyon i miłość dla Delfina zapoznanego i prześladowanego, niżli nadzieja pośmiertnej nagrody, to znaczy raczej świadomość serdeczna i ludzka, po ludzku uczciwa i po ludzku nieskazitelna, niż nadzieje chrześcijanina.

XCVIII.

Przedziwna była ta pewność owej „małej grupy.“ Cnota ich nie roznieca błyszczących ogni po górach, a cały płomień żywie jeno w duszy i sercu. Niema też bohaterstwa poza heroizmem zaufania, szczerości i miłości, która pamięta i czeka cierpliwie. Istnieją ludzie, których cnota wychodzi czasem z głośnem otwieraniem i zamykaniem drzwi. U innych jest ona służebną cichą, co nie opuszcza domu, a ci, którzy przybywają z zewnątrz przemarzli, zastają ją zawsze pracowitą i baczną u ogniska.

Życie piękne domaga się może nie tylu godzin bohaterstwa, co tygodni poważnych, jednostajnych i czystych. Cenniejszą jest może dusza prawa i bezwzględnie sprawiedliwa, niż czuła i skłonna do poświęceń. Jeśli nie daje tyle upojenia, zapału i niezwykłych przygód życia, można jej zato zaufać tem pewniej w okolicznościach zwyczajnych, a któż z nas, mówiąc szczerze, nie spędza całego niemal życia w takich właśnie powszednich oko-

licznościach, choćby jego losy były burzliwe, dziwne i sławy pełne? Któreż to chwile, jeśli się zastanowić dobrze i jeśli jesteśmy w to wmieszani, decydują stanowczo o wydarzeniach najwybitniejszych? Czyż nie dziwi nas, że w wielkiej zamieci godzin najszczytniejszą i normującą wszystkie przyzwyczajenia i refleksje jest godzina spokoju? Musimy ciągle wracać do życia normalnego, gdzie jest grunt twardy i skała pierwotna. Nie wrywamy się codziennie z objęć śmierci, z toni hańby czy rozpacz, jest atoli niezbędnem móc sobie powiedzieć, o każdej godzinie smutnej, każdego dnia, że istnieje gdzieś dusza bliska mojej duszy, cicha, wierna, wrażliwa tylko na prawdę, niezmienna i niezłomna.

Doskonała to rzecz, zaiste, zdobyć się czasem na czyn bohaterski, lub niezmiernie wspaniałomyślny, ale godniejszym jest pochwały i wymaga siły wytrwalszej nie ulec nigdy myśli niskiej i wieść życie nie tak może dumne, ale równiejsze i pewniejsze. Włączmyż czasem do rozmyślań naszych pragnienie udoskonalenia moralnego w zakresie życia codziennego, a przekonamy się, że łatwiej czasem dokonać czegoś bardzo dobrego, niż uchronić się codziennie najdrobniejszego zła. łatwiej wywołać czasem uśmiech, niż nigdy nie wyciskać łez.

XCIX.

Mieli jedni w drugich, mieli w samych sobie przedewszystkiem swą schronę, swą „skałę pierwotną,” jak powiada Saint Simon, a część niewzruszoną tej skały stanowiło dokładnie to, co było nieskazitelne w ich sercach.

Mnóstwo rzeczy składa się na tę skałę, ale jej płyta centralna to zawsze to, co jest nieskazitelne w nas samych. Przyznać trzeba, że to upodobanie do nieskazitelności bywa często dość prostackie, a byle jaki zbrodniarz wchodzi wieczorem na kupę nędznych gruzów, którą uważa za nieskazitelną. Mam tu jednak na myśli cnotę nieco wyższą, niż ściśle konieczną, a istota najpowszedniejsza nawet wie dobrze, czem jest cnota niepowszednia. Piękno moralne, najbardziej niespodziane, ma tę cechę, że człowiek zgoła nawet ograniczony nie może go nie zrozumieć, a najszczytniejszy czyn jest najzrozumialszym dla wszystkich. Nie jest może koniecznem dosięgać tego, co mamy podziwiać, ale nie wolno nigdy zasypiać w głębinach tego, co potępiamy bez zastrzeżeń.

Wróćmyż atoli do schroniska naszych mędr-
ców. Mnóstwo szczęścia i nieszczęścia w życiu
zawisło od przypadku, nigdy atoli spokój wne-
trzny. Są, jak wiadomo, dusze budowniczk i du-
sze lubiące ruiny, są też dusze błądzące ustawicz-
nie z przytułku do przytułku, pod cudzym dachem.
Jeśli atoli trudną jest sprawą przeistoczyć in-
stynkt duszy, to niechże przynajmniej dusze nie-
zdolne budować wiedzą, z jaką radością tamte
kładą kamień na kamieniu. Myśli, przywiązanie,
miłość, przekonania, rozczarowanie, zwątpienie
nawet, wszystko im służy do tego celu, a jeśli
burza zwali budynek, to ze złomków rozpoczy-
niają opodal stawiać budynek skromniejszy może,
lecz lepiej przystosowany do wymagań życia.

Jakiż smutek, żal, czy rozczarowanie może za-
chwiać domem tego, który nie odrzucił, biorąc
kamienie na budowę, tej mądrości, jaka zawarta
jest w smutku, żalu i rozczarowaniach? Przy-
tem powiedzieć możemy, używając innego obrazu,
że życie wewnętrzne posiada korzenie, podobnie jak
wielkie drzewo. Najczęściej burza szarpie dęby,
które dlatego właśnie zapuszczają w ziemię naj-
silniejsze i najlepiej odżywiające korzenie, a los
wstrząsający nami niesprawiedliwie wie tyle o tem,
co przeżywa dusza, ile wiatr, nie mający wy-
obrażenia o tem, co się dzieje pod ziemią.

C.

Ciekawą jest rzeczą pochwycić tu na uczynku ową potęgę przyciągania, jaką posiada każde prawdziwe szczęście. Przechodzi oto któryś z członków owej „małej grupy“ przez ciżbę uszczęśliwionych, triumfujących, pełną intryg, gnącą się w ukłonach, uprawiającą miłostki, odnoszącą drobne zwycięstwka, zapelniającą marmurowe schody i wspaniałe apartamenty Wersalu. Natychmiast zapada cisza w chaotycznym opowiadaniu Saint Simona. Nie potrzebuje on wcale podkreślać tego, a czytelnik spostrzega zaraz, że w tej chwili następuje zestawienie nikłych próżnostek, zadowolenia głośnego lecz znikomego i kłamstw, mówiących hałaśliwie, ale drżących w mroku, z dostojnością normalnem duszy spokojnej i silnej. Następuje tu coś takiego, jak w czeredzie napastliwych dzieci, które wrywają i niszczą kwiaty, umawiają się o kradzież owoców, lub dręczą złośliwie bezbronne zwierzę, w chwili, kiedy nadchodzi ksiądz, czy jakiś starzec, któremu zresztą nie w głowie nawet

gniewać się za to. Zabawa ustaje nagle, przerażone sumienie budzi się, a zawstydzone oczy bezwiednie spozierają ku obowiązкови, rzeczywistości i prawdzie.

Ludzie dorośli, podobnie jak dzieci, nie spoglądają nigdy długo za odchodzącym starcem, księdzem, czy też refleksją. Mimo wszystko jednak, widzieli. Dusza powiada, choć bez oczu zamykających się lub odwracających zbyt ochotnie, jest szlachetniejsza, niż to miłym bywa dla spokoju większości ludzi i dostrzega z łatwością to, co jest wyższe nad bezwartościowy moment, którym ją chcemy zająć. Daremne są szept, towarzyszące przejściu mędrca, pozostawił on, sam o tem nie wiedząc, brózdę poprzez rozlóg błędu i pychy, która nie zatrze się prędko. Zakwieci się ona w godzinie niespodzianych łez. Dusza czystsza bodaj trochę i żywsza od innych, w opowiadaniu Saint Simona płacze najczęściej w pobliżu jednego z tych, którzy tak przechodzą w milczeniu, budząc nieco niepokoju i niemal wrogiego zdziwienia, jakie towarzyszy w świecie życiu nieskazitelnemu.

Za dni szczęśliwych nie pytamy o szczęście, gdy jednak nadejdzie cierpienie, z łatwością przypominamy sobie miejsce, gdzie skryty jest pokój, niezawisły od promienia słońca, odrzuconego po-

całunku, czy niełaski króla. Nie udajemy się wówczas do tych, którzy byli szczęśliwi na nasz sposób, bo wiemy, w co obraca się szczęście takie, gdy jeno przypadek uczyni najmniejszy gest zniecierpliwienia. Jeśli chcemy dowiedzieć się, gdzie tkwi szczęśliwość najpewniejsza, nie traćmyż z oczu kierunku, w którym szukają pociechy ludzie zrozpaczeni. Ból przypomina różdżkę czarodziejską, której dawniej używali poszukiwacze skarbów i wód podziemnych. Wskazuje ona wejście do przybytku najgłębszego spokoju. Jest to tak dalece prawdą, że moglibyśmy spytać, czy wolno nam dawać wiarę naszemu pokojowi, ukojeniu, zgodzie na prawa bytu i trwałość radości, mimo że instynkt nie skłania dotkniętych cierpieniem, by pukali do drzwi naszych i mimo, że zdają się nie dostrzegać, zaśnięci na progu, owego silnego, spokojnego płomienia lampy, która nigdy nie gaśnie.

Zaprawdę, ci jeno mogą się uważać za bezpiecznych, do których zdążają spragnieni łez, by się wyplakać. Istnieją w całym świecie ludzie, których uśmiech wewnętrzny dostrzegamy dopiero w chwili, kiedy oczy nasze, obmyte łzami, ukazały nam szczęście nie zrodzone w jakiejś pomyślnej go-dzinie, lub wywołane przez czyjąś życzliwość, ale wynikłe z szerokiego ujęcia życia. Zmysły nasze

i tu, jak i gdzieindziej, wyostrza pragnienie i konieczność. Głodna pszczoła znajdzie miód w najgłębszym ukryciu, a dusza, co płacze naprawdę, dostrzeże radość ukrytą w pustelni, pośród nieprzeniknionego milczenia.

CI.

Z chwilą, kiedy w jakiejś istocie powstaje ze snu świadomość, zaczyna się również jej przeznaczenie. Nie idzie tu o świadomość ubogą i bierną większości dusz, ale samopoczucie aktywne, które ujmuje każde wydarzenie w ten sposób, jak królowa, choćby była w więzieniu, umie przyjąć dar. Jeśli się nawet nie dzieje nic, możemy sobie wytworzyć wielkie wydarzenie, stwierdzając w pewien sposób brak wszelakiego zdarzenia. Niema jednak chyba człowieka, któryby nie przeżywał rzeczy więcej, niżli potrzeba, najzachłanniejszej i najbardziej niestrudzonej świadomości.

Mam właśnie przed sobą opis życia jednej z owych dusz potężnych i namiętnych, koło której, zda się, przeszły, nie obracając głowy, wszystkie wydarzenia, jakie stanowią o szczęściu i nieszczęściu człowieka. Była to kobieta, obdarzona genjuszem przedziwnym, a niezaprzeczoną, ży-

jąca w pierwszej połowie tego *) wieku, Emilja Bronté. Pozostawiła jedną jeno książkę pod tytułem *Wuthering Heights*, coby można oddać słowami: *Burzliwe szczyty*.

Emilja była córką angielskiego pastora Patricka Bronté, człowieka bez znaczenia, najzupełniej odrętwiąłego, pełnego pretensyj i samolubnego w najwyższym stopniu. Dwie sprawy jeno były mu ważne w życiu: czystość greckiego profilu twarzy i poprawne trawienie. Biedna matka Emilji żyła, zda się, wyłącznie podziwianiem tego greckiego profilu i pielęgnowaniem małżeńsko-żołądkowych funkcyj męża. Pocóż zresztą wspominać tu o niej, skoro zmarła w dwa lata po narodzeniu Emilji? Dodamy jednak coś, na dowód, że w życiu powszedniem kobieta jest zazwyczaj wyższą od mężczyzny. W kilka lat po śmierci tak bardzo podległej małżonki pyszałkowego i nieruchomego pastora, znaleziono paczkę listów, z których wynikło, że kobieta ta, zabijająca się pracą codzienną, doskonale oceniała obojętność, płytkość i samolubstwo męża. Coprawda, nie potrzeba być wolnym od jakiejś wady, by ją dostrzec w drugich, natomiast ten, kto widzi cnotę, musi, zda się, posiadać w sobie jej zarodek. Takich miała rodziców Emilja. Żyła wraz z czte-

*) Dziewiętnastego (przyp. tłumacza).

rema siostrami i bratem w ośpieniu i jedno-
stajności, pogrążona w ciemności i samotność nędznej,
jałowej wioszczyzny Hawarth, pośród pustkowi
Yorkshire'u.

Trudno o smutniejsze dzieciństwo i młodość,
o większy smutek i monotonię życia nad to życie,
jakie wiodła Emilja i cztery jej siostry. Pozba-
wioną była doszczętnie owych szczęsnych, a nie-
spodzianych przeżyć, które potem wyolbrzymione
i upiększone z biegiem lat, stanowią w głębi duszy
skarb niewyczerpany i dają radosne wspomnienia
życia. Z dnia na dzień ciągle było to samo, dzieci
wstawaly, zajmowały się gospodarstwem, lekcja-
mi, pracą ręczną pod nadzorem starej ciotki,
jadły, szły na przechadzkę, trzymając się za ręce
i zazwyczaj milcząc, kroczyły dziewczęta po-
ważnie po łące, pokrytej kwieciami lub śniegiem.
W mieszkaniu panował nastrój bezwzględnej obo-
jętności, ojciec, niewidzialny zazwyczaj, jadał
w swoim pokoju i schodził do wspólnej komnaty
dopiero w wieczór, by czytać głośno przygnębia-
jące rozprawy parlamentu angielskiego. Wokoło
panowała cmentarna cisza, milczenie wielkie za-
legało bezdrzewną przestrzeń, a po wzgórzach
hulały wiosną i zimą straszne wichry północne.

Przypadki życia, gdzież bowiem nie czynią one
wysiłków, wrywały trzy, czy cztery razy Emilję

z tej pustyni. Nauczyła się ona kochać ją i szanować, jak to bywa z ludźmi przywiązanymi długo do jednych miejsc. To też tutaj jeno wydało się jej przepięknem i tylko tu rzeczywiście wszystko, niebo, ziemia i rośliny. Po kilku tygodniach pobytu gdzieindziej popadała w przygnębienie, oczy jej traciły blask i któraś z sióstr musiała z nią copędzej wracać do samotnego domku pastora.

W roku 1843 wróciła tu, by pozostać aż do śmierci. Miała wówczas lat dwadzieścia pięć. Przed tym powrotem nie przeżyła ni jednej przygody, radości, ni nadziei miłosnej. Nie miała nawet wspomnienia jakiegoś nieszczęścia, czy rozczarowania, z czego istoty zbyt słabe, lub za mało żądające od życia tworzą sobie złudę, że cnotą jest owa bierna wierność, niszcząca je same, że bezczyn łzawy jest usprawiedliwieniem bezczynu i że wystarczy dobyć z cierpienia wszystek smutek i całą rezygnację, jaką zawiera.

Nie było w tej duszy bez przeszłości, w tych dziewiczych, gładkich ramach punktu, do którego można przyczepić wspomnienie, czy rezygnację. Przed tym ostatnim etapem i po nim, nie przeżyła nic, prócz smutnych doświadczeń przy łożu chorego, niemal szalonego brata, złamanego próżniactwem, oraz nieszczęsnym nalogiem pi-

jaństwa i używania opjum. Tuż przed skończeniem dwudziestu dziewięciu lat, pewnego grudniowego popołudnia, czesała długie czarne włosy swoje przy kominku w plebańskiej izdebce, wybielonej wapnem. Grzebień upadł w ogień, ona zaś nie miała sił wydobyć go i oto nadeszła śmierć, cichsza jeszcze niż życie, wyrywając ją bez wysiłku z objęć dwu siostr, jakie jej los pozostawił.

CII.

Niema dla ciebie na wielkiem łonie przeznaczenia znaku miłości, skry sławy, ani radosnej godziny! — woła w pięknym porywie smutku Marja Robinson, która nam opowiedziała dzieje tego życia. Zaprawdę, wydaje się, gdy patrzemy zdala, że niemożliwem jest życie bardziej ponure, bezbarwne, daremne i lodowate, niż życie Emilji Bronté.

Z innej jednak strony patrzeć należy na życie, by znaleźć w niem prawdę, ocenić, uznać i pokochać. Odwróciwszy na chwilę oczy od małej plebanji na pustym rozłogu, spojrzmy na naszą krainę, a zobaczymy coś zgoła odmiennego. Rzadko się wydarza, by można było tak podchwycić życie duszy w ciele, które nie przechodziło przygód, częściej atoli, niż przypuszczamy, dusza wie dzie żywot indywidualny, niemal niezawisły od wydarzeń tygodni i lat. W książce „*Wuthering Heights*,” będącej obrazem namiętności, pragnień, ziszczeń refleksyj, ideału tej duszy, słowem całą jej

historją mieści się tyle energii, namiętności, przygód, zapалу i miłości, że starczyłoby tego na rozplómiwienie i ukojenie potem dwudziestu istnień bohaterskich, dwudziestu przeznaczeń szczęśnych, lub nieszczęśliwych.

Żadna przygoda nie jawi się na progu jej mieszkania, ale każda, do jakiej miała prawo, rozgrywała się w jej sercu z siłą, pięknnością i precyzją i pełnią niezrównaną. Nie przydarza jej się nic z pozoru, wszystko atoli przeżywa bardziej osobiście i realniej niż inni, gdyż to co wokolo niej istnieje, co spostrzega i co słyzy, przeistacza w myśli i uczuciu w miłość pełną pobjażania, w podziw i uwielbienie życia.

Obojętne to, czy przygoda spadnie na dach nasz, czy też dach sąsiada. Woda płynąca z chmury jest własnością tego, kto ją schwyti, a piękno, zbawienny niepokój, szczęście, czy spokój, zawarte w geście przypadku, wchodzą w posiadanie człowieka, umiejącego zastanawiać się. Nie przeżyła nigdy miłości, ni razu nie słyzała przedziwnego stąpania kochanka po drodze, a jednak ta, która zmarła dziewicą w dwudziestym dziewiątym roku życia, wiedziała co znaczy miłość, pisała o niej, przeniknęła najnieprawdopodobniejsze tajemnice, tak że ci, którzy duzo kochali, załdają sobie czasem pytanie, jak nazwać ową namiętność,

przeczytawszy co pisze o wzlotach i tajnikach miłości, wobec czego wszystko wydaje się przypadkowe jeno i blade.

W sercu własnem. mogła tylko usłyszeć owe nie zrównane słowa kochanki, rozmawiającej z piastunką o tym, którego wszyscy wkoło prześladowają i nienawidzą, a którego ona jedna uwielbia. — Moje wielkie nieszczęścia życiowe były jego nieszczęściami. Przeżywałam je i odczuwałam od samego początku. Żyję, a myśl moja jest nim samym. Gdyby wszystko zginęło, on zaś został, trwałabym dalej, gdyby on zaś przestał żyć, wszechświat stałby mi się jakimś ogromem obcym, którego nie byłabym częścią składową. Miłość ma dla innych, o których mówisz, jest niby listowie lasu, czas ją zmieni, jak zima drzewa, ale miłość ku niemu, to skała wieczysta, podziemna. Nie wytryska z niej widzialna rozkosz, ale jest ona rzeczą niezbędną. Jestem nim samym. Trwa ustawicznie w myśli mojej, nie jako rozkosz, bo sama sobie nie jestem przecież zawsze rozkoszą. Nie kocham go dlatego, że mi się wydaje pięknym, ale dlatego, że jest więcej mną, niż ja sama sobą jestem, a dusze nasze, bez względu na to, z czego są uczynione, są jedną jedyną duszą...

Zewnętrzny realizm miłości traktuje z taką

niewinnością, że się uśmiechamy. Gdzież atoli poznała ową rzeczywistość wewnętrzną, która stanowi samą głębię namiętności, najbardziej nie logiczną, niespodziewaną, nieprawdopodobną, a wiecześnie prawdziwą? Wydaje się, że trzeba żyć przez trzydzieści lat w kajdanach najognistszych pocałunków, by wiedzieć to co ona, by się ośmielić na pokazanie z tak nieomylną pewnością, w upojeniu kochanków przeznaczonych dla siebie, najsprzecznieszych odruchów czułości, która pragnie zadać cierpienie i okrucieństwa, chcącego ich uszczęśliwić, ukoju domagającego się śmierci i niedoli, chwytającej się życia odrazy życia, pragnienia upojonego, miłości pełnej nienawiści, i nienawiści, uginającej się pod brzemieniem miłości...

CIII.

Wiemy jednak, że nie kochała nikogo i nikt jej nie kochał, gdyż nic niema skrytego w tem biednem życiu. Prawdą jest przeto, że ostatnie słowo życia jest tem, które los szepce tajemnie sercu naszemu. Prawdą jest tedy życie wewnętrzne, równie rzeczywiste, doświadczalne i ściśle, jak życie zewnątrz nas. Można tedy żyć, gdzie się jest, kochać, nienawidzić, nie mając kogoś do odepchnięcia, czy czekania. Dusza starczy za wszystko i ona jeno decyduje, na pewnym wyżu, o wszystkim. Okoliczności, to są rzeczy smutne lub jałowe dla tych jeno, których świadomość śni jeszcze.

To wszystko, czego szukamy na drogach miłości, szczęścia, piękności, czy przygód, mieściło się w duszy Emilji. Ni razu nie przyniósł jej dzień nowy owej radości, owego wrażenia, czy uśmiechu, które można widzieć, dotykać, a jednak życie jej było pełne, nic w niej nie spało, było wszystko jasne, ciche, a żwawe, pełne wiary, rozciekawienia, ruchliwe i przepajało jej serce nadzieją.

Nie sposób wątpić, że była szczęśliwą. Ukazuje nam ona ten sam w duszy plan niezniszczalny, jaki zebrali ludzie najlepsi, którzy byli na różny sposób, długo, żywo i doskonale szczęśliwi. Choć nie zaznała nawet tego, co się dzieje w miłości, cierpieniu, strachu, namiętności i radości, miała w duszy wszystko to, co zostaje z ludzkich wrażeń, gdy przeminą. Któż posiadał naprawdę coś, czy ślepiec mieszkający w czarodziejskim pałacu, czy ten, kto był tam raz tylko, ale miał oczy otwarte?

— Życ, nie żyć! — Nie łudźmy się temi słowami. Można doskonale istnieć, nie myśląc, ale nie sposób myśleć, nie żyjąc. Treść szczęśliwa lub nieszczęśliwa zdarzenia mieści się w idei, jaką zeń dobywamy, dla silnych w idei, jaką dobywają sami, dla słabych w tej, którą dobywają inni. Stać się może, że tysiące wydarzeń fizycznych napotkacie w swej wędrówce do grobu, a żadne nie będzie miało tyle sily, by się przeistoczyć w fakt moralny. Wówczas dopiero winien sobie powiedzieć człowiek: — Zdaje mi się, że wcale nie żyłem!

CIV.

Mozemy stwierdzić, że wewnętrzne szczęście naszej heroiny, podobnie jak wszystkich ludzi, wyobrażone jest ściśle przez jej moralność i ujęcie wszechświata. Oto polana, którą wymierzać należałoby zawsze pod koniec czyjegoś życia, wśród lasu przypadkowości, a to w celu oznaczeniu rozmiaru czyjegoś szczęścia. Któżby mógł jeszcze wylewać znikome łzy rozczarowania, niepokoju i trosk codziennych, które są bolesne dlatego, że miast odświeżać, psują jeno oczy? Któż mógłby je ronić, stojąc na wyżu świadomości i ukojenia, na który wzniosła się Emilja Bronté?

Łatwo zrozumieć, że płakała jak większość kobiet, biegających przez całe życie od jednej rozbitej radości do drugiej, również stłuczonej. Strata radości przygnębia wówczas jeno, jeśli się z tą stratą chodzi jak drwal, nie składający nigdy brzemienia suchych gałęzi. Suchych gałęzi nie należy nosić bezustannie na plecach, ale podpalić je trzeba i przeistoczyć w jasny płomień. Na

widok płomieni, bijących w duszy Emilji. zapominamy, na równi z nią, o smutnych, suchych gałęziach. Niema nieszczęścia bez granic, ni trosk nieuleczalnych dla tego, kto cierpiąc i martwiąc się jak inni, umie uczynić wielki gest właściwy naturze i jedynie realny. — Mędrzec nigdy nie cierpi, gdyż panuje nad życiem swoim — pisała pewna, przedziwna kobieta, która dużo wycierpiała. — Patrzy na nie z lotu ptaka, a jeśli nawet cierpi dziś, to dlatego, że skierował oczy na niedokończoną część duszy swojej.

Emilja odczuwa wyraźnie obok miłości, dobroci, uczciwości, także złość, nienawiść, uprzążwą chęć zemsty, przenikliwą zdradliwość i nie ma nawet potrzeby przebaczać, gdyż przebaczać znaczy to rozumieć jeno przez pół. Patrzy, godzi się i kocha. Godzi się na zło, równie jak na dobro i kocha jedno i drugie, gdyż zło jest niejako jeno dobrem, które błądzi. Nie zapomocą arbitralnych formułek moralistów, ale tak jak czas i ludzie uczą prawd możliwych do pojęcia, ukazuje nam bezsilność ostateczną zła wobec życia, oraz ukojenie wszystkiego w naturze i śmierci, która jest jeno zwycięstwem życia nad jedną ze swych form poszczególnych. Uczy nas też, jak jest bezpotrzebnem kłamstwo najzręczniejsze, nawet silne i genialne, wobec najslabszej i najbardziej ograniczonej

prawdy, oraz przywodzi przed oczy rozczarowanie nienawiści, która sądząc, że niweczy przeszłość, rzuca bezwiednie posiew szczęścia i miłości. Pierwsza, może, mówi nam o wielkich prawach dziedziczności potu, by nas nauczyć pobłażania. Gdy zaś przy końcu swego dzieła udaje się na cmentarz wiejski odwiedzić wieczyste osiedle swych bohaterów, zastaje trawę równie zieloną na mogile katów, jak męczenników i nie wierzy, by jakiś sen złowrogi miał mącić spoczynek tych, którzy śpią w obojętnem, ukojnym łonie ziemi.

CV.

Wiem, że mówię tu o istocie genialnej, ale właśnie istoty takie ukazują nam wyraziściej jeno, co się dziać może i co się dzieje z każdą istotą, o ile genjusz nie przemieni się w dziwactwo lub szaleństwo. Za każdym krokiem widać lepiej, że genjusz nie tkwi w nadzwyczajności i że istotna wyższość składa się z elementów dostępnych wszystkim, codziennie. Nie mam tu zresztą na myśli literatury. Emilja znajduje pociechę nie w talencie swoim, ale w życiu wewnętrznym, gdyż istnieją świetne talenty bez żadnej aktywności moralnej. Gdyby Emilja nawet nigdy nie miała pióra w ręku, posiadałaby tę samą potęgę żywotności, pełń miłości i ten sam uśmiech wewnętrzny istoty, która wie, zda się, dokąd zmierza i tą samą przepelniona jest jasnowidzącą pewnością duszy, jaka dała jej ukojenie na wyżynach i pokonała wielkie zwątpienia i wielkie niedole świata. Nie wiedzielibyśmy tylko poprostu o tem.

Życie jej skromne uczy nas niejednego jeszcze

Nie znaczy to, by je dawać za wzór ludziom zbyt skłonnym do rezygnacji, gdyż mogliby się zawieść. Uplywa ono całe na czekaniu, a nie wszyscy mają prawo czekać. Emilja zmarła dziewicą w dwudziestym dziewiątym roku życia, a nie należy umierać w dziewictwie. Pierwszym obowiązkiem człowieka jest ofiarować przeznaczeniu wszystko co posiada. Więcej warte dzieło nieskończone, niż życie niepełne. Unikając, słusznie, uciech podyktowanych pychą, lub bezpotrzebnych, nie należy odsuwać od siebie rozmyślnie zasadniczych szans szczęścia prawdziwego. Dusza nieszczęśliwa może odczuwać żal szlachetny. Mieć choćby zacieśnioną świadomość smutnej egzystencji swojej, znaczy to już w ciemku próbować skrzydeł, które nam pozwolą kiedyś wzlecieć ponad wszelkie smutki.

W życiu Emilji brakowało może wysiłku. Duchowo była śmiałą, namiętną, niezawisłą, ale w życiu opanowywały ją bojaźliwość, milczenie, bezczynność, skrupuły, powściągliwość oraz przesady, które potępiała w myśli. Tak się dzieje aż nazbyt często z duszami zadumanemi. Trudno ocenić życie samo w sobie, a zwłaszcza Emilji możnaby zarzucić nadmiar poświęcenia dla brata niegodnego, choć nieszczęśliwego, któremu oddała najlepsze lata młodości. Można też mówić tu o tem jeno w sposób bardzo ogólny, jakże bo

wiem długa i trudna jest droga wszystkich niemal istot ludzkich, wiodąca od duszy do życia! Śmiałe myśli nasze, sprawiedliwość, uczciwość i miłość, podobne są do żołądzi dębu w lesie. Tysiące z nich spadają i gniją we mchu, zanim z jednego wyrośnie drzewo. — Miała ona — powiada o innej kobiecie cytowana niedawno przeze mnie kobieta — miała duszę piękną, inteligencję, wrażliwe serce, ale wszystko to przejść musiało przez wrota bardzo ciasnego charakteru, zanim dostało się w życie. Spostrzegam zawsze niemal te same braki świadomości, a zwłaszcza niezdolność skupiania się w samym sobie. Istota ludzka, chcąc nam pokazać życie swoje, zaczyna od określenia swego sposobu patrzenia, rozumienia i czucia, tak że przekonywamy się jak ma szlachetną duszę. Potem, im dalej sięgamy wraz z tym człowiekiem w jego egzystencję, tem więcej nam wylicza on swych czynów, cierpień i radości, a we wszystkim tem niema śladu duszy, którą dostrzegliśmy na chwilę poprzez zasady i ideje. Z chwilą, gdy zacznie się akcja, instynkty biorą w niej udział, narzuca się charakter, a ginie, zda się, w tem dusza, to znaczy wyższa część ludzkiej istoty. Dusza przypomina królową, która woli żyć w niedostatku i zaniedbaniu, niżli namulić sobie ręce, mając się ciężkiej pracy.

CVI.

Nic nie jest niestety dokonane, zanim nie namuliśmy sobie rąk i nie nauczyliśmy się zamieniać złota i srebra myśli naszych w klucz, otwierający już nie bramę z kości słoniowej marzeń naszych, ale drzwi domu, lub w czarę, która nietylko zatrzymuje przedziwną rosę snów, ale także realną wodę, spadającą na nasz dach, oraz na wagę, służącą nietylko do nieścisłej oceny tego, co mamy uczynić w przyszłości, ale również podającą dokładny ciężar naszego dzisiejszego działania. Najszczytniejszy ideał jest jeno prowizorycznym, o ile nie przeniknie wszystkich członków naszych i o ile, rzecz można, nie wejdzie nam w końce palców. Są ludzie, dla których skupienie się w sobie jest jeno korzyścią inteligencji. Innym przynosi zyski w zakresie charakteru. Jedni są jasnowidzami, jak długo nie idzie o nich samych, lub nie trzeba działać. Oczy innych rozbłyskają wówczas, kiedy jawi się rzeczywistość i stają wobec czynu. Można-
by powiedzieć, że istnieje świadomość intelektu-

alna, wiecznie spoczywająca, zaśnieiona na tronie w bezruchu, która obcuje z wolą tylko przez ambasadorów niewiernych i spóźniających się zawsze, a obok niej inna, świadomość moralna, zawsze stojąca na baczność i gotowa do marzeń. Zależy ona może od pierwszej, a może też ta druga jest jeno pierwszą, która znużona długim spoczywaniem, poznawszy wszystko co poznać mogła, wstaje nakoniec, wstępuje po schodach i idzie w życie. Wszystko dobrze, o ile nie zaniedba tego uczynić, zanim nastanie czas, kiedy zwiotczale członki odmówią posługi dźwigania jej.

Trudno powiedzieć, czy nie lepiej czasem działać wbrew swej myśli, niż nie mieć nigdy odwagi uczynienia tego co każe. Błąd aktywny rzadko bywa nienaprawialny, gdyż rzeczy i ludzie dość wcześnie prostują go, cóż jednak poradzić mogą na błąd bierny, unikający wszelkiego kontaktu z rzeczywistością? Mimo wszystko jednak nie twierdzę, by należało miarkować naszą świadomość intelektualną i odmawiać jej pożywienia, czekając na zjawienie się świadomości moralnej. Nie obawiajmy się ideału zbyt wspaniałego, by go można dostosować do życia. Potrzeba całej rzeki dobrej woli, by wprawić w ruch najdrobniejszy akt sprawiedliwości, czy miłości. Ideje muszą być dziesięć razy szczytniejsze od naszego postępo-

nia, byśmy postępowali choćby tylko uczciwie. Trzeba bardzo silnie pożądać dobra, by uniknąć potrosze zła. Żadna potęga tego świata nie jest wystawiona na takie niebezpieczeństwa, porażki, jak idea, mająca się wcielić w życie codzienne. Dlatego też należy w myślach być bohaterem, by czyny nasze były bodaj porządne i nieszkodliwe.

CVII.

Zbliżmy się po raz ostatni do przeznaczenia tragicznego. Pouczy nas ono, że nawet w zakresie nieszczęść fizycznych niema nic beznadziejnego, a uskarzanie się na los zawsze niemal jest narzekaniem na ubóstwo własnej duszy.

Dzieje rzymskie pouczają nas, że pewien senator gallicki, Juljus Sabinus, zbuntował się przeciw cesarzowi Wespazjanowi i został pokonany. Mógłby był uciec do Germanów, ale nie miał serca opuszczać swej żony Eponiny, której nie mógł zabrać ze sobą. W dniach strachu i nieszczęścia poznajemy całą, zda się, rzeczywistość i jedyną wartość życia, toteż nie zrezygnował zeń. W swej willi miał duże podziemia, o których wiedział tylko sam i dwu jego wyzwolenców. Kazał spalić willę i rozpuścił wieść, że się otruił, a potem spalił wraz z domem. Sama Eponina została wprowadzona w błąd, powiada Plutarch, z którego czerpię tę opowieść, skompletowaną potem przez historyka Antoninów, hrabiego de Champigny. Dowiedziaw-

szy się od wyzwolenca, Marcjalisa, o samobójstwie męża, leżała przez trzy dni i trzy noce na ziemi, nic nie jedząc. Wzruszony tą boleścią Sabinus kazał powiedzieć Eponinie, że żyje. Nosiła dalej żalobę i opłakiwała męża w obecności ludzi w ciągu dnia, nocą zaś udawała się do jego kryjówki, schodząc w podziemia, przez ciąg siedmiu miesięcy. Usiłowała go nawet wydostać stamtąd, ogoliła mu brodę i włosy, owinęła mu głowę paskami płótna, przebrała i zapakowała w tłumok bielizny, wywiodła do swego miasta rodzinnego. Wkrótce jednak kryjówka ta wydała jej się niebezpieczną, przewiozła męża z powrotem do podziemi, sama zaś to przebywała na wsi, to w podziemiu lub w mieście, pokazując się ciągle przyjaciółkom swoim. Zaszła w ciążę, ale dzięki pewnej maści, którą się nacie-rała, zdołała ukryć ten stan swój, nawet kąpiącym się wraz z nią razem kobietom. W chwili porodu zeszała w podziemia i tam, jak lwica rodząca, sama, bez pomocy wydała na świat bliźnięta. Karmiła je, pielęgnowała i żywiła męża w podziemiu przez lat dziewięć. Mimo wszystko jednak odkryto miejsce pobytu Sabinusa i zabrano go do Rzymu. Zasłu-żył niewątpliwie na łaskę Wespazjana. Eponina przywiodła mu dwóch synów swoich, wychowa-nych pod ziemią i powiedziała: — Wydałam ich na świat i wychowałam, byśmy liczniejsi byli, pro-

sząc o łaskę twoją! — Obecni zapłakali z rozczu-
lenia, ale cesarz pozostał nieugiętym i mężna Gal-
lijka mogła jeno prosić, by jej pozwolono umrzeć
wraz z mężem. — Byłam z nim szczęśliwszą
w podziemiach — rzekła — niżes był ty kiedy-
kolwiek, o cesarzu, w pełnym blasku słońca, oto-
czony wspaniałościami władzy!

CVIII.

Czyż jest serce, któreby w to wątpiło, czyż jest serce któreby nie pokochało ciemności, rozświetlonych taką miłością? Przeżyli, napewne, mnóstwo chwil strasznych i smutnych w głębi swej kryjówki, któżby atoli, nawet z pośród zamilowanych w drobnych przyjemnostkach życia, nie wolał kochać tak gorąco w grobie, miast pozostać zawsze chłodnym wśród żaru i blasku słońca? Przepiękny okrzyk Eponiny, to głos wszystkich, znających miłość i tych, których dusza umiała znaleźć w życiu zainteresowanie czemś, nadzieję, czy obowiązek. Promień ożywiający ich w ciemni był tymsamym płomieniem, który syci mędrca w godzinach monotoni. Miłość jest podświadomem światłem duszy naszej, a promienie najczystsze, najgorętsze i najtrwalsze tego słońca dziwnie przypominają te błyski, które dusza roznamiętniona sprawiedliwością, dostojeństwem, pięknnością i prawdą niećić się w sobie stara. Czyż szczęście Eponiny nie mogło by przeniknąć serc wszystkich ludzi dobrej woli?

Wszystko to umacniało jej miłość, samozaparcie, przeistoczenie bólu w uśmiech radości, z których rezygnujemy w szczęściu, a które uwiecznia serce, zainteresowane codziennem światłem bladego nawet poranka, które pada na coś, co kochamy, wtopienie się w blask i wesołość, którą można wedle woli zwiększyć, gdyż wystarczy podziwiać jeno bardziej wszystko to, a mnóstwo innych, równie słodkich i pocieszających rzeczy może zamieszkać w naszej duszy, sercu i myśli. Miłość Eponiny była to bezwiedna, nieoczekiwana i niezasłużona błyskawica życia. Miłość nie zawsze myśli, często bez żadnej refleksji i skupienia się w sobie zawłada wszystkim, co jest najlepsze w myślach, ale rzecz najlepsza w miłości przypomina najlepszą część myśli. Eponina kochała, przeto oblicze jej cierpienia było promienne, czyż jednak rozważając, starając się zrozumieć ból i patrząc poza katuszę swoją, a potem działając z większą radością, niżby to było z pozoru życzeniem losu, nie czynimy z własnej woli i świadomie tego, co miłość czyni bezwiednie, przez szczęśliwy zbieg okoliczności? Każde cierpienie Eponiny zapalało pochodnię w podziemiu, a tak samo zapala każda boleść dla duszy nienawykłej do samotności, pochodnię pociechy przez to właśnie, że ją do skupienia zmusza. Żyjemy, podobnie jak szlachetna Eponina, w czasach prze-

śladowania, czyż więc nie możnaby powiedzieć, że ból taki przypomina kata pogańskiego, który tknięty podziwem lub łaską przykłęka w samejże chwili torturowania u stóp swej ofiary, dodaje jej otuchy, przemawia czule, wyraża pragnienie cierpienia wraz z nią, a potem pyta jej w ostatnim pocałunku o drogę do nieba?

CIX.

Gdziekolwiek byśmy się udali, rzeka życia płynie obfitą falą pod sklepieniem niebiosów. Snuje się pomiędzy murami więzienia, chociaż jej słońce nie oświeca, podobnie jak u stóp pałacu szczęścia i sławy. Dla nas nie jest rzeczą główną rozlewność, głębia, czy siła prądu, ale czystość i pojemność czary, którą w niej zanurzamy. Wszystko, co możemy wchłonąć z życia, z konieczności przyjmuje kształty tej czary, ona zaś drażoną bywa według wzoru naszych uczuć i myśli, słowem na wzór piersi naszego wewnętrznego przeznaczenia, podobnie jak czara rzeźbiarza starożytnego miała na wzór pierś bogini. Taką mamy czarę, jakąśmy sobie wyrzeźbili, a zawsze niemal tę, któregośmy pożąдали. Na los możemy się uskarżać tylko z tego powodu, że nie dał nam idei, lub pożądaną czarę większej i doskonalszej. Tak, tylko w zakresie pożądanego istnieje nierówność, a uświadamy ją sobie w chwili właśnie, kiedy zaczyna się zacierać. Czując, że pragnienie nasze mogłoby być piękniejsze, upięk-

szamy je, nową aspirację wkładamy w pierś naszego przeznaczenia i tem samem rozprzestrzeniaemy krąg czary idealnej i uległej, której metal twardnieje ostatecznie dopiero w mroźnej i nieugiętej chwili śmierci.

Żalić się nie powinien ten, który czeka uczucia gorętszego i dostojniejszego. Nie ma co żalić się ten, który czeka na pragnienie większego nieco szczęścia, piękna, czy sprawiedliwości. Podobno tu się dzieje, jak pono ze szczęśliwością wybrańców. Każdy z nich okryty jest radością i ma szatę skrojoną na swoją miarę. Nie może pragnąć szczęśliwości większej, gdyż w samym tem pragnieniu posiadałby większą niż ta, jaką ma. Jeśli zazdroścę szlachetnie szczęścia tym, którzy mają właśnie zanurzyć w miejscu najświatlejszem wielkiej rzeki czarę bardziej lśniącą i cięższą od mojej, korzystam bezwiednie sam z tego co zaczerpną, a usta moje dotykają czary tuż obok ich ust.

CX.

Któż był godny miłości pani? — powiedziano kobiecie, o której wspomniałem przed temi dygresjami. Moźnaby o to samo zapytać Emilji Bronté i wielu innych. Jest w świecie dużo dusz dobrej woli, które tracą najlepsze lata miłości, pytając w ten sposób o przyszłe uczucia swoje.

W państwie przeznaczenia, wokół miłości krążą najwięcej skarg, żalów, próżniaczych oczekiwań, obaw, pełnych próżności i przesadnych nadziei. Na dnie tego wszystkiego dużo jest zarozumiałości, fałszywej poezji i kłamstwa. Najwięcej dusz niezrozumianych jest pono pośród tych, które najmniej czyniły wysiłków, by się zrozumieć. Zresztą ideał najbardziej nikły, ciasny, arbitralny, żywi się najobficiej uprzedzeniem, rozczarowaniem, wymaganiami i drobnostkową zawiścią. Obawiamy się zwłaszcza, że ktoś dotknie lub zapozna te cnoty, myśli, zalety i to piękno moralne, które posiadamy dopiero w wyobraźni. Zasługi te przypominają dobra materjalne, do których przy-

wiązujemy z uporem dużo nadziei, chociaż zbraknie nam prawdopodobnie sił, by je kiedykolwiek osiąść. Tak to właśnie oszust, zamierzający się poprawić, nie może pojąć, iż wszyscy nie składają odrazu niezmiernego hołdu jego uczciwości, która zbudziła się na chwilę w jego sercu. Gdy jednak jesteśmy rzeczywiście czysti, bezinteresowni i szczerzy, gdy myśli nasze wzlatują z nawyku i bez wysiłku ponad instynktowny egoizm, nie dbamy tyle o pochwałę otoczenia, ani podziw. Epiktet, Marek Aureljusz, Antonjusz Pius, nie nie żalili się nigdy, że ich nie rozumiano, gdyż uważali, że czynią coś niesłychanego i niepojętego. Przeciwnie sądzili, że najlepsza z ich cnót tkwi właśnie w tem, co wszyscy mogą osiągnąć bez wysiłku. Nie doceniamy, z pewną zresztą racją, jeno cnót chorobliwych, przywiązując do nich zbyt wiele wagi, każda zaś cnota przeceniana i dla której domagamy się szacunku i uznania, jest chorobliwą. Chorobliwa cnota szkodliwsza jest przytem często od zdrowego występku, w każdym razie oddala się bardziej od prawdy, zaś w oddaleniu od prawdy niema zadnej nadziei. Ideał nasz, w miarę doskonalenia się, uznaje coraz to większą ilość rzeczywistości, a w miarę rozrostu swego, dusza coraz to mniej obawia się napotkania drugiej duszy równej miary. Albowiem dusza,

wzrastając, zbliża się do prawdy, zaś w pobliżu prawdy wszystko korzysta z wielkości samejże prawdy.

Gdy Dante stanął w trzeciej sferze, pośród jednostajnie niemal lśniących ciał niebieskich, widząc, że nic się wokół niego nie porusza, zadał sobie pytanie, czy trwa na miejscu, czy też bliższym jest ciągle tronu Boga. Spojrzał potem na Beatrycę, a widząc, że jest coraz piękniejsza, poznał, iż zbliża się do swego celu. My również liczyć winniśmy kroki na drodze prawdy według wzrostu zaciekawienia, miłości, szacunku i podziwu dla wszystkiego, co nas otacza w życiu.

CXI.

Człowiek wychodzi zazwyczaj z domu, szukając radości, piękna, prawdy, miłości i wraca zadowolony wówczas tylko, jeśli może powiedzieć dzieciom, że nie napotkał niczego. W poczuciu niezadowolenia jest pewna duma, a większość ludzi dlatego obwinia życie i miłość, że mają pretensję otrzymać od życia i miłości coś więcej, niż to, co mogą dać sobie sami. Miłość i wszystko inne zresztą, domaga się ideału jak najszczytniejszego, ale ideał niezgodny z silną rzeczywistością wewnętrzną jest jeno próżniactwem kłamliwym, jałowem i płaszczącym się. Starczy kilku ideałów niedosiężnych, by sparaliżować życie. Błędem jest mierzyć duszę według jej aspiracji, czy marzeń. Słabi marzą zawsze piękniej i częściej, niż silni, cała ich energja i aktywność ulatnia się w tych marzeniach. Szczytność marzenia nawykowego wchodzi w rachubę przy ocenie naszej wyżyny moralnej o tyle jeno, o ile marzenie to jest przedłużonym cieniem życia uprzedniego i woli umocnio-

nej już, wyćwiczonej i bardziej ludzkiej. W takim razie wolno je zatknąć na chwilę pośród równo zalanej słońcem rzeczywistości zewnętrznej, jak się zatyka pręcik obok dzwonnicy, chcąc cieniem jego zmierzyć jej wysokość, by ustalić stosunek cienia godziny do wieży wieczystej.

CXII.

Wydaje się naturalnem, że serce szlachetne oczekuje wielkiej miłości, ale jeszcze jest naturalniejsze, by kochało czekając, a kochając zapomniało, że czeka. W miłości jak w życiu oczekiwanie bywa zazwyczaj mocno nieużyteczne. Kochając, uczymy się kochać i właśnie tak zwane rozczarowania drobnych miłości podsycają w sposób najprostszy i najpewniej potężny płomień miłości wielkiej, która oświeci może kiedyś resztę życia.

Często czynimy krzywdę rozczarowaniom. Nadajemy im wygląd zatroskany, blady i zniechęcony, gdy przeciwnie są one pierwszemi uśmiechami prawdy. Jesteś człowiekiem dobrej woli, pragniesz sprawiedliwości, chcesz być pożyteczny, mądry i szczęśliwy, jeśli cię jednak osmuca byle rozczarowanie, widocznie żałujesz kłamstwa, w którym byłeś pogrążony. Czyż wolisz żyć w świecie błędu i marzeń, niż pośród rzeczywistości? Najlepsze często chwile najlepszej woli zatracają

się w walce pięknego marzenia z nieuniknionem prawem i dostrzegają jego piękno dopiero, kiedy piękne marzenie zginie na wyczerpanie sił. Jeśli doznałeś miłosnego zawodu, nie sądź, że odniesiesz korzyść, roztrząsając przez całe życie, czy miłość jest tem, czem być nie może. Złudzenie tego rodzaju spaczy najważniejsze czyny twoje i przyćmi część prawdy, której chcesz osiągnąć. Jeśli znów masz nadzieję dokonać wielkich rzeczy, a rozczarowanie usunie cię na właściwe ci drugie miejsce, czyż słusznie uczynisz, przeklinając do końca życia posłankę prawdy? Wszakże właśnie tej prawdy szukałoby w gruncie rzeczy to twoje złudzenie, gdyby było szczere. Przyuczmy się czynić sobie z rozczarowań towarzyszy tajemniczych, wiernych i sędziów nieprzedajnych. Jeśli któreś, okrutniejsze od innych, przygnębi nas na chwilę, nie mówmy łkając: — Życie jest mniej piękne od marzeń naszych! — Przeciwnie, powiedzmy sobie: — Czegoś, widać, brakło marzeniom naszym, gdyż nie zostały uznane przez życie. Cała tak bardzo sławiona moc dusz silnych składa się właściwie z rozczarowań należycie wykorzystanych. Każdy zawód, każda zapoznana miłość, czy unicestwiona nadzieja przydaje wagi twjej prawdzie, a im więcej padnie wokół ciebie złudzeń, tem szlachetniej i pewniej

wystąpi wielka rzeczywistość, niby słońce, które
dostrzegamy lepiej w zimie poprzez gałęzie odar-
tego z listowia boru.

CXIII.

Jeśli szukasz wielkiej miłości, nie sądź, że znajdziesz duszę tak piękną jak marzenia twoje, jeśli tylko marzenia wyślesz na zwiady. Czyż sprawiedliwym jest ofiarowywać jeno pragnienia, życzenia i marzenia bez kształtu, a żądać wzajemian słów ścisłych i czynów zdecydowanych? A jednak tak czynimy wszyscy niemal. Gdyby zaś przypadek szczęśliwy i niespodziewany postawił nas nagle przed istotą, wcielającą nasz ideał, to nie sądźmy, by leniwe pożądanía nasze i mgliste długo pozostały w zgodzie z aktywną i określoną należycie rzeczywistością.

Można żywić nadzieję odnalezienia ideału poza sobą wówczas tylko, kiedyśmy ile możności ideał ten ziścili w samych sobie. Jakże mieć nadzieję pozyskania duszy uczciwej, wiernej, głębokiej, kochającej, niewyczerpanej, rozlewnej, żywej, spontanicznej, niezawisłej, odważnej, życzliwej i wspaniałomyślnej, jeśli sami nie jesteśmy obciążeni z uczciwością, miłością, wiernością, myślą,

życiem, wolą, niezawisłością, odwagą, życzliwością i wspaniałomyślnością? A jakże mamy to wiedzieć, jeśliśmy nie żyli długo wśród tego wszystkiego i nie kochali tych cnót, jak osoba wybrana?

Nic większych nie stawia wymagań, nie jest mniej zręczne i bardziej zaślepione, jak dobroć, piękno i doskonałość moralna, doprowadzona do stanu pożądania. Jeśli chcesz znaleźć duszę idealną, sam staraj się zbliżyć do ideału poszukiwanego. Inaczej go nie osiągniesz. W miarę zbliżania się doń, spostrzeżesz, że dobrze jest i słusznie, by się różnił znacznie od tego, czego oczekiwala twa mglista nadzieja. Ideał twój, realizując się w życiu, rozszerzy się, złagodnieje, wysubtelni i udoskonali. Wówczas bez trudu odnajdziesz w tem co kochasz piękno prawdziwe, trwałe dobro i nieśmiertelną prawdę, które zresztą są w tobie samym, gdyż tylko co jest dobre w sercu naszym mówi nam o dobru zewnętrznym. Wówczas też mniej będziesz przywiązywał wagi do niedoskonałości, które nie będą już ranić twej próżności, samolubstwa, lub nieświadomości, to znaczy tych wszystkich niedostatków niepodobnych już do wad twoich. Zaprawdę, mieszkające w nas zło okazuje najmniej cierpliwości w znoszeniu zła innych ludzi.

CXIV.

Ufajmyż miłości, jak ufamy życiu, gdyż jesteśmy do tego przeznaczeni, a najbardziej ponurą ze wszystkich myśli jest nam brak wiary w rzeczywistość. Widziałem niejedno życie złamane przez miłość, ale mogły je równie dobrze złamać przyjaźń, apatja, niepewność, wahanie, obojętność czy lenistwo. Miłość łamie w sercu jeno to co kruche, a jeśli niweczy całe, całe było widać słabe. Wielu twierdzi, że serce ich zostało kilka razy złamane, ale ci, których to spotykało naprawdę, winni przypisać swe nieszczęście próżności, z jaką pysznią się ruinami.

W miłości, podobnie jak w innej dziedzinie przeznaczenia naszego dużo bywa zaprawdę szczęśliwych i nieszczęśliwych przypadków. Zdarzyć się może, że za pierwszym zaraz wystąpieniem na widownię życia człowiek o sercu i o umyśle przepojonych wszelkimi rodzajami energii, serdeczności i pożądań ludzkich, napotka, nie szukając, duszę uosabiającą w upojeniu trwałego szczęścia wszyst-

kie pożądania miłości najszczytniejsze i najbardziej skromne, najrozleglejsze i subtelne, wieczyste i przelotne, potężne i najślodsze zarazem. Napotka może natychmiast serce, któremu dawać mógł będzie i brać wszystko, co oboje mają najlepszego. Posiędzie duszę jedyną, rzec można, pełną pożądań, umiejącą brać aż do śmierci tysiąc razy więcej, niż to co otrzymuje i oddawać tysiąc razy więcej. Miłość, opierająca się czasowi, utworzona jest z takich wymian nierównych, a czarownych i właśnie to posiadamy napewne, cośmy jej dali, a to co nam dała dzielimy z osobą umiłowaną.

CXV.

Zdarza się przeznaczenie tak doskonale szczęśliwe, ale mimo tej nadziei, przysługującej każdemu, nie należy wiązać tem oczekiwaniem życia swego. Trzeba się sposobić, by być godnym takiej miłości, a człowiek tak czyniący, będzie coraz cierpliwiej czekał. Istota, o jakiej mówiliśmy dopiero co, może też chodzić od młodości do grobu wzdłuż muru, poza którym czeka szczęście w zbyt głębokim milczeniu. Szczęście jest po tej stronie muru, lecz czyż stąd wynika, że po drugiej tkwi jeno nieszczęście i rozpacz? Nie jestże szczęściem samo już to, że mamy prawo przechodzić w ten sposób koło szczęścia? A może lepiej czuć pomiędzy sobą a spodziewanem szczęściem jeno coś, niby przejrzysty i kruchy przypadek, niż być tak na zawsze oddzielonym przez wszystko co nieludzkie, bezpożyteczne i niegodne u nas samych? Szczęśliwym jest ten, kto może zerwać i zabrać ze sobą kwiat, ale nie należy aż tak bardzo, jak się to dzieje, żałować tego, kto chodzi do wieczora, po-

zbawiony jego szlachetnego zapachu. Życie nie tak szczęśliwe, jakby być mogło, nie utraciło jeszcze przez to całej swej wartości i pożyteczności. W miłości obżałowanej częścią jej najlepszą byłoby to, cobyśmy wnieśli sami, że zaś dusza posiada to jeno, co dać może, jakeśmy to powiedzieli, przeto, dając przy każdej sposobności, posiadamy już prosić tę miłość. Najwyższem zaprawdę szczęściem na ziemi jest szlachetna, trwała miłość, ale jeśli jej nie znajdziemy, natenczas to, cośmy uczynili, by jej się stać godnymi, nie będzie stracone dla spokoju serca naszego, oraz przepoi większą pewnością, odwagą i czystością resztę naszego życia.

CXVI.

Z resztą kochać można zawsze. Kochaj sam jak najwznieślej, a posiędziesz wszystkie niemal radości miłości wzniosłej. W najdoskonalszej nawet miłości nierówne jest szczęście najbardziej oddanych sobie kochanków. To z nich, które bardziej kocha, jest lepsze i szczęśliwsze. Trzeba się uczynić godnym miłości raczej dla szczęścia swego, niżli szczęścia drugiej osoby. Nie sądźmy, że w chwilach smutnych miłości nierównej ta strona jest sprawiedliwsza, mędrsza, szlachetniejsza i dostojniej namiętna, która więcej cierpi. Ofiarą pożałowania godną nie jest nigdy niemal strona lepsza. Ten jest ofiarą naprawdę, kto cierpi przez własne winy, wady i nieprawości. Przy całej swej niedoskonałości możesz być dostatecznym przedmiotem miłości istoty przedziwnej, ale ta istota nie wystarczy twojej miłości, jeśli nie jesteś doskonały. Pragnąć należy, by los wprowadził pod twój dach kobietę przyozdobioną wszystkimi zaletami umysłu i serca, jakie podziwiałeś u heroin historii, a więc też

slawą, szczęściem i miłością. Ale nic ci z tego nie przyjdzie, jeśli nie ukochałeś tych rzeczy w życiu realnem. A czemuż jest dla ludzi to życie realne, jeśli nie ich własnem życiem? Uczciwość twoja rozkwitnie w uczciwości kochanki, prawda twoja znajdzie w jej prawdzie ukojenie, a siła twego charakteru radować się będzie siłą, jaka leży w jej charakterze. Ale żadna z cnót istoty kochanej, która nie napotka pokrewnej sobie na progu serca, nie będzie wiedziała, w czyje ręce złożyć ma niesioną w dani radość.

CXVII.

Jakiemkolwiekby zresztą było przeznaczenie uczuć twoich, nie trać otuchy. Przedewszystkiem zaś nie sądz, że nie zaznawszy szczęścia miłości, nie wiesz zgoła nic o wielkiem szczęściu ludzkiego istnienia. Czy szczęście przybiera kształt rzeki, podziemnej strugi, wodospadu lub jeziora, zawsze ma jedno jedyne źródło w sercu naszym, a człowiek najszczęśliwszy może sobie uświadomić największe szczęście.

Miłość daje, coprawda, upojenie nieznanne innemu szczęściu, ale pozostawia ono na dnie serca poważnego i szczerego wielką melancholję, jeśli nie znalazło ono w miłości prawdziwej czegoś pewniejszego, głębszego i bardziej niewzruszalnego, niż to upojenie. Te zaś pewniki, te głębie i niewzruszalność miłości mieści się też na dnie szlachetnego życia.

Nie każdy może być bohaterski, przedziwny, zwycięski i genialny, czy poprostu szczęśliwy w sprawach zewnętrznych, ale najmniej uprzy-

wilejowany z pośród nas może być prawy, uczciwy, słodki, braterski, wspaniałomyślny, najmniej uzdolniony może spojrzeć wokół bez złośliwości, zawiści, urazy i bezpożytecznego smutku. Najbardziej wydziedziczony może brać cichy udział, co niezawsze jest rzeczą najgorszą, w weselu tych, którzy go otaczają, najmniej zręczny może wiedzieć, czy zdolny jest przebaczyć obrazę, usprawiedliwić błąd i podziwiać słowo, czy czyn ludzki. A najmniej kochany może kochać i szanować miłość.

Czyniąc tak, pochyla się nad źródłem, do którego przychodzą też szczęśliwi i to częściej, niż przypuszczamy, w godzinach płomiennych szczęścia, poto by się przekonać, że są naprawdę szczęśliwi. Na dnie szczęśliwości miłosnej, podobnie jak na dnie życia skromnego prostaczka, pozbawionego uśmiechu szczęścia, pozostają niezachwianemi i niezmiennemi jeno prawość, wiara, życzliwość, szczerłość i wspaniałomyślność. Miłość dodaje blasku tym punktom świetlnym i dlatego należy szukać miłości. Największą jej zaletą jest to, że otwiera nam oczy na pewne prawdy, pełne pokoju i słodczy. Największą też zaletą miłości jest, że daje nam sposobność kochania i podziwiania w jednym jedynym przedmiocie tego, czegobyśmy w tysiącnych, a różnorodnych obiektach nie dostrzegli, ani siły kochać nie mieli, a co

czyni serce nasze przestronniejszym na przyjęcie przyszłości. Ale podstawę najprzedziwniejszej nawet miłości stanowi szczęśliwość bardzo prosta, serdeczność i uwielbienie łatwo zrozumiałe, zaufanie i pewność dostępne każdemu, podziw i oddanie się arcyłudzkie, a wszystko to mogłoby odnaleźć dobra wola każdego również w życiu najsmutniejszym i pełnym przeciwności, gdyby mniej żywiła urazy i niecierpliwości, a więcej miała inicjatywy i energii.

KONIEC.

17

EXCISE
STAMP



29927 /
/e